

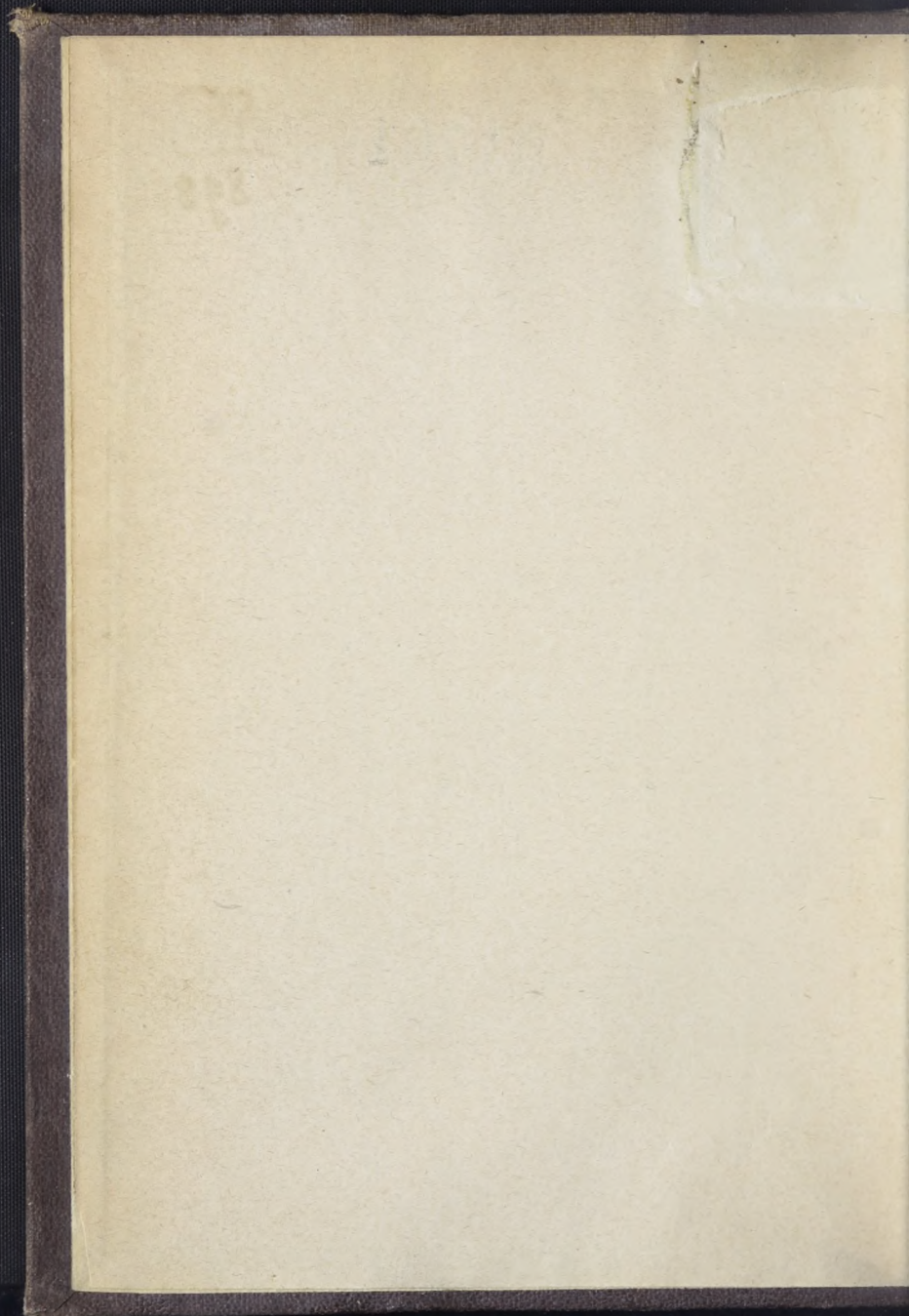
20

2.3

2,008,022

24761

56  
893.



24761

SĄSIĘDZI.





# SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

przez

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

WARSZAWA.

Nakładem MICHAŁA GLÜCKSBERGA księgarza  
ulica Nowy Świat Nr. 55.

1878.

24761



T. 1

Дозволено Цензурою.

Варшава, 8 Мая 1878 года.

12.008.022



---

Warszawa. — Drukiem S. Orgelbranda Synów,  
Bednarska Nr. 20.



Był to dzień czerwcowy, wieczór spokojny a powietrze parne. Słońce zachodziło, jakby na ślotę i burzę, bo pod niem widać było ciemne chmury, wychylające się już znad widnokregu, pozarysowane ostro, wspinające się do góry, światłem jaskrawem, jakby złotemi galonami, obramowane.

Wśród ciszy wieczoru drzewa stały jakby uspio-  
ne i zmęczone skwarem, tylko niekiedy przebiegał je jakiś dreszcz dziwny. Liście szeleściły żywo, i wnet wracały do dawnego spoczynku. W tej porze dnia zwykle i po dworach cicho jest a głucho, mało się co porusza. Ale tego wieczora niezwykły, gorączkowy ruch panował w Sierhinie u p. Strukczaszyca Hojskiego.

Zdała nawet przechodzący mógł poznać, iż się tu coś nadzwyczajnego wydarzyć musiało. Z folwarku do dworu, ze dworu na folwark biegali ciągle ludzie, jakby potraciwszy głowy, spotykając się i niewidząc, potracając w drodze, zarzucając pytaniami, na które nie czekali odpowiedzi.

W ganku czasem ukazywali się: to ogromnego wzrostu mężczyzna w białym kitlu, podpasany

skórzanym pasem, w którym łatwo było poznać Strukezaszycę—rzucił kilka wyrazów tonem nakazującym i zniknął; to, w czepcu białym, jejmość, machająca rękami, załamująca dłonie i nawołująca sługi, poczem zniknęła natychmiast w głębi domu.

Kupka ludzi stała przy stajni, rozpowiadając coś żywo, ruchami okazując jakby niedawno odbytą bójkę. To głosy się ożywiały i podnosiły z wrzawą, to znowu spojrzenie na dwór i obawa jakaś, a dawane znaki zmuszały do uciszenia i rozmowy na ucho. Całkiem jednak zaprzestać nie mogli ludzie wypytywać i rozpowiadać—bo widocznie jakaś, ich gorączka opanowała. Starsi chodzili, mrucząc i ściszkając pięści; młodszy niemal porywali się do siebie, sprzeczki wiodąc.

Tymczasem ruch około starego dworu uie ustawał. Wszedł z niego wąsaty ekonom z czapką pod pachą, jakby pijany, ocierając pot z czoła; westchnął i niemogąc iść dalej, przypadł zaraz w ganku na ławie, w postawie tak znękanego człowieka, jakby mu się największe nieszczęście trafiło. Siadłszy, patrzył przed się oczyma osłupiałemi, i raz poraz ciężko wzdychał, jęczał prawie.

Od stajni oczy kupki ludzi zwróciły się ku niemu; łokciami dawano sobie znaki, spoglądając na niego.

Chłopakowi kredensowemu z podgoloną głową

ekonom kazał sobie wody podać, a gdy ten mu szklankę przyniósł, wychylił ją jak naparstek.

— Daj-bo karafkę!—mruknął.

Chłopiec, posłuszny, wyniósł spory kufel, który ekonom nalewając sobie cheiwie, szklanka po szklance, wychylił prawie cały. Teraz dopiero zdawał się przychodzić do siebie, obejrzał się po odzieży, nieco pomiętej, ale całej, ręką powiódł po głowie i twarzy, przypatrując się dłoni, jakby na niej krwi szukał. Tej nie było; ale sińców kilka miał na czole ekonom, które mu znać dolegały, bo je pocierał.

Potem, oburącz na ławie się oparłszy, zapatrzony w podłogę, czas jakiś nieruchomy pozostał.

Nie widział nawet przesuwających się ciągle mężczyzn i kobiet, które zukosa, wymijając ławę, przypatrywały mu się.

Dobra chwila upłynęła tak, gdy, wprzód już widziana w ganku kilkakrotnie, jejmość w białym czepcu znowu się w progu ukazała.

Była to kobieta lat średnich, słusznego dosyć wzrostu, silna, nie chuda ani otyła, twarzy ogorzałej i zarumienionej, której policzki czerwone żyłki jakby siatką okrywały—z nosem rzymskim, z oczyma bystremi czarnymi, — niegdyś pewnie piękną, dziś tylko odznaczająca się wyrazem energii i żywością wielką. Ubiór jej, acz bardzo staranny i czysty, niewykwintny był i starą skrojony modą. Upa-

sa miała klucze, a u boku wielką kieszeń, w jaką czasem troskliwe gospodynie opatrywały się na kłębki, napastrzek, nożyczki i niezbędne narzędzia do rozmaitych zajęć dnia powszedniego.

Kobieta wysunęła się ze drzwi, z oczyma zwróconemi ku folwarkowi, z widocznym zamiarem zawołania kogoś, gdy zobaczywszy pograżonego w myślach ekonoma, zwróciła się, ręce załamując, ku niemu.

— Panie Morawiec! panie Morawiec, na rany Chrystusowe! — zawołała porywczó — jak waćpan mogłeś na to pozwolić?

Ekonom, który nadchodzącej ani postrzegł ani posłyszał, zerwał się jak ze snu przebudzony.

Ruch jego był tak gwałtowny, że ława zadygotała pod nim i opadła z hukiem. Osowiałe oczy zwrócił na pytającą.

Ręce złożył obie na piersiach i oczy zaczerwienione wzniosł ku oczekującej odpowiedzi.

— Niech mnie Bóg sądzi! zawołał głosem schrypłym i jęczącym, w którym czuć było, że się wprzód zmógł krzykiem nad siły — niech mnie Bóg sądzi! Co było począć? jak wpadły na nas te chamy, jak się to zwaliło, panicz chciał rozzbrajać i uspakajac, puścił się między bijących. Ja, trzymając go za poły, zaklinając, biegłem z nim, kroku nie ustępując. Chłopstwo się rozjadło, że już nikogo nie respektowało. Co się mnie dostało, i po łbie i po ple-

each, niech to będzie na chwałę Bożą, ja tego nie liczę. Wszak prawie na rękach, zasłaniając sobą, wyniosłem panicza.

Tu na chwilę umilkł, bo mu głosu zabrakło, zakaszlał się, ręką czoło osłonił.

— Paniczowi-bo w głowie było, że racyami chaków zreflektuje! Gdzie to kto słyszał! A prosiłem, a zaklinałem.—Nic nie pomogło, jak się uparł!

Wszakże to nie pierwszy raz na Osowcu do bójk przychodzi. Powtarza się to co roku, jak ludzie zapamiętają. Skosim my—napadają na nas Łopatycy chłopi, skoszą oni—my musimy iść na nich, aby prejudykatu nie było.

Co ta dyferencya już krwi ludzkiej i zdrowia kosztuje,—na wołowej-by skórze nie spisał.

Słuchająca westchnęła silnie.

— Brat mój tego nie daruje!—odezwała się, nogą uderzając w podłogę.

Ekonom z głębi piersi jęk wydał stłumiony.

— Tak, bąknął—hm! obdukcję sprowadzić! tak! i przyznać się, że chamy syna jegomościwego śmiały kijmi tłuc! Hm!

Mówili jeszcze, gdy, w białym kitlu, z podgoloną głową, z wąsem siwym sumiastym, z twarzą ogromną, surowego wyrazu, na progu ukazał się Strukczaszc. Jejmość dała znak ekonomowi, który ku ławie się cofając, wyprostował się i przybrał minę smutną.

Strukezaszyc, w tej chwili wyglądający w istocie strasznym jak sędzia, z brwiami namarszczonemi, z ustami zaciśniętymi, nigdy pono nie miał fizyognomii łagodnej. Na posepnem tem obliczu, po-fałdowanem brózdy głębokimi, trudno sobie wesołość wyobrazić było. Natomiast straszny, groźny jakiś spokój, oznaka niezmiernej siły panowała na niej. Nawet gwałtowne wzruszenie, jakiego teraz doznawać musiał, nie zdołało zachwiać męstwem żelaznem tego człowieka.

Zbliżył się krokiem poważnym do Morawca, nie patrząc na siostrę, która się nieco wycofywała — i po chwilec namysłu, począł mówić głosem stłumionym, napozór spokojnym.

— Słuchaj, Morawiec — jak to było? mów świętą prawdę? — jak?

— Jaśnie wielmożny panie, wybuchnął ekonom, Panie Boże bądź świadkiem duszy mojej, ja, — ja nawet powiedzieć nie umiem jak to było. Chłopi Łopatycy wpadli z kijmi, grabiami, kosami na naszych: nie pierwsza to i nie ostatnia bójka na Osowcu. Chamy, bywało, się poczubią, pokrzwiają i — tyle. Panicz koniecznie chciał ich rozrywać i wstrzymywać. Gdzie to kto widział, jak się chłopstwo rozjuszy! Prosiłem, błagałem, uczepiłem się za poły — gdzie! ani słuchał. No — wpadliśmy wśród tych bestyi — a co mnie się dostało — co nieszczęśliwemu paniczowi, albo ja wiem! Dopiero gdy się

p. Erazmowi noga powinęła na kepinie i padł, a te juchy z kijmi na niego sięć chciały, tom go sobą osłonił i prawie na rękach wyniósł.

Morawiec, któremu łzy z oczu ciekły, rozplakał się na prawdę. Strukeczaszye słuchał blady, tylko mu usta coraz głębiej zapadały i pot z czoła ciekł. Nie odpowiadał nic.

— Był kto ze dworu? — spytał.

— A pewnie, że byli! Ekonoma Śliwkę sam widziałem jak rękami machając, poduszczał i żgał, a ten nizezemiak, smarkacz pisarz Bracki, chłopów prowadził.

Strukeczaszycowi oczy błysnęły; nie powiedział nic; stał jak wkuty czas jakiś.

— Proszę jaśnie pana, wyrwał się Morawiec— ma być obdukcya, to niech będzie na mnie. Plecy mam całe zbite, sińce i guzy na głowie, a panicza do obdukcji stawić, żeby ludzie gadali, iż go chłopci kijmi bili—to nie może być! to nie może być!

Strukeczaszye jeszcze stał niemy.

— Ja obdukcji żadnej nie potrzebuję— rzekł powoli cedząc wyrazy. Erazm wpadł niepotrzebnie: jak człeka pies pokąsa, a pijany chłop pobije, nikt się nie skarży. To sprawa między mną a Łopatyczami, wpiszę się Czemeryńskim na rejestr. Odsłużemy inną porą—odsłu-że-my.

Siostra, słuchająca, na boku i ekonom—zadrżeli, gdy ich uszu doszło to—odsłu-że-my, bo stary pan

wypowiedział ten wyraz z flegmą jakąś, tak straszliwą, tak groźną, iż krew się zdawała tryskać z każdej sylaby.

— Żadnej obdukeyi nie będzie — to domowa sprawa, ciszej dodał Strukczaszye.

I spytał: poczekawszy nieco:

— Siano zabrali?

— Przeciągnęli na swój hrud, poza dyferencyę — rzekł cicho Morawiec.

— Wiele tam było ludzi? — badał dalej spokojnie Strukczaszye.

— Kat ich policzy. Tam musieli być chyba nie sami Łopatycy, ale z Wólki, z Kostużyna i Zabłocia, zamruczał Morawiec.

Strukczaszye się zamyślił i obejrzał ku słońcu, które już było spuściło się za czarną chmur ławę. Gdzieniedzie tylko, przez rozszarpane jej strzępy, blask się dobywał jaskrawy. U góry obłok siny piętrzył się zaokrąglonemi jakby pagórkami, których kształty szybko się mieniły. Popatrzawszy na chmurę, rzekł Strukczaszye powolnie:

— Niéma co, trzeba na swoim postawić. — Hm? mocno się czujesz pobitym? możesz na koń sięść?

Morawiec się ruszył żwawo.

— A czemu nie. Co tam, pobity czy nie pobity. Jak trzeba to trzeba. — Niéma rady.

— Weź acan baryłkę wódki ze śpiczra — rozumiesz — rzekł spokojnie Strukczaszye.



— Rozumiem.

— Ludzi zwołać do karczmy, co żyje. Co żyje, ciągnął dalej stary. Grabie, cepy, kosy niechaj zabiorą, kto ma. Ale żeby mi wyszli do nogi. Dać po kieliszku, dać po dwa, niechaj baryłkę wypiją. Zanosi się na burzę, tem lepiej; siano trzeba zabrać, bodaj w błoto je wmieścić, zniszczyć, ale dać im się niem cieszyć—nigdy w świecie! Cicho iść lasem i zaroślami, juści oni całą noc tam na straży stać nie będą. Jeśli stróże jacy się znajdują, powiązać, pokneblować i rzucić na błocie.

Morawiec ręką machnął, dając znać, że on to wszystko wie i rozumie.

— Toć to nie pierwszyczna—zamruczał.

Ruszył się natychmiast, spełniając rozkaz pana.

Strukezaszyc zadumał się i dodał w półgłosno:

— Jak którego pobijecie — niema co — żałować ich nie będziesz.

Morawiec pięć podniósł do góry, pokłonił się, i choć ruch dał mu uczuć ból w kościach, nie syknąwszy nawet, żwawo dosyć ku folwarkowi się posunął. Przed końcem rozmowy, panna Strukezaszanka weszła już była do pokoi. Na prawo z sieni, w obszernej izbie, którą zwykle zajmował syn gospodarza, pan Erazm, świecy jeszcze nie było. Dwoma oknami od dziedzińca wpadające światło oblewało ją szarym półmrokiem, który po kątach już się w zupełną ciemność zamienił. Pokój

to był kawalerski, z łóżkiem skromnem bez pawilonu, naprzeciw okien, z szafą i kilku stołami, ze strzelbami i przyborami myśliwskimi, rozwieszonymi na ścianach. Nad łóżkiem wisiała owalna blacha, z wizerunkiem Matki Bożkiej, z gromnicą wstążką przepasaną i palmą Kwietnej Niedzieli. Pod nią maleńki krucyfix rozciągał ramiona nad głowami. Na łóżku okrytem skórą łosią i kołdrą wełnianą, leżał, z rękami pod głowę podłożonemi, młody panicz, w którym się jeszcze widać burzyło wszystko, bo się rzucał niespokojnie.

Pociachu na palcach poczęła się zbliżać ku niemu jejność, jakby go posądzała, że mógł usnąć.

Postrzegłszy, że się poruszał, zapytała:

— Nie śpisz.

— Ale, gdzie mnie tam do snu, — zawołał leżący — we mnie jeszcze wszystko kipi.

— A boli cię?

— E! to tam i mówić niema o czem — odparł leżący. — Sam-em winien, a ludzie nie, bo im się bić mnie pewnie ani śniło, ani chciało — alem wpadł. — Nawet nie jestem pewnym czy rana na ręku kosą przeciętą, od cudzego człeka czy od swoich. Chciałem ich przywieść do rozumu.

— Ale także-boś się wdał — poczęła Strukezaszanka. — Po co ci się było w to mieszać? — Chłopy się coroku tam tłuką, to ich rzecz.

— No, co ciocia chce, nie mogłem wytrzymać, —

żywo mówił leżący. Taką mam naturę, że na bójkę patrzeć z zimną krwią nie mogę. Po co się bić, na co, przecież gdzieś jest prawo, sąd, sprawiedliwość.

Tych wyrazów domawiał, gdy niespodzianie ojca stojącego z rękami w tył założonemi spostrzegł przed sobą. Zamilkł nagle.

Strukczaszye zdawał się chcieć słuchać dalej. Ciotka cofnęła się zaraz do stolika, na którym leżały płatki w kilkoro poskładane i jakieś medykamentu.

Moment długi dosyć panowało milczenie.

Wtem stary, jakby na ostatnie wyrazy syna, dłużnym był odpowiedź, zaczął zeicha, ze zwykłą sobie flegmą i udanym spokojem.

— A tak—tak, jest gdzieś prawo, sąd i sprawiedliwość. Musi gdzieś być. Niewątpliwie — tylko nie u nas. U nas zeszło na pięści i na to—kto kogo zmoże.

A juści sprawiedliwość gdzieś musi być, ale się pod te czasy schowała. Do sądu iść z panem sędzią Czemyryńskim, który ma i wiosek dużo i przyjaciół wielu, i kolligatów i potentatów za sobą, to jakby pieniądze w błoto wrzucać.

Ja z nim nie wygram nigdy, a dokuczać mu mogę zawsze i muszę. A no, muszę, wziąłby mi Osowicz, dalej zabrałby Gordziszczę i Kuliki i las,

i wlaźby mi pod stodołę—na to niema rady! Bronie się muszę!

— Ja-tam na te rzeczy, proszę ojca dobrodzieja, rzekł cicho Erazm, rozumu nie mam—ale....

— I, póki ja żyję, mieszać się też do tych spraw cale nie masz potrzeby. Po co? na co ci było leżé, palce kłaść między drzwi,—mówił Strukezaszyc—jak mnie na świecie nie stanie, rób sobie co zechcesz, lecz póki ja żyję, zostaw to mnie.

— Kiedyż-bo się tłukli, aż strach! poczał Erazm.

— A tobie to co szkodziło że się oni tłukli? odparł zimno stary. — Niech się świat poleruje, niech się chamy za łeb wodzą, ażebyś ty miał pocziwą krew szlachecką rozlewać....

Zżymnął ramionami stary.

— Przecieć to ludzie—rzekł pocichu Erazm.

— Jacy ludzie? — przerwał Strukezaszyc nieco goręcej i splunął.

Odszedł kilka kroków zamyślony ku oknu. Korzystając z tego, ciotka się zbliżyła z namoczonym w winie płatkim.

— Krew z rany nie płynie?—zapytała pocichu.

— Zdaje się, że nie—szepnął leżący.

— Ale na stłuczeniu trzeba płatek odmienić.

Zabierała się do tej operacyi, gdy, od okna się odwróciwszy, Strukezaszyc zapytał:

— Nie widziałeś, nie poznasz który cię-to kosa smagnał?

— Proszę ojca kochanego, począł ranny, ja-bo nawet nie wiem czy Łopatycki który, czy nasz. Ra-na nie głęboka; niéma o czem i mówić.

— Zawsze krew — odparł Strukezaszyc — a za krew i to jeszcze szlachecką, musi popłynąć krew. To nie nie pomoże.

Mówił to z flegmą, ale z taką stanowczością, że się nawet opierać mu nikt nie śmiał.

— O tem-bo niéma co i mówić—powtórzył cicho p. Erazm.

— Tak—ale ludzie widzieli i gadać będą—rzekł Strukezaszyc. Dziś tam w Łopatyczach wielki try-umf nad nami zapijać będą. Hm! hm! Śliwka do-stanie konika w podarku, a Bracki pasik i sukno na kontusz. Ludzi popoją. Niech się cieszą—póki my za swoje nie oddamy.

Bo — oddamy, jak Bóg na niebie. Oddamy—rzekł Strukezaszyc.

Mrok był coraz gęstszy w izbie, lecz z dalekiej chmury na zachodzie poczynało błyskać i kiedy-niekiedy blade światelko błyskawicy rozświecało izdebkę.

Panna Strukezaszanka, która i nie lubiła burzy i obawiała się jej, zażegnowała ją, pocichu coś sze-peząc.

— Tego jeszcze brakło — odezwała się, żeby na noc burza przysła.



— A, niech idzie! niech idzie. Ja jej rad jestem — rzekł, patrząc w okno Strukezaszyc.

— Co-bo panu bratu się stało! zdumiona przerwała, panna Strukezaszanka. Siano i na pokosach i w kopach.

— Niech je licho porwie — zawołał gospodarz. Co mi siano!

Było to tak niezrozumiałem dla siostry, że aż ramiionami ruszyła.

— Dałbyś-bo brat pokój, licho wyzywać. To się nie godzi.

W tej chwili zagrzmiało w dali, Strukezaszyc ręce zatarł, a panna przeżegnała się.

— Ot lepiejbyś asińdzka poszła i kazała kadzie pod rynny popodstawiać na wodę deszczową, bo po tem będzie kweres o miękką wodę, a dziś ulewę nam Pan Bóg da, co się zowie.

— Co-bo pan brat prorokuje takie rzeczy. Może chmura przejść bokiem.

— Ja nie chcę żeby bokiem przechodziła, zakończył stary.

Wtem błyskawica jaśniejsza niż poprzednie rozświetliła nagle pokój cały, i prawie natychmiast rozległ się potężny łoskot piorunu.

W szyby okien poczynąły bić ogromne krople deszczu, — ciężkie, zwiastujące nadchodzącą już ulewę, wichur i gromy.



Panna Strukczaszanka wychyliła się przez drzwi, wołając:

— Okiennice zamykać!

Strukczaszye stał wprost zwrócony twarzą do okna i zdawał się lubować nadciągającą flagą, czego siostra zrozumieć nie mogła.

W podwórzu słyhać już było, nagle szumieć poczynające, drzewa; wiatr się zerwał gwałtowny, okiennice stukwały, krople spadały gęstsze coraz. Błysk za błyskiem gonił i grzmot za grzmotem.

W domu biegali wszyscy, zamykając drzwi, szrubując okiennice, znosząc pod dach co stało na dworze. Strukczaszanka modliła się; pan Erazm leżał ze spuszczoną głową; Strukczaszye, dopóki okiennic nie pozamykano, wpatrywał się, z jakimś ukontentowaniem, w nadciągającą szybko chmurę, z której już zaczynały lać deszczu potoki, pomieszanego z gradem. Na dachu słyhać było stukot kulek lodowych, które w gonty uderzały.

Wniesiono światło i zadumany gospodarz od okna zwrócił się ku synowi, wejrzenie pełne czułości topiąc w milczącym chłopaku.

Pan Erazm zdawał się na łóżku spoczywać więcej przez posłuszeństwo niż z dobrej woli. Rękę miał jedną, wprawdzie obwiązaną, na płachtach trochę krwi przeciekającej widać było, był może potłuczony,—lecz w twarzy więcej niepokoju pawało niż cierpienia.

Chłopak był śliczny, trochę do ojca podobny, lecz twarz surowa Strukezaszyca w tej nowej transfiguracyi zyskała, wyszlachetniała, myślą jaśniejszą świeciła. Rysy też same delikatniejsze były, wyraz ich odmienny. Na twarzy ojca ponura i zamknięta w sobie energia pokrywała wszystko twardą jakąś, nieprzenikliwą zasłoną; u syna życie wewnętrzne tryskało oczyma, chciało się dobywać wargami, drgało we wszystkich mięśniach ruchomego ciała. Oprócz tego, że był pięknym, pan Erazm, miał w sobie coś szlachetnego, rycerskiego, i—cały kwitł młodością.

Można mieć lat dwadzieścia kilka i być starym, albo nie umieć nosić młodości; pan Erazm jeszcze miał jej tyle w sobie, iż ani mógł, ani-by potrafił ukryć życia które w nim wrzało.

Widocznie—przymusowy spokój terazniejszy był sprawą ojca i skutkiem nakazu jego a prośb ciotki; gdyby nie to, Erazm-by był dawno zerwał się, i choć ruchem żywszym dogodził niepokoju i niecierpliwości. Ale panna Blandyna, gdyż takie było imię Strukezaszanki, urodzonej w sam dzień tej patronki, dnia 21 Maja. — przymusiła siostrzeńca do leżenia, będąc pewną, iż to ranie było potrzebem.

Strukezaszy też, niespokojny o syna, spoczynku tego wymagał.

Szcześciem owa rana w zamieszaniu kosą zada-



na, wcale ciężką nie była; trochę z niej krwi uszło, lecz skóra tylko była przecięta.

W pierwszej chwili chciano posłać po felezera do Kobrynia, na gubernię, ale pan Hojski, który z szablami miał nieraz do czynienia i ran się napa-trzył, uznał, że się bez felezera obejść było można w ysmienicie. I jakkolwiek mu szło wielce o zdro-wie syna, nie radby był felezera wzywał, aby hi-storya owej bójki z chłopami się nie rozchodziła.

Postanowiono więc domowemi środkami dawać radę, a panna Blandyna upewniała, iż byle jej słu-chano, przy pomocy plastra, który miała po niebo-szczyku Strukezaszym, rana się pręciuchno zagoi.

Burza szalała na dworze; gospodarz, na chwilę tylko wyszedłszy popatrzeć na nią z ganku, po-wrócił i siadł przy synu, a Strukezaszanka odpra-wiała modlitwy. Z wieczszą się musiano wstrzy-mać, gdyż w taką ulewę półmisków z kuchni do dworu nie było sposobu przenosić. Nikomu się też jeść nie chciało, oprócz może pana Erazma, a tego ciotka życzyła sobie skazać na dyetę.

Ulewa, w pierwszej chwili nadzwyczaj gwałto-wna, zaczynała się już zmieniać w deszcz spokojny, ale nadzwyczaj rzęsisty. Pioruny, które zrazu je-den po drugim były gdzieś w otaczające drzewa, kiedyniekiedy tylko padały i to coraz się oddala-jąc. Chłopak z podgoloną głową przyszedł zapy-tać: czyby nie podawać wieczery? Strukezaszyc

go zbył milczeniem, lecz konieckonców przynieść ją kazano na przeciwek do izby stołowej.

Wzburzony jeszcze Hojski jeść nie chciał, napił się wódki, chlebem zakąsił i nie tknął nic więcej. Strukeczaszanka zjadła trochę kaszki na mleku i chciała nią nakarmić chorego, ale ten się dopomniął mięsa i na łóżku je zjadł z apetytem.

Po wieczerzy zwykle Strukeczaszyc, chodząc po izbie jadalnej i bawialni, odmawiał pacierze. I tego dnia nie opuścił ich, lecz kończyły się one regularnie najpóźniej o jedenastej godzinie, poczem wołał chłopca, kazał sobie buty ściągać i szedł na spoczynek.

Tego dnia już blisko było dwunastej, a nieśpiąca panna Blandyna, która dla odmiany kompres nad drzemiącym siostrzeńcem czuwała, słyszała jeszcze brata chodzącego ciągle po pokojach.

Deszcz i burza już były zupełnie ustały, na podwórzu zaczynało się wyjaśniać i czarne tylko, porwane obłoki za chmurą uciekały na lasy; Strukeczaszyc wyglądał oknami, wychodził na ganek, a spać się nie kładł.

Niecierpliwiło to siostrę, a choć wiedziała, że ze Strukeczaszycem, gdy co wziął do serca, niepodobna było wygrać sprawy, postanowiła choć spróbować namówienia go do spoczynku.

Wyszła więc.

— Ale co-bo pan brat drepcze, drepcze! Kiedy już po północy, toż czas dawno spać.

— No, to asińdzka śpij! odparł stary — śpij! Czyż i nademną będziesz komenderować i przewodzić.

— Dajże mi pokój!—

Odwrócił się i na tem rozmowa i próba się skończyła.

Wistocie nie mógł położyć się pan Hojski dopóty, dopóki-by się z powrotem Morawca nie doczekał, bo na wychodnem mu szepnął, że o którejkolwiek porze powróci, żeby mu się natychmiast meldował.

Prawda, że od dworu w Sierhinie na łąkę Osowiecką, był dobry kawał drogi, a i siana też, tam gdzie wozy, konie ani woły, dla grzęzawicy, nie mogły wleźć, samotuzkiem je ściągając, nie można było tak rychło zabrać.

Że noce w Czerwcu krótkie, już dobrze dnieć zaczynało i ptactwo się budziło, gdy nareszcie wśród ciszy wyteżone ucho Strukezaszyca pochwyciło tentent konia zbliżającego się ku dworowi.

Ani chybi—musiał to być Morawiec. Gospodarz wyszedł z pośpiechem na ganek. U bramy już stary ekonom z konia zsiadał, a w brzasku dnia spostrzegłszy biały kitel pański, żwawo ku niemu śpieszył. Sama ta rzeźwość ekonomy dobrym była znakiem.

Strukezaszyc, mimo stojących od deszczu kałuży, zeszedł do połowy dziedzińca.

— A co? spytał.

— Wedle rozkazania! począł, kłaniając się Morawiec, od którego mocno wódkę czuć było.

Pan Hojski przystąpił bliżej.

— Była straż?

— A jakże i trzech stało, z których dwu leży: dostali dobrą pamiątkę i w kij ich powiązać kazałem. Trzeci, bestya, uciekł, com się bał, żeby gromady nie naprowadził; ale jak się burza rozpostarła—strach jak szalała; sądny dzień był na błocie; pioruny waliły tylko patrzeć kto żyw! Musiał gdzieś przyczepnąć. A my czasu nie marnowali, het siano zgarnęli i do wody, do prudu, w trzęsawicę.

— Już my z Osowca schodziliśmy, gdy gromada od Łopatycz poczęła biedz—a no, po harapie. Siana i źdźbła nie zostało.

— Ani im, ani nam! mruknął pan Hojski. A ludziom się dobrze dostało?

Morawiec głową pokiwał.

— Aby się wylizali—rzekł krótko.

— Weź sobie aśińdziej kasztanowatą—co zpod Sapiezanki—dodał pan Hojski.

Morawiec się do nóg pokłonił.

— O tem, co się z panem Erazmem stało, ani mrumru—rzekł Strukezaszyc. Będą gadać,—po-

wiedzieć—jakożywo, pisarz był Hryniewicz. Co to dziś?

Morawiec, który, w lepszym będąc humorze, przyśłowia „niby“ używał—dodał żwawo:

— Niby czwartek.

— Czwartek — powtórzył Strukezaszyc. Już bądźcobądź, ja w tem, że pan Erazm w niedzielę się pokaże w kościele, zdrów i rumiany. Tem im gęb / zamaluje. Choćby trochę i pokawęczał, co robić Zresztą zechcą pleść, niech plotą.

Dzień się już robił na dobre, Morawiec miał prawo do spoczynku, który się też i staremu panu należał, rozeszli się więc po cichu, właśnie gdy na folwarku dziewczęta do roboty już budzono.

Panna Blandyna, nie rozbierając się, z różańcem w ręku, spała w krześle, na najmniejszy szelest się zrywając i przysłuchując czy Erazm zasypia.

Ranny spał młodym snem, lecz niespokojnym, rzucając się, mówiąc przez sen, pokrzykując i wcale na rękę chorą niemając względu.

Po kilkakroć usiłowała dla kompres i przewiązania rany dobudzić się go ciotka, ale napróżno. Zaledwie na pół otworzywszy oczy, pan Erazm natychmiast je zamykał znowu i głośne chrapanie dowodziło, iż snu nadewszystko potrzebował.

---

W pomroce wieków zagięła pamięć o tym kto

dwór w Łopatyczach fundował; ale że to był niegłupi człowiek, na to się zgadzali wszyscy. Na kilkadziesiąt mil w koło nie nigdzie podobnego nie było. Wśród tych równin i moczarów, kto sobie dawniej wyższy nieco i suchszy hrud upatrzył, a przyparł się do lasku, już się mógł bardzo szczęśliwym nazwać. Przeworniejszy nierównie fundator anonimus Łopatycz, wynalazł sobie wodocięz, zwaną Prudnikiem. a kędyś z głębi starej Puszczy Kobryńskiej płynącą.

Czy natura w tem miejscu sama tak rzeczulką zakręciła, czy jej rydel i łopata dopomogły, dosyć że Prudnik dzielił się tu na dwa koryta, obejmował niemi rodzaj wysepki, i nieco opodal, znowu się łącząc w jedno, biegł gdzieś dalej ku Muchawcowi, zwanemu w dawnych czasach Muchą.

Wyspa, dosyć spora, a co lepiej, wyniesiona tak, że jej na wiosnę wody wezbrane nie zalewały, chyba gdzieś trochę, zasadzona była przed laty olchami, wierzbami, sosnami i świerkami, tak, że wyglądała gdyby koszyk zielony. Olchy szczególnie, co to lubią żyć na moczarach i nad wodą, tak tu bujały, że miło na nie patrzeć było, a świerki też zdały się z niemi iść na wypródkę, choć i starym wierzbom nieobeinanym nie zarzucić nie było można. Pięły się do góry, jakby do tego miały prawo.

Jedna część wyspy, niby lasek gęsty, bardzo pię-

knie zarastała, a i nareszcie jej porozrzucane stare drzewa pozostawiano między budowlami, i po brzegach jakby obszycie z olch zostało dokoluteńka.

Z pośrodku tej gęstwiny i zieleni wyglądał dwór stary, co się zowie okazały, choć w znaczniejszej części drewniany; dalej, to tu, to owdzie, stały lamusy, serniki, kaplica, skarbiec—wszystko porządne, na podmurowaniach kamiennych, a że się tam ludzie kochali w tem, żeby to pięknie wyglądało, wyspa niemal cała była poobwodzona płotami z polnych kamieni, o które nietrudno w okolicy. Te szare głazy, przybłądy z zamorza, gdy się do nich poczepiają rozchodniki, chmiel, perestupy, białe polne powoje, co migdałami pachną—rozkosz patrzeć, jak to śliczne.

Od gościńca kobryńskiego do dworu, przez Prudnik prowadził most fundamentalny, bo i szeroki tak, aby pańska kolasa wygodnie po nim przejść mogła, i na palach dębowych, gęsto pobitych oparty, że się nie ugiął pod największym ciężarem.

Mówiono o Łopatyczach, że tam jak u Pana Boga za piecem się siedziało, a uchowaj Panie, zawieruchy jakiej, można się było nawet jakiś czas i bronić.

Rzeczka, choć niepokaźna, głęboka była i grzęzka. Ludzie w niej łapali piskorze, raki, a kaczki i gęsi miały prawdziwą rozkosz, bo mogły odbywać podróże daleko poza dwór, najczęściej też dopiero na noc wracały. Była i sadzawka, w które

trzymano i karmiono ryby na stół pański, choć się ludzie skarżyli, że mułem je czuć było.

Do Łopatycz, jak-eśmy mówili, wsi i przysiółków należało jeszcze dosyć, i dobra były znaczne. Niedys one do książęcego zamku w Kobryniu należały i służby odprawiały; potem, jak wiele innych dóbr podobnych, oderwało je jakieś książątko, i w dziedziczne obróciło. Czemeryńscy już od kilku pokoleń Łopatycze trzymali — od kilku też pokoleń, Łopatycy dziedzice o sporą sianożęć, zwaną Osowcem, spierali się z właścicielami sąsiedniego Sierhina. Łopatycze oprócz tego, miały pretensyę bodaj, że na ich gruntach nawet dwór stał Sierhiński, a w Sierhinie było podanie i tradycya, że ogromny szmat lasu przytykający do Osowca, trzymany już zdawna przez Łopatyekich dziedziców, należał niegdys do Sierhina.

Toczyły się o to procesy, ciągnęły się, wlokły i końca im nie było, a tymczasem coroku powtarzały się krwawe boje na Osowieckiej sianożęci. Odgrażał się p. sędzia Czemeryński; milcząc swoje robił, niedając się w kaszy zjeść, uparty Strukezaszyc Hojski; a dwie rodziny od wielu już pokoleń nienawidząc się, omijały się wzajemnie. Przy nienawiści, jaka je dzieliła i zajściach nieustannych, które ją rozżarzały, to omijanie się z niemaleni było połączone trudnościami. Obie wioski *in primis* do jednej należały parafii, a choć p. sędzia Czemeryń-



ski kaplicę własną miał u siebie, nie mógł się wyrzec zupełnie parafialnego kościoła, do którego kilka razy w rok na wielkie uroczystości stawiał się musiał. Spotykano się więc w kościele, a bywało, że się trafiło zjechać i u sąsiada. Najczęściej wówczas jeden się wynosił jak mógł najrychlej, niekiedy jednak nie wypadało uciekać. Bokiem więc chodzili, niechcąc się znać, Czemeryński i Hojski.

Pierwszy z nich na pana chorował, a tamtego na jednej, choć dużej, wsi, miał za hetkę pętelkę. Hojski znowu na Czemeryńskich wydziwiał, dowodząc, że choć od kilku pokoleń szlachtę udawali, jakoby nia nie byli. Żartował sobie z nich, zowiąc ich mieszczanami Czarnawczyckimi.

Tymczasem Czemeryńscy już i księżęce i senatorskie mieli kolligacye i pieli się tak, że na Hojskich patrzeć nie chcieli, nazywając ich hołotą.

Że pomiędzy często okrutnie rozwścieczonemi na siebie rodzinami, do starcia, napadu i krwi rozlewu nie przyszło, przyznać to było potrzeba wyraźnej łasce Bożej. Strukczaszye też Hojski, żelazny człęk, był milczący i nieporywczy, a Czemeryńskiego rodzina i blizcy chronili i zabiegali, aby burdy nie poczynął. Ciągnęło się to tak już od niepamiętnych czasów, ale ludzie ciągle prorokowali, że kiedyś jednak będzie nieszczęście z tego. Tymcza-

sem, prawie równolatki, Czemeryński i Hojski postarzel, zdala na się patrząc i fukając.

Tego dnia gdy do Sierhina rannego p. Erazma przywieziono, w Łopatyczach byli goście, a że sędzia Czemeryński lubił przyjmować i zabawiać się, występować po pańsku, i pana grać rolę, nikt ani pomyślał o tem, że na Osowieckiej dyferencyi tragedya się odegrywała. Skład dworu w Łopatyczach cale nie był podobnym do szlacheckiego, skromnego, acz zamożnego, domu p. Strukczaszyca.

Pan Bonifacy Czemeryński, częstogęsto w stolicy bawił, w polityczne i sejmikowe sprawy rad się mieszał, stosunkami wysokimi się chlubił, korespondował z królewską kancelaryą, z dygnitarzami, miewał sobie powierzane funkcyje różne publiczne i sekretne: wysoko też głowę nosił.

Ludzie utrzymywali, że niepospolite miał zdolności, zwano go statystą i on sam sądził się pewno zdolnym do najwyższych funkcyj. Dotąd jednak, choć się nim z Warszawy chętnie posługiwano, do wyższych godności, mimo zabiegów, nie dopuścili go ci, co lepiej nad niego starać się o nie umieli.

Czemeryński był niegdyś bardzo pięknym mężczyzną, co na nim dziś jeszcze widzieć było, stroił się zawsze bardzo starannie, i w domu, choć gości nie miał, nigdy się nie zaniedbywał. Lubiał mówić i wyrażał się z pewnym doborem wyrazów nieco wyszukany, trochę rozwlekle, głos podnosząc i

zniżając, jakgdyby przed kratkami stał. Z domowymi nawet i w prywatnem życiu nie schodził z tego stanowiska oratorskiego: sływał też z wymowy i nikt mu jej nie zaprzeczał. Może dlatego lubił się otaczać słuchaczami, gości witał chętnie, a gdy nieznanego schwycił, który go nigdy jeszcze nie słytał, występował natchniony przed nim, wyszukując przedmiotu do opowiadania, któryby z całą elokwencyą dozwolił się popisać.

Domowi uważali, że się często powtarzał w swych oratorskich wystąpieniach, lecz za każdym razem podziwiano piękny talent jego.

Z powierzchowności Czemeryński nikomu z magnatów nie ustąpił: wzrost miał piękny, postawę kształtną, rysy twarzy szlachetne, choć wyrazu pozbawione, uśmiech przyjemny, układ całe dworski. Niebieskie oczy mocno wypukłe, wdzięczne choć nieco wystające wargi, czoło wspaniałe, fizyognomii jego nadawały rodzaj majestatyczności imponującej.

Sama pani sędzina Kassylida z Horbowskiich Czemeryńska, z którą się jegomość ożenił z przywiązania, choć była ubogą panią, kobiecina prostoduszna, dobra, męża uwielbiająca, posłuszna mu, uśmiechnięta zawsze, wykształceniem nie równała się z mężem, sercem go przewyższała. Widać na niej było, mimo wieku, ślady owej miniaturowej piękności, którą sobie serce małżonka pozyskała.

Była blondynką, maleńkiego wzrostu, ale ślicznych rysów twarzy, drobnych; a rączki pulehniutkie, lilipuciej maleńkości, starannie pielęgnowane i nóżki zawsze w maluśkie trzewiczki na korkach obute, wielbili wszyscy przyjaciele domu prozą i rymami.

Najlepsza w świecie istota, kochała męża, przepadała za córką jedyną, rada była sobie zjednać serca wszystkich i prawie gniewać się nie umiała. Gdy ją co bardzo oburzyło, popłakiwała w kątku. Było to pięćdziesięcioletnie dziecko, a nawet ruchy, uśmiechy, mowę, mimo wieku, miała jakąś dziecinną. Sama jedna w domu, gdyby nie jegomość, nigdy-by w świecie sobie rady nie dała. W najmniejszej też rzeczy po radę musiała iść do jegomości i po rozkazy, za nie niechcąc na siebie brać odpowiedzialności.

Wychowania najdroższej obu państwu, jedynej córeczki, teraz już lat dwudziestu dochodzącej, sędzianki Leonilli, matka także na siebie wziąć ani mogła ani chciała. Czemeryński, który ją jedną miał a wysoko nader patrzył, umyślił jej dać wychowanie jaknajświeńsze, marząc o tem, że conajmniej mitrą książeczą piękną jej główkę uwieńczy.

Pieszczone, chuchane, pierwsze w domu dziecię jedyne, sędzianka Leonilla była tak śliczną jak oboje rodzice. Wyrosła tylko, znacznie wzrostem

przechodząc matkę, a rysami twarzy i ją i pana sędziego przypominała. Miała jego piękne, lazurowe oczy wypukłe; matusi—nosek marmurowy, usta cudnego kroju, rączki i nóżki maleńkie i arystokratyczne. Tej piękności dodawały uroku włosy, jakich, zdaniem matki i bony Francuzki, drugich podobnych nie było na świecie. Koloru blond popielatego, jak jedwab' delikatne, rozpuszczone, okrywały ją płaszczem po kolana. Ciężko jej było nosić bujne warkocze; ale któżby śmiał dotknąć ich świętokradzkimi nożycami?

Leonilka, której zawczasu dano bonę Francuzkę, panią St. Aubin, osobę niegdyś do dobrych towarzystw nawykłą i talentów pełną, rozmarzoną i exaltowaną, wiele od niej skorzystała, lecz skutkiem połączonych pieszczot matusi, ojca, bony i wszystkich domowników, wyrosła na śmiałą i samowolną istotę.

Onego czasu jeszcze o emancypacji kobiet, według naszych pojęć dzisiejszych, mowy nie było; miasto spierać się o nią w teorii kobiety większego świata za Augusta II-go i jego następcy,— w praktyce do wyswobodzenia się zupełnego dążyły. Uznaniem zostało powszechnie, bez wchodzenia w rozumowanie nad tym przedmiotem, że piękne panie miały prawo czynić co im się podobało, zwłaszcza gdy sentymta i serdeczne porywy za wymówkę służyły. Rozwodzono się też i pobieranano,

nadużywając praw owego sentymentu i afektów, które im gwałtowniej wybuchały, tem krócej trwały.

Pani St. Aubin hołdowała tej teorii postępowej, że serce wyższe miało prawa nad te, które pospolitemu życiu służyły i pospolitymi rządziły ludźmi. Naturalnie, prawa te wyjątkowe tylko klassom wykształconym społeczeństwa przysługiwały i monopol szczęśliwości dla nich był przeznaczony.

Sama sędzina, o której uszy obijały się niekiedy teorye pani St. Aubin, nigdy w życiu nie ośmieliłaby się była zaprzeczać im, lecz słuchając ich przybierała minkę zafrasowaną, skłopotaną, milczała i—widać było po niej, iż nie rozumiała całkowicie tej nowej filozofii życia.

Zaprawdę, trudno określić jaką była panna sędzianka, kończąc wychowanie, z jednej strony religijne i staroświeckimi maxymami przejęte, z drugiej sentymentalnością i światowemi wpływy Francuzki trochę pobalamuczone. Natura, dając jej umysł nadzwyczaj pojętny, rozum przenikliwy, uczucie zarazem gorące i ku szlachetnym podlatujące ideałom, obdarzyła ją przecuciem i instynktem cudownym, który, ód przesady w obu kierunkach wstrzymywał, sprzeczność ich wskazywał, a z sądem o życiu i świecie kazał czekać doświadczenia.

Leonilka milczała, słuchała, nie umiała dobrze pogodzić tego, co mówiła matka, z tem, co wychwa-

łała pani bona; nie przechylała się na żadną stronę: ale z wielkiem pragnieniem życia i doświadczenia patrzyła na świat i czekała na to, by się przed nią wrota jego otwały.

To, co miała przed sobą na wsi, było dla niej chyba tylko wstępem do życia, obiecywała sobie więcej, szerzej, świetniej.

Tymczasem, mniemając zapewne, iż książki malowały społeczeństwo, czytała wiele i bez wyboru, a opowiadania pani St. Aubin służyły za komentarze i criteria.

Sędzianka w Łopatyczach wśród otoczenia, którego była królową, wszystkich przechodziła bystrością umysłu i czuła się wyższą; pomimo to było to dobre, wesołe, szczęśliwe dziecię, ciekawe, łatwo się zabawić dające i ożywiające dwór swym wdziękiem i dowcipem.

Mówiliśmy już, że Łopatycze częstych miewały gości: sędzia z gościnności słynął. Miano go za bardzo możnego pana: boć wsi różnych i folwarków liczyło się za nim sporo; życie było pańskie, służba liczna — i Czemeryński rad mawiał, że mu tam tysiączek dusiów różnicy nie robił.

Czy to było prawdą, sam Pan Bóg wiedział o tem; na święto-jańskie kontrakty czasami trochę biegano za pieniędzmi, lecz procenta się płaciły regularnie i bez zwłoki. Długi bowiem miał sędzia i to spore. Jedne intabulowane były, drugie za kie-

szonkowemi skryptami i obligami; nie liczył nikt ile razem wynosić mogły—lecz coroku ich, zamiast ubywać, przyrastało.

Miał sędzia talent osobliwy zaciągania długów, tak jakoś zawsze, że nie on o pożyczanie prosił, tylko jego o lokatę błagano. Szlachta do kolan się kłaniała, sędzia wahał się nawet i opierał, a konieckojcem nie mógł pocziwemu szlachcicowi odmówić i skrypt wydawał. Ubodzy ichmość z województwa Brzeskiego, ba i z Podlasia, sędziego mieli za tłusty połec, a że procenta uiszczal, niekając po nie jeździć kilka razy, kredyt miał wielki.

Czy sam Czemeryński dokładnie miał spisane swe długi i zdawał sobie sprawę ze stanu majątku? za to ręczyć nie można; lecz, że wspaniale pieniądze używał, bez skąpstwa i nierozpadając się nad groszem każdym, wiedzieli wszyscy.

Coroku z Gdańska przychodziły obfite prowizye do domu, wina, bakaliij, cukru, kawy, korzennych przypraw, a niekiedy i sprzętu wytworniejszego; z Węgier sprowadzano wino stołowe pospolite i Tokaj-kapkę, który był od wielkiego dzwonu.

Stroje dla pań, szczególnie dla Leonilki, przychodziły też z zagranicy, równie jak farfury, szkła, materya, a nawet sukno dla samego jegomości. Czemeryński gusta miał pańskie, a o czemkolwiek zasłyszał, że w używaniu było u osób dystyngowanych, to zaraz u siebie mieć musiał.



Dnia tego zjechał był właśnie pan Podkomorzy Buchowiecki w gościnę do sędziego, gość ulubiony Czemeryńskiemu, bo z wielu względów charakterem do niego podobny, lecz nierównie czynniejszy. Buchowiecki miał też o mil kilka od Łopatycz dwór na stopie nowoczesnej, sam się już był przebrał po francuzku i życie pędził na politycznych robotach, trzymając się stronnictwa Czartoryskich i Fleminga.

Podkomorzy całe niemal życie z powodu tych zabiegów sejmikowych, processowych, jednania sobie sere obywatelskich i dworowania magnatom, których trzymał stronę, spędzał w podróżach. Stały się one dlań nałogiem, potrzebą, tak, że gdy w domu siedzieć był zmuszonym — tęsknił. Czemeryński, leniwszy daleko, mało się ruszał z domu, był więc dlań Buchowiecki łącznikiem ze światem, przynosił mu wieści oryentujące, stawał się najpożądańszym z gości. Puszczał się oba naówczas w rozprawy nad możliwymi skutkami kroków uczynionych przez Czartoryskich lub zamierzonych przez Fleminga, o czym Podkomorzy zawsze bywał przed innymi uwiadomiony.

Zdawało się Czemeryńskiemu, iż elokwencyą swą wpływał kanałem Podkomorzego na postanowienia, jakie w wyższych sferach czyniono. To go w dumę wbijało. Można więc sobie wystawić jak Buchowieckiego przyjmowano.

Podkomorzy, który od lat kilku dopiero, gwoli swym przyjaciółom politycznym, przebrał się po francuzku, trochę był jeszcze w stroju tym sztywnym, nieco śmiesznym; peruka mu zawadzała, nogi w pończochach marzły, kamizelka nie zastępowała pasa, i z tego powodu zapewne często się w zwierciadłach przeglądał, a zawsze coś na sobie poprawiał. Nie był to nigdy piękny mężczyzna; twarz miał pospolitą, piernikowej barwy, oczy bure maleńkie; lecz nadzwyczajna żywość, ruchawość, gadatliwość i śmiałość w towarzystwie, przyjemnym go czyniły. Jak tylko przybył Buchowiecki, podano śniadanie i panowie zasiedli, rozprawiając *de publicis*, gdy Śliwka ekonom się zameldował.

Był to suchy, mały, ospowaty człeczyna, nie mówiący wiele, lecz nadzwyczaj sprężysty i do utrzymania porządku rygorem jedyny.

Czemeryński, gdy mu dano znać, że Śliwka czeka w przedpokoju, ponieważ to przerywało rozmowę, niezmiernie się oburzył.

— Na rany Pańskie! niech-że mi da pokój, widząc, że mam w domu tak dostojnego i miłego mi gościa!

To mówiąc, patetycznie ręce wyciągnął. Ale Paweł, kamerdyner, przyglądając włosy, szepnął:

— Sprawa jakaś pilna, extraordinaryjna!

Usłyszawszy to sędzieja, pędem wybiegł do przedpokoju, gościa przepaszając. Śliwka stał ponuro,

w ziemię patrząc, w kurtce, butach długich, z bizunem przez plecy.

— Jakże możesz o tej porze, tak niewłaściwej, mój Śliwka, inkomodować mnie drobnostkami! Gdzie się to? przyzwoita-li? potrzebna?

— Jaśnie panie—odparł chrypliwie ekonom— Sierhińscy chłopi het koszą na Osowcu, jak raz bez przeszkody zetną trawę.

— Wiadoma rzecz, że tego się dopuszczać nie godzi!—zawołał żywo Czemeryński. — Po cóż o to pytać! Sankeyonuję zawsze co w tej mierze przez acana jest uczynione.

— Przecież tam się bez bójk i awantury nie obejdzie— rzekł Śliwka, — więc trzeba, żeby jaśnie pan był uwiadomionym.

— Zabijać nie trzeba, ale bić co wlezie! — odezwał się sędzia, gwałt gwałtem odpierać. — Szlachetka sobie pozwala, rozumu nie ma; okaż-że mu acan, iż z nami się mierzyć nie może. Z lada czem nie występujcie, wziąć ludzi z innych wiosek i nauczyć ich, co to zemną wojować.

Trochę rozgrzany tem sędzia, już się miał w wymowne puścić instrukcje ekonomowi, gdy nagle, oczekującego Buchowieckiego przypomniawszy sobie, urwał, kończąc summarycznie:

— Masz acan normę z lat poprzednich — zatem według niej proszę postąpić i zważać, abyśmy szwanku nie ponieśli.

Sklonił się Śliwka i wyszedł.

Tego mu tylko potrzeba było: wyraźnego rozkazu i dyspozycyi, aby w razie jakiego nieszczęścia sam nie odpowiadał. Wszystko zresztą było w gotowości: Bracki pisarz z koniem okulbaczonym stał zabramą; ludzie ze wszystkich włości, co-najzuchowatsi, już byli pościągani. W takich okolicznościach zwykle im wódki obficie dawano, a że oprócz tego Łopatycy zęb mieli do Sierhińskich, szli więc z ochotą wielką. Bracki pisarz, hoży chłop, awanturnika kawał, dość jednostajne funkeye swe przy lamusach i gorzelnii rad był urozmaicić, dowodząc ludziom przy napadzie.

Śliwka jako hetman i wódz wyprawy, sam osobą swą nigdy się nie narażał, stawał zwykle na hrudku, w błoto się nie puszczał i wołaniem tylko ludzi zagrzewał.

— A wal-że ich! a wal! nie żałujcie kijów! w lesie ich rośnie dość.—Popraw! popraw! i t. p.

Wiemy już jakie były skutki napaści na kosiarzy Sierhińskich i że p. Erazma skaleczonego i potłuczonego, gdy rozzbrajać zamierzał, ledwie ztamtąd Morawiee wyrwał. Jednakże Bracki, który się nadto naprzód wysforował, także nie wyszedł cało. Nabito mu guzów, rozplątano skroń do krwi, i odzież na nim poszarpano. Zwycięstwo przeważających sił okupione było drogą. Z Łopatyekich ludzi jeden miał rękę przetrąconą, drugi nogę zwi-

chnięta, nie licząc pomniejszych sińców i bolesnych razów.

Już pod wieczór Śliwka, ludziom kazawszy dać wódki dla zapicia sprawy, sam z Brackim udał się do dworu z raportem, chcąc też pisarza stawić do wizyi pańskiej, bo mu się nagroda należała. Właśnie Buchowiecki był odjechał, i znużony nader żywą rozmową Czemeryński, muchy opędzając chustką, sam jeden w kancelaryi swej odpoczywał, gdy Śliwka wszedł z ukłonem, wiodąc za sobą Brackiego.

Zobaczywszy ich zrazu sędzia, którego myśli były jeszcze w Wołczynie i Terespolu, nierychło się opamiętał i przypomniał sobie o co chodziło. Dopiero rozbita głowa Brackiego pamięć w nim zbudziła. Zerwał się z krzesła.

— Cóż tedy?

— Stało się według rozkazu jaśnie pana—odezwał się Śliwka powolnie i dobitnie.—Szczyściem że ja wyszedłem cało, bo bójka była zajadła, ale oto Brackiego poturbowali dobrze.

Czemeryński spójrzył nań.

— Na czymże się skończyło? jaki rezultat finalny?—zapytał.

— Naturalnie, proszę jaśnie pana, żeśmy ich spędzili precz, nabiwszy.—To się rozumie—odezwał się Bracki—a no—co się bronili zuchwale, to bronili. Ale mają za swoje!

— Jeszcze, proszę jaśnie pana—dodał z ironicznym uśmiechem Śliwka, pana Strukezaszyca syn, chcąc niby rozjemcą być, niepotrzebnie wlaź między ludzi, to i tego raniono szpetnie. Ledwie go ekonom, mało nie na rękach salwował. Plejzyrowany!

Czemeryński szeroko rozwarł usta.

— Co-bo powiadasz?—zawołał.

— Jak mi Bóg miły—powtórzył Śliwka.

— A no, pewno! potwierdził Bracki.

Sędzia stał chwilę zamyślony, kombinując coś.

— Dobrze mu tak! — krzyknął nagle, dobrze. Gdyby samemu Strukezaszycowi się dostało, nie rzekłbym nic—niech w szkodę nie lizą, niech cudzego nie zagarniają! Dobrze! stokroć dobrze!

— Siano-śmy przeciągnęli na naszą stronę—dodał Śliwka.

Sędzia głową dał znak pochwalający, poszedł do kantorka, dobył coś z niego, u okna obliczył, i stojących w progu obdarzył za wierne posługi.

Wyszli. Czemeryńskiego twarz, zrazu rozpromieniona, pochmurniała wkrótce; rachował może następstwa. Przeszedł się parę razy po kancelaryi, lecz że do wieczery dano znać, wyszedł na pokoje. Tu nań pani sędzina i Leonilka, pani St. Aubin i ksiądz kapelan z Brześciea, Dominikanin, oczekiwali.

Ksiądz Ambroży, którego nie znamy jeszcze, ex-

definitor, człowiek wiekowy i poważny, zdolny w rozmowie dostać choćby wymownemu sędziemu; posyłanym tu był z klasztoru, dla wygodnego i spokojnego życia, jakie tu pędził, i dla towarzystwa miłego Czemeryńskiemu. Wchodzącego do salki bawialnej powitała pieśczętami córka i spostrzegła zaraz chmurkę na twarzy.

— Podkomorzy tatkę musiał zamęczyć — odezwała się panienka z politowaniem.

— Ale nie, jako żywo! lubię go — odpowiedział Czemeryński. Rozmowa w tych przedmiotach, które się tyczą spraw publicznych — jest dla mnie prawdziwą rekonfortacją!

— A cóż tatkowi jest? — zapytała córka, za którą matka, wlepiając oczy w ukochanego, szepnęła.

— Jegomość — bo istotnie coś zaturbowany!

— To powszedni chleb, łaska kochanego sąsiada, tego szlachetki Strukeczaszyca, który mi pod bokiem siedzi! no!

— A cóż? co? — podchwyciła córka — cóż nowego?

— Nowego, bo się *idem ibidem* co roku regularnie repetuje, począł Czemeryński, z tą jedną małą różnicą, że w dżdżyste lata wcześniej, w posuchy później przychodzi. Znowu mi ci rozbójnicy Sierhińscy łąkę moją na Osowcu kosić próbowali, znowum siłą napaść i wiolencję odpierać musiał; przyczem waleczny rycerz Bracki kontuzyi dostał.

Gdy to mówił, ze smutną jakąś i zakłopotaną minką przypatrywała się ojcu Leonilka. Wcale ją to nie radowało; ksiądz ex-definitor mileczący głową potrząsał, jejmość twarzyczką całą okazywała grozę i oburzenie. Pani St. Aubin nie zdawała się na sprawy te powszednie zwrócić nawet uwagi.

— Tandem, ciągnął dalej wymowny sędzia, zmuszając się nieco do okazania radości, tandem naturalnie wiktorya przy nas; nieprzyjaciel z konfuzyą opuścił pole bitwy, łup siana pokoszonego zabrano, a jw. pan Strukczaszye, miły sąsiad nasz, jegomości synkowi swojemu, wchodzącemu w jego ślady, plastry teraz przykłada, bo się kawaler wmieszał czynnie między walczących, i pono kosą szpetnie został raniony!

Z ust panny Leonilli, której piękne brewki się zmarszczyły, wyrwał się wykrzyknik:

— Cóż znowu! Czyż może być!

— A cóż w tem dziwnego?—odparł Czemeryński, rodem kury ezubate: kawaler czasu nie traci: zamiast się zapisać do chorągwi, wojuje z chłopami! Zawsze to dowodzi rycerskiego ducha!

Jejmość przystąpiła, stukając trzewiczkami na korkach, dotknęła ręką dłoni mężowskiej i podnosząc główkę zwiędłą a dziwnie wyrazem dziecinną, szepnęła:

— Czyż to może być?

— Juścić-bym nie komponował — odezwał się



sędzia. Śliwka z Brackim tykoco wyszli odemnie. Spodziewam się, że nie kłamią. Bracki paskudnie pobity!

I śmiać się począł sędzia; kobiety, już nie przedłużając rozmowy, cofnęły się nieco ku oknu, a Czemeryński został w pośrodku pokoju z ex-definitorem.

Dominikanin głową ciągle potrząsał, nie nie mówiąc.

— Śliwka może powiedzieć z Cezarem: *veni, vidi, vici*. Cieszę się z tego, mój mości dobrodzieju. Lecz, z drugiej strony — dodał, spoglądając ku kobietom i głos zniżając — z drugiej strony, nie taję, że z tego poranienia syna Strukeczaszyca nie bardzo rad jestem. Trzeba, jak ja, znać tego człowieka! Mruk zajadły, mściwy, zły, więc mu to żółci dodaje do serca, a jest jej w niem i tak dosyć. Należy się więc mieć na ostrożności. Nie żebym się miał lękać tego szerepetki — bynajmniej, ale na pieczy się mieć muszę bardziej jeszcze, bo na wszystko gotów. Imaginuje sobie pewnie, iż za jego szacowną krew szlachecką — równa jej popłynąć powinna.

Ruszył ramionami ex-definitorem.

— Fatalny *casus!* — mruknął.

— Cóż jegomość dobrodziej chcesz — ciągnął dalej, znowu podnosząc głos sędzia, gdy kogo Bóg pokarał taką dokuką, taką *skutą* pod pachą, takim

wrzodem i pestylencyą, jak mnie oto tym sąsiadem! Ani dnia, ani nocy spokojnej nie mam.

— Znasz jegomość Strukeczaszyca?

Ex-definitor potrząsł głową.

— Tylko, żem go parę razy zdaleka widział.

— Ja też, ale znam to ziółko po zapachu, który do koła siebie rozlewa. Znam! — mówił sędzia — patrząc nań, rzekłbyś, Bogu ducha winien, pokorny, milezący, trzymający się kąta, pary nie puści z ust, ale z oczów — fraszka wileze wejrzenie, gdy w jamę wpadnie złoczyńca. Nie piśnie, nie poskarży się, nie mruknie, a zmóźdz go niema sposobu.

— Jakż temu koniec będzie? — zapytał ex-definitor.

— Wiekuista wojna, po wszystkim — rzekł Czemeryński. Nie stanie starego — syn już począł, odziedziczy po nim sentymta, chyba, gdy Bóg da zięcia z energią, to szlachetkę zagryzie. Dałem się mu i ja we znaki, ledwie dysze, bo się na processa zrujnował, ale póki koszulę mają na grzbiecie, nie ustąpią.

Ex-definitor, który wiedział dobrze o zamożności Hojskich, bo nieraz w klasztorze znaczne depozyta czasu niepokojów składali, nieznacznie ramionami poruszył.

— Do koszuli to tam jeszcze daleko, szepnął — mają się oni dobrze!

Sędzia wpatrzył się w mówiącego.

— A zkąd-że to jegomość o tem możesz wiedzieć? — spytał. Ludzie twierdzą, że Tadeusza śpiewają. Jedna wieś, niezgorsza prawda, bo się zaborami po całym sąsiedztwie zapomogła; po żonie posagu wielkiego nie wziął.

— Ja tam nie wiem — rzekł zeicha ex-definitor, lecz że kapitały bardzo znaczne w rękach mają, które nieraz u nas deponowali, rzecz to wątpliwości nieulegająca.

Czemeryński zdawał się tą wiadomością mocno uderzony.

— Na prawdę to jegomość twierdzisz! — zapytał.

— Nie śmiałbym na lekko, jaśnie wielmożnemu panu takich rzeczy do ucha kłaść — dodał ex-definitor. Gdy razą ostatnią kufry swe przywieźli, oddając księdzu przeorowi i klasztorowi w opiekę, deklarowanych mieli piętnaście tysięcy czerwonych złotych, oprócz talarów bitych i innych kosztownych przedmiotów.

— Proszę! proszę! — rzekł zadumany Czemeryński. Tem ci gorzej, bo ich znać trybunały nie zruinowały, i dojadać mi będą, póki grosza stanie. Tandem, skazany jestem na wiekiście borykanie się z nimi!

Westchnął.

— Ludzie-bo się godzą—czasami!—dołożył ex-definitor.

Usłyszawszy to Czemeryński, w głos się rozśmiał.

— Jak świat światem, mój ojcie, nie będzie Hojski Czemeryńskim bratem! Ja z torbami nie pójdę, Bóg łaskaw, a ich z niemi wyprawię! Będzie zgoda, jak tych hołyszów nie stanie!

— Ani ich dukatów, ani ich zajadłości się nie boję. Co Czemeryński, to nie jakiś tam Hojski—ale ale—*usque ad finem!* nie ustapiemy!

---

Kościół parafialny do którego i Sierhin i Łopatycze należały, jak wszystkie prawie w tych okolicach, z drzewa był wystawiony, drzewem był restaurowany i poczerniawszy a zawiądłszy, trzyma się jeszcze wcale nieźle, choć z jednej strony, dla bezpieczeństwa, miasto szkarp, silnemi kłodami go podpierano. Powierzchność miał skromną, i stał re chyba drzewa, otaczające go dokoła, dodawały mu fizyognomii. Jak kościół sam tak dzwonnica bez żadnego względu na piękność zbudowane były. Cmentarzyk, oparkaniony nieładnie ale mocno, opasywał go dokoła.

Pomimo tak zaniedbanej powierzchowności domu Bożego, parafia była wielka, probostwo dobrze wyposażone. Lecz z dawien dawna po sobie następujący proboszczowie, o własne wygody i o pokazność kościoła dbać się nie zdawali. Nie była to

obojętność dla chwały Bożej, lecz tylko pojęcie, że chwała ta wystawnego gmachu, ani nęcących oko ozdób nie potrzebowała.

Kościół był wewnątrz czysty, nie zaciekało nigdzie, ceglami wyłożona podłoga, choć miejscami ponadwerezana, całe jeszcze była znośną, okna w ołwiu prawie całe. Staroświeckie ołtarze, potroszę złożone, trochę malowane, pstrzyło ofiar, firaneczek, votów, kwiatów i obrazków mnóstwo, chorągwi przy ławkach stał cały las, ołtarzyk przenośny jeden i drugi strojny był zawsze świeżo, organ prawie cały odpowiadał, a na podniesienie huczał pysznie—czegóż było żądać więcej? Elegancyi? a na cóżby się ona ludowi ubogiemu przydała, dla którego i tak domek Boży był aż nadto przyozdobionym?

Czystość w nim utrzymywano jaknajtroskliwiej; do nabożeństwa nie brakowało nic; baldachym nawet nowy z galonami na processyach wspaniale występował, a zakrystya obficie była zaopatrzona w aparata.

Proboszcz miejscowy, ksiądz Dagieli, który już lat kilkanaście parafii przewodniczył, był człowiekiem wielkiego ducha, lecz zarazem wielkiej obyczajów prostoty. Mówiono, że ze znacznej familii, niegdyś zamożnej, ale tak zubożałej pochodził, iż z miłosierdzia był w seminaryum utrzymywany. Pańskich domów nie widywał nigdy zamłodu, obeował

najwięcej z ubogimi, smaku też wykwintnego nabyć nie miał ni czasu ni sposobności.

Tak samo było u niego w plebanii jak w kościele, czysto, schludnie lecz całe nie elegancko. On też sam wyglądał dziwnie: raczej na żołnierza niż na księdza. Na pierwszy rzut oka ogorzała, długa twarz jego z oczyma piwnemi, które zwyczaj miały wlepić się tak w ludzi, jakgdyby najskrytszych myśli z nich dobyć chciały — nie uderzała wcale. Ale im więcej się w nią było potem wpatrywać, tem też mocniej zastanawiała wyrazem odwagi wyzywającej do walki, choćby świat cały.

W rewerendzie z sukna grubego, w butach koźlowych, w bieliźnie niemal zgrzebnej, w czapce wytartej, ksiądz Dagiel szedł do pałaców tak śmiało jak do chat. Powierzchowność ta, umyślnie zaniedbana, nie znamionowała w nim wcale obyczajów i obejścia się z ludźmi zbyt surowego i ostrego. Zdawało się można było nastraszyć, bo żołniersko i zawadyacko wyglądał, lecz minę tę dawała mu chyba wielka jego nieśmiałość.

Z ludźmi był łagodny bardzo, a jak żyw nikt go nie widział gniewnym. Nie mówił wiele—znać go kosztowało dobyć z siebie słowo; ale gdy raz usta otworzył, bez ogródki, z dobrocią, łagodnie straszną prawdę wypowiadał każdemu.

Ani dostojność, ani nazwisko, ani stosunki nie powstrzymały go nigdy od strofowania woczy, gdy

to za obowiązek uważał. Za oczy znowu bronił każdego.

Ksiądz był ze wszech miar przykładny, bogobojny, gorliwy; lecz że przymiotów towarzyskich nie miał, ludziom się nie akomodował, nie kłaniał nikomu, nie dawał się ująć nieczem, nie lubiono go.

Szanować księdza Dagiela musiano, ale unikano stosunków z nim, i duchowieństwo nawet, dla którego był żywym wyrzutem częstokroć, stroniło od niego.

Na probostwie też ani się pożywić, ani zabawić nie było można: przyjmował gościnnie bardzo, jednak tem tylko, co dla siebie miał i czego sam używał. On zaś sam spełna nigdy nie wiedział anico pić, ani czem się karmił.

Śniadanie na probostwie składało się prawie zawsze z czarnego chleba, niedobrego masła, prostej wódki, wędliny nieosobliwej i kwaszonych ogórków. Amatorów też na nie wielu nie znajdował ks. Dagiel. Przyjeżdżał doń tylko ten, kto koniecznie go potrzebował.

Choć żył dosyć osamotniony, nigdy się nie poskarżył na to; czynnym był bardzo, a że parafię miał rozległą i z filij pomocy nie wiele, nieustannie z bryczki swej na wóz, z wozu na bryczkę przesiadać się musiał.

Ksiądz Dagiel od objęcia parafii oko miał ciągle na Łopatycze i Sierhin, na waśń, która dwa dwory

dzieliła. W Łopatyczach bywał rzadko, gdyż tam dlań za pańsko się noszono, w Sierhinie—częściej i poufalej, lecz zagadać o jakiejś zgodzie nie było sposobu: Hojski natychmiast usta ścisnął, ręce kładł w kieszenie i milczał.

Jak wszystkie drobne przygody po wsiach, tak i bójka na sianożęci Osowieckiej ze wszystkimi szczegółami się po sąsiedztwie roznieśła. Mówiono nawet, iż syn Strukezaszyca tak ciężko był ranny, że z łóżka się nie ruszał.

W nadchodzącą niedzielę przypadało uroczyste święto Apostołów Piotra i Pawła, pod których inwokacją kościół parafialny był poświęcony. Z obowiązku na ten dzień przybywał zwykle sędzia z rodziną, dworem i pewną ostentacją, tem większą, że go w parafii niezawsze widywano. Na ten dzień kollatorska ławka jego zawieszana była wyblakłym suknem paśowem, które zwykle zdejmowano potem dla oszczędności. Spodziewano się go i teraz.

Strukezaszyc z siostrą i synem, jeżeli ten w domu się znajdował, przybywał regularnie w niedzielę każdą. Ławkę miał swoją własną, zamykaną, nie w rzędzie z innymi, ale na boku u ściany stojącą. Nie można jej było na nieszczęście inaczej umieścić tylko nieopodal od kollatorskiej, tak że siedzący naprzeciw uniknąć widzenia siebie nie mogli.



Przez poszanowanie jednak dla domu Bożego, choć blisko siebie umieszczeni, sędzia i Strukeczaszyce, nigdy sobie w oczy nie zajrzeli. Jeden i drugi zdawał się nie wiedzieć kogo miał w bliskości.

Nie można tego było powiedzieć o kobietach, które, niby się wcale nieznając, niewidząc niby, nader ciekawemi z ukosa mierzyły się oczyma. Sędzina, wytrzymać niemogąc, co zerknęła, to przestraszona wracała z pośpiechem do książki. Panna Leonilla patrzyła nawet wyzywająco i śmiało, p. St. Aubin z pogardą i lekceważeniem, których wcale ukrywać nie myślała.

Panna Blandyna umiała, modląc się, tak spojrzeć, że nigdy jej nikt na uczynku nie złapał.

Pan Erazm, syn Strukeczaszyca, i z polecenia ojca i z własnej woli, nie patrzył wcale na kollatorską ławkę. Stawał zawsze obok ojca, i raz oczy na wielki ołtarz obróciwszy, już w bok niemi ani strzelił.

Nazajutrz po wypadku wszyscy jeszcze około chorego ciągle siedzieli, a choć on gwałtem się z łóżka wyrывał, wstawać mu nie pozwolono. Wieczorem, gdy sami byli, odezwał się Strukeczaszyce:

— Wyleż się i wyliz, do Niedzieli, bo, da Bóg doczekać, w Niedzielę do kościoła musisz pojechać i to ubrany jak zwykle, aby okazać, żeś nie był ranny.

Nie chcę, aby się oni tem cieszyli. Choćby trochę.

chę przeboleć przyszło, a choćby odleżeć? to co? przecież warto coś, gdy się ich niepoczciwej satysfakcyi pozbawi.

Ciotce o tem nie mówiono nic, ażeby zawczasu nie protestowała. Rana, chociaż się goiła bardzo szybko, jednakże do Niedzieli się zamknąć nie mogła. Pan Erazm z tego bólu, jakiego miał doświadczyć, żartował; ojcu było go żal, ale miał wyższe konsyderacye. Syna kochał mocno, lecz honor swój szlachecki bardziej jeszcze.

Gdy zrana panna Blandyna się dowiedziała, że ojciec Erazma do kościoła chciał brać, i to jeszcze bez rozprutego rękawa, ręce załamała z desperacyi. Chciała protestować, prosić i błagać, ale spojrzawszy na brata, którego znała dobrze, z twarzy jego pomiarkowała, że to-by było próżnem. Erazm już się zabierał odziewać; obandażowano chorą jeszcze i trochę nabrzęklą rękę tak, aby na nią rękaw sukni mógł wejść. Ubieraniu ojciec był przytomnym.

— O to idzie, aby włożyć, rzekł chłodno—jeżeli potem zdjąć będzie trudno suknię, to się rozetnie. Niech лихо bierze, mniejsza o to.

Ojciec nawet gotów był trochę zbladłego syna, czemkolwiek naróżnować, tak mu szło o to, aby z twarzy nie poznać nie było można.

— W kościele się trzymaj junacko, a choćby bolało, miną nadrabiaj: niech się te pyszałki nie

cieszą naszą biedą. Wezmą oni za nią zapłatę, a tymczasem, ani pary puścić się nie godzi.

Z ojcem trzymał syn jaknajzgodniej i zastosował się do jego woli. Przystroił się pięknie, rękaw na rękę obwiązaną naciągnął tak, że znaku nie było, popróbowwał nawet, choć z bólem, ruszać się, i czapeczkę nabakier nałożywszy, do kościoła był gotów.

Strukezaszyc, popatrzwszy nań, uśmiechnął się smutnie i po głowie go pogłaskał.

— Otóż to! lubię—rzekł—człowiek ze swoim bólem na plac nigdy nie powinien wyjeżdżać. Dziecięca rzecz się skarżyć; mężstwo—swoje robić i milczeć.

Pannie Blandynie łzy w oczach stały, ale sprze-  
ciwić się bratu nie miała we zwyczaju; pilnowała tylko, ażeby przy wsiadaniu do kolasy Erazmowi dopomódz, i do worka, na przypadek wszelki, wzięła co było potrzeba do opatrzenia rany i rozcięcia rękawa, jeśli-by dolegał. W istocie rana silnie przewiązana bolała mocno, rękaw i suknia nie były wygodne; lecz pan Erazm, w całym znaczeniu wyrazu mężczyzna, uśmiechał się i chwilami tylko zaciągał usta.

Do kościoła był spory kawał drogi, grobelki kamienne trzęsące, kolasa niewysmienicie niosła: Erazm jednak, zagadując o tem i owem, jechał udając wesołego. W duszy jego co się działo, z tego

ani przed ojcem, ani przed kochaną ciocią spowiadać się nie mógł. W szkołach najpierw u Jezuitów, potem w palestrze lubelskiej, napatrzył się różnego świata, nielepszego może od tego, wśród którego się urodził,—lecz nauka i obcowanie z ludźmi wiele mu dały do myślenia.

Była to chwila, jakie przychodzą czasem w życiu narodów, gdy zło doścignawszy największego stopnia, obudza instynktowo w duszach pragnienie jakiejś zmiany i poprawy. Konarski właśnie był przemówił za reformą wychowania i obrad nad sprawami publicznymi; w powietrzu było czuć potrzebę jakiejś zmiany w życiu, które nikomu znosnym nie było. Społeczność od panowania Augusta II, ciągle była jakby na stopie wojennej; wewnątrz kraju składające go żywioły, nawet żywiołów tych części pojedyncze, na śmierć się zagryzały. Rozkładało się wszystko; gorzał bój, który niekiedy w łono rodzin się wkładał.

Tak samo jak Czemeryński z Hojskim, walczyli Radziwiłłowie, Potoccy, Fleming, Czartoryscy, Sapiehowie z sobą, ucierała się na sejmikach szlachta, zabijały partye na trybunach, dwór wojował z magnatami, senat z izbą poselską,—wszyscy niemal ze wszystkimi. Z prawa została łupina, kładł w nią każdy co chciał, — w istocie rozstrzygały pięści.

Nadto się tego napatrzył pan Erazm, dodaw-

szy jeszcze zapasy Jezuitów z Pijarami, ażeby mu to smakować mogło. Młodość ma i siły i ochotę do walki, ale do walki rycerskiej, szlachetnej, której cel bierze do serca; młodość, potrzebująca życia w normalnych jego warunkach, brzydzi się zarazem burdą bezmyślną, która zatruwa najpiękniejsze dni żywota. Panu Erazmowi więc i nieważnie względem Czemeryńskich ojcowska, i ciągle ucieranie się o kawał błotnistej łąki i ten spadkowy spór nieszczęsny, wcale miłym nie był. Ojca niemogąc nawrócić, ani śmiejąc mu się opierać, milcząco musiał poślubić jego sprawę i, choć bez przekonania, iść za jego skazówkami. Na sianożęć Osowiecką wpadł był, zapomniawszy się, wcale nie po myśli ojcowskiej, chcąc przejednywać i godzić. Gdyby mu się to było udało, dostałby od ojca straszliwą burę, szczęściem raniono go, i to zatarło sprawę, zmieniło znaczenie interwencji.

Strukezaszyc, z którym syn mało mógł rozprawić, bo stary nie dopuszczał nigdy Erazma do dysput z sobą, znał go tylko z jego posłuszeństwa, przywiązania do siebie i innych przymiotów—do głębi jego duszy i przekonań wcale przystępu nie miał; przed ciotką Blandyną ulubieniec też spowiadać się nie mógł i nie chciał: był więc we własnym domu, powiedzieć można, niemal nieznanym.

Ojciec i ciotka kochali go zarówno, cieszyli się

nim, ale mało go rozumieli. Erazm też ani z nimi, ani z innymi zwolennikami istniejącego porządku rzeczy, w spory nie wchodził. Po ojcu wziął ów charakter milczący i w sobie zamknięty. Od czynu go nie powstrzymać nie mogło,—czego dał dowód na sianożęci; w słowach był skąpy.

W Łopatyczach pierwszy tryumf po zdobyciu siana, przechwałki wesołe Brackiego i Śliwki, nazajutrz się w kwaśne usposobienie zmieniły, gdy się dowiedziano, że nocą, mimo burzy, chłopci Sierhińscy naszli sianożęc, siano zabrali i zniszczyli, a stróżów pobili i powiązali.

Śliwka w początkach ukryć chciał przed sędzią tę swą dekonfiturę, a że kontroli ścisłej siana nie było, udałoby się to może, gdyby zrana służące nie wypaplały przed jejmością historyi całej, i sędzia nie kazał zawołać ekonoma.

Zaprzeczyć nie było można; nagniewał się Czemeryński okrutnie, że te szlachetki na swoim postawiły. Gniew trwał aż do Niedzieli. W wigilię śś. Piotra i Pawła przypomniała jejmość, że do kościoła jechać trzeba było. Choć dosyć pobożny, pan sędzia się skrzywił, bo mu na myśl przyszło, że się może oko w oko spotkać z tym znieprawionym Strukezaszycem. Miał na myśli wytlómaczyć się chorobą i kobiety same wyprawić, lecz po głębszym zastanowieniu się uznał, że jechać był powinien.

Wybór do kościoła zawsze bywał pompatyczny. Conajmniej szła karetą, kolasa i bryczka, kilku dworzan jechało konno, towarzyszyła służba w barwie; sędzia stroił się z przepychem i ubierał w klejnoty. Chciał, aby wiedzieli wszyscy, że nie był lada pierwszym z brzegu.

A że Strukezaszyc, choć porządnie, przyjeżdżał po szlachecku i niesadząc się wcale, tem mocniej o zakasowanie go dbał Czemeryński.

— Niech znają com zaczął!—mruzczał sobie pociachu.

Już Hojski z siostrą i synem zasiadł był w swej ławce i zabierał się do modlitwy, gdy z szumem, rozpychając ludek boży, wtoczyła się rodzina Czemeryńskich. Jejmość strojna na czele, obok sędzia z ręką na karabeli, panna Leonilla jak anioł piękna, i nasepiona pani St. Aubin. Ex-definitor i rekodajni dworzanie towarzyszyli im. Zdala już postrzegł Czemeryński, stojącego z miną zuchowatą, p. Erazma, o którym był upewnionym, że ranny leżał. Okazało się tedy, że Śliwka śmiał bezwstydnie przed nim kłamać. Rumieniec wystąpił na twarz sędziego i oczy się gniewem zaiskrzyły. Śliwka, który także w kościele był, zobaczywszy p. Erazma, oczom nie chciał wierzyć. Przewidział on co nań spaść miało, i tem gorliwiej tego dnia się modlił.

Strukezaszyc, choć dosyć szumnie obok miejsca

zajmowali Czemeryńscy, ani spojrział na nich. Oczy trzymał wlepione w ogromną księgę, której karty z flegmą wielką przewracał. Panna Blandyna, niepatrzając przed się, z gorączkowym pośpiechem modliła się, przejęta całą nabożeństwem. Erazm, wyprostowany, z wąsikiem podkręconym do góry, stał niemal się urągając, piękną postawą i twarzą spokojną, wrogom swoim.

Panna Leonilla zobaczyła go, poczęła mu się przypatrywać, według zwyczaju swojego, zuchwale, i zarumieniła się z gniewu, tak go znajdowała impertynencko wyzywającym.

Ksiądz Dagiel, który sam celebrował i kazanie też miał powiedzieć, złożywszy kape, wstąpił na ambonę, przypadkiem czy z umysłu, z żywota apostołów wybrawszy sobie szczególnie jeden ustęp, owo poryweze ucięcie ucha Malchusowi, które Chrystus naganił. Z tego biorąc assumpt, rozwiódł się kaznodzieja nad nagany godnemi krwi rozlewami płochemi, nad waśniami i niezgodami, nad narodową wadą dobywania miecza lekkomyślnie z obrazą Bożą. Mimowolnie czy umyślnie ksiądz z wielką siłą wystąpił przeciw braterskim zwadom, naówczas bardzo pospolitym, i zagrażał za nie surowym sądem Boga, który krew dał nie na to, aby się dla fraszek rozlewała, i nowych waśni a zemsty była nasieniem. Znalazły się w kazaniu alluzye tak jawne do postępowania sędziego i Strukeza-



szyca, że szlachta, słuchając ich, oczyma sobie antagonistów wskazywała i uśmiechała się potroszę. Strukczaszyce, jakby nie do niego pito, z wielkim spokojem, jak w tęczę ciągle patrzył na księdza—ani mrugnął. Nie brał tego wcale do siebie, na twarzy nie widać było najmniejszego śladu wrażenia. Czemeryński, z głową spuszczoną, czerwony z gniewu, ledwie mógł w miejscu dosiedzieć. Oburzał się na zuchwałego klechę, i choć się to działo w kościele—kipiał zemstą.

Skończyło się to wreszcie, i msza nanowo się rozpoczęła, był czas ochłonąć; nastąpiły suplikacye, pieśni, modlitwy, a gdy wreszcie ruszono się z kościoła, Strukczaszyce, który przybył pierwszy, widocznie, chcąc wyjść ostatnim, pozostał jeszcze w ławce z koronką.

Czemeryńscy poczęli wychodzić, słychać było we wnętrzu uciszonym kościoła zajeżdżające powozy, klaskanie z biczów i odciągającą karete, kolasę i brykę. Dopiero się upewniwszy, iż Czemeryńskich nie napotka, Strukczaszyce wstał i szepnął synowi na ucho:

— Jeszcze trochę cierpliwości: bo musimy zajść na plebanie.

Powód był dwojaki do tego kroku: chciał Hojski pokazać syna zblizka, iż mu nie było nie, a razem proboszczowi dowieść, iż rzuconych z kazalnicy alluzyj wcale nie brał do siebie.

Panna Blandyna, ciągle niespokojnie spoglądająca na ukochanego jedynaka, radaby go była co najrychlej odwieść do domu, ale Strukczaszyca wola była niezłomną.

Wprost więc z ławy przeszli do zakrystyi, sądząc, że tam jeszcze ks. Dagiela zastaną. Nie było go już tam, bo pośpieszył przyjmować drobną szlachtę, wiadomem śniadaniem, złożonem z wódki, chleba, masła i ogórków.

Biedni ludzie, ubożsi dziedzice, oficjaliści kochali bardzo ks. Dagiela, śpieszyli więc z pokłonem i probostwo było pełne. Ksiądz Dagiel z twarzą rozjaśnioną, wypościwszy się do południa, sam już się posilał i gości zapraszał, gdy wszedł Strukczaszyce.

Uradował mu się tem mocniej, iż miał powód obawiać się, aby kazania do siebie nie wziął, pobiegł więc ścisnąć gościa, a Erazma, nie domyślając się rany, tak ujął serdecznie w objęcia, że aż rumieniec mu z bólu na twarz wystąpił.

Jak zwykle p. Hojski był milczący, poważny, przemówił zaledwie kilka słów, dał głos daleko wymówniejszej siostrze, i niegardząc brzydką gorzalką proboszcza, przystąpił do stołu.

Widok Hojskich na probostwie, zaraz po ostrem kazaniu, uczynił na szlachcie dobre wrażenie. Słyszano o zajściu na Osowcu: skłonni byli teraz wszystkie jego winę zwalić na Czemeryńskiego, któ-

ry i tak popularnością się nie cieszył, rażąc swem państwem i fumami.

Strukezaszye był napozór w humorze wysmienitym, co też miało znaczenie swoje, uśmiechał się, bąkał po słówku. Szczególną uwagę na Hojskich zwrócił ksiądz ex-definitor, który, zaproszonym będąc przez ks. Dagiela, właśnie się na probostwie znajdował. Chociaż kapelanem był w Łopatyczach; nie miał żadnej potrzeby poślubić nienawiści tego domu, a że ciekaw był Hojskich i z widzenia ich znał, starał się przybliżyć ku nim.

— A więc, poczciwy Śliwka—rzekł w duchu— albo łgał, albo mu oczy mgłą zasłyły. Człowiek kosą raniony, czwartego dnia nie wdzieje obcisłego kontusza! Chłopiec wygląda jak ryba.

Ponieważ stali, smarując chleb masłem z jednej masielniczki z Hojskim, Dominikanin, korzystając z tego, rozmowę począł.

— Wszak—rzekł, wskazując na Erazma—godna konsolacya pańska?

— Tak, syn mój.

— Cieszę się, że go w zdrowiu oglądam— dodał śpiesznie ex-definitor—bo mówiono....

— Co? co mówiono? — zapytał dobrze, udając zdumienie Hojski.

— A—to tam ludzie plotą zwyczajnie, koszałki opałki—spuszczając głowę, dodał Dominikanin.

—Czemu sobie nie mają pozwolić, zełgać, nie nie

kosztuje, rzekł Strukczaszye. Dzięki Bogu, mój poczciwy Erazm, jak go widzicie—krew z mlekiem! Mówiono mi, że puszezono pogłoskę jakoby na sianożęci był, gdy się tam bójka wszczęła! Cha! cha! To nie jego rzecz.

Dominikanin popatrzył i zaczął jeść chleb z maśłem.

— Kazanie było śliczne — dodał po chwili Hojski, prawda, mój ojeze?

Ksiądz Ambroży głową tylko potwierdził.

Tak spełniwszy co miał na myśli Hojski, pomówiwszy o rzeczach obojętnych, skinął na siostrę i syna i nareszcie ulitował się nad nim, żegnając księdza Dagiela, który go aż w dziedziniec wyprowadził. Panna Blandyna oczyma ciągle śledziła wyraz bólu na twarzy jedynaka, i admirowała lacedemońską cierpliwość jego. Ledwie nie krzyknęła gdy skoczył do bryczki, a zaledwie ta odjechała nieco od plebanii, dobyła z torebki nożyczek, proponując rozcięcie rękawa.

Było to w istocie potrzebnem, gdyż, niezgojona a uciśnięta mocno, ręka, nabrzękła i Erazmowi się chwilami słabo robiło.

Strukczaszye mileżał.

— Cóż? jak ci jest? boli?

— Boli!—odparł Erazm—ciśnie.

— No, to tnij asiúdzka rękaw, ale wewnątrz, bo

możemy się z kim spotkać na gościńcu, a niepotrzeba, aby to ludzie widzieli.

Padł tedy nowy sajetowy kontusz ofiarą, bo drżąca ręka panny Blandyny po szwie się skierować nie mogła i kieroszowała go nielitościwie.

Tymczasem powozy sędziego toczyły się ku Łopatyczom. Oddawna jejmość nie widziała kochanego małżonka w takim stanie rozdrażnienia i gniewu. A że wybuchnąć nie mógł z tem, co go dręczyło, przez drogę do woźnicy i sług się czepiał, fukając ciągle.

W kolasce jechały: p. Leonilla, pani St. Aubin i p. respektowa Maruszewska. Lecz, że ta po francuzku nie rozumiała, nauczycielka z uczennicą mogły swobodnie rozmawiać.

— A! ten ksiądz Dagiel — odezwała się pauna — pani zapewne nie uważałaś, bo to było po polsku, co plół.

— Owszem, rozumiałam doskonale, tylko — dodała pani St. Aubin, to się nie stosowało do nas, ale do tego szlachetki, który siedział cały skonfundowany, z głową spuszczoną.

— Tak! za to syn jego miał minę, jakby nami i całym światem gardził, jakby wyzywał. Nienawidzę go.

Pani St. Aubin uśmiechnęła się.

— Ordynaryjnym jest, to prawda, minę ma niezdolnie zuchwałą, ale chłopiec wcale ładny.

Leonilla zakrzyknęła ze zgrozą:

— On! ładny! cóż pani mówisz?

— Trzeba być sprawiedliwą — dodała Francuzka — mówię ci, że ordynaryjny jest, ma minę lokaja może, ale jak Antinous — zbudowany i śliczny. Rysy aż nadto szlachetne. Co za profil! Ciągłe go widziałam z profilu, bo ani drgnął w czasie nabożeństwa, a na naszą ławkę i spojrzeć nie raczył.

I bardzo dobrze zrobił — przerwała p. Leonilla: byłby spotkał wzrok pełen pogardy i nienawiści.

— A mnie to gniewa, że go nie spotkał — rozśmiała się St. Aubin.

Po chwili rozmowa przerwana nanowo się rozpoczęła. Panna Leonilla odezwała się do bony:

— Mówisz, że jest ordynaryjny; ja tego nie powiem, tylko zachwały — a ta duma w biednym szlachciu, ma coś w sobie irytującego.

Dla nich jakby nas nie było w kościele, siedzieli pod bokiem, i żadne z nich nie raczyło nawet się obejrzeć.

P. St. Aubin, która wszelkiej piękności a szczególnie w młodych mężczyznach była wielką admiraorką, najniewinniej w świecie, po kilkakroć wracała do pochwał tego gbura, który tak posągowo wyglądał.

— Co za szkoda — dodała — że to bez żadnego wychowania, wśród tej brudnej waszej szlachty się sponiewiera!

— A! niech się sobie sponiewiera!—odezwała się Leonilla—my nie mamy powodu rozczulać się nad tymi ludźmi, którzy ojcu pokoju nie dają!

Wśród tych rozmaitych uwag, dojechano do Łopatycz, a Czemeryński, zaledwie wysiadłszy z karety, cały jeszcze zburzony, natychmiast Śliwkę wołać rozkazał.

Ekonom wiedział już co to znaczyć miało i, zaledwie z konia zsiadłszy, jak winowajca śpieszył do ganku, gdzie nań burza czekała. Nie sam jednak: ciągnął za sobą Brackiego jako świadka.

Zobaczywszy go, zdala idącego, wybuchnął Czemeryński:

— Cóżes mi bezczelnie nakłamał! Jak acam śmiales mi pleść podobne baśnie! Ranny syn Strukczaszycal ranny kosą: a ten chłystek wyelegantowany stawia mi się do kościoła, zdrów, nie-  
tknięty!

— Jaśnie wielmożny panie—odparł Śliwka. Ja sam oczom nie wierzyłem, zobaczywszy go: lecz oto Bracki, który był zblizka, może poprzysiądz na ewangelię, iż go krwią oblanego Morawiec ledwie wychwycił. To są czary, czy—ja nie wiem co....

— Jakie czary? — podchwycił Czemeryński — acan byleś pijany, Bracki też; wzięliście jakiegoś oficyalistę za panicza! A to mi śliczne zwycięztwo, za które ja wam porobiłem prezenta! Siano te roz-

bójniki wychwyciły, i tej nawet nie mam satysfakcji, żeby zuchwalców nauczyli rozumu.

— Ale—przerwał Śliwka.

— Tu niema żadnego *ale!* — huknął Czemeryński—ja zostałem okłamany—ja! Acan się ośmieliłeś oszukiwać mnie! mnie! I ja mam acanu w innych rzeczach dawać wiarę.

Przerażony Śliwka, czując że, miejsce utracić może, jak stał tak klął, ręce podniósł do góry i gotował się do przysięgi.

— Ja przed księdzem, na ewangelię przysięgnę!—dodał Bracki. Jakożywo, pijanym nie byłem. Kropli w ustach nie miałem.

Przysłuchująca się zdala, strwożona sędzina, widząc męża w pasy wielkiej, co mu zawsze na zdrowiu szkodziło, przybiegła i odciągać go zaczęła.

Śliwka oprócz własnej przysięgi, ofiarował się dziesięciu chłopów sprowadzić dla poświadczenia, iż pan Erazm w istocie był rannym. Wrzawa i hałas trwały jeszcze czas jakiś, dopóki wreszcie sędzinie się nie udało niemal gwałtem męża odciągnąć. Stało na tem, że pragnący się oczyścić Śliwka, nazajutrz chłopów Łopatyckich miał przyprowadzić.

I on i Bracki mówili i zaklinali się z taką pewnością siebie, że w końcu Czemeryński sam nie wiedział co myśleć i pomrukując, poszedł do stołu.

Czekano pod wieczór na ks. ex-definitora, które-



go na probostwie zostawiono: czy też on jakiej wiadomości nie przyniesie. Przybył dosyć późno ks. Ambroży i oświadczył, że na swe oczy Strukezaszyca z synem zdrowym jak ryba, widział i mówił z nim nawet, a miał ze słów jego najmocniejsze przekonanie, iż Erazm całe rannym nie był.

Nazajutrz nowe zawikłanie. Śliwka ludzi gotowych do przysięgi przyprowadził, świadczących, że Stasiak Worobiej, który się do tego przyznawał, kosą ciął syna Strukezaszyca.

Czemeryński się żegnał i gniewał, niewiedząc co myśleć. Sturbowanym był i ks. ex-definiitor, lecz w końcu pierwszy na domysł wpadł, że rana lekka przygojona być musiała, a chłopak umyślnie do kościoła przybył, aby kłam ludziom zadał.

— Niechże i tak będzie—niech będzie jak chce!—zawołał Czemeryński. Dość! *Satis pro peccatis!* Już mi się w głowie zawraca,—plunąć i nie mówić już o tem.

Zakazał mówić pan sędzia drugim, ale sobie myśleć nie mógł zakazać, i ciągle się z tem nosił.

---

Nie był jeszcze pewnym Strukezaszyce, co z synem pocznie; to go życzył mieć przy sobie i powoli do gospodarstwa wdrażać, to żałował, że się na wsi zakopie. Widział i czuł w synu zdolności, radby był krescytywie, choćby dlatego, ażeby nią Czeme-

ryńskim dokuczyć, lecz się zarazem świata, pokus jego i odrodzenia syna od żywota szlacheckiego, od tego, co się zwało *in quo nati sumus*—obawiał.

W tej niepewności raz go słał do Lublina do palestry, to odwoływał do Sierhina. Tu chłopiec nie miał co robić, gospodarstwo szło dobrze i bez niego; polował potroszę, po lasach jeździł, czasem kogo odwiedził,—próżnował. Wpadło na myśl, opatrzonemu w kapitały, p. Hojskiemu kupić majątność dla syna; ta się jakoś nie trafiała, jakiej-by sobie życzył, a potajemnie (do czego się nie przyznawał nikomu), Strukezaszyc oddawna się pieścił z myślą, która mu do serca przyrosła. Znał on doskonale stan interesów Czemeryńskiego, lepiej może niżeli on sam, nieznacznie spisywał i z akt i z ust szlachty wszystkie summy i sumki, które sędzia ludziom był dłużny; patrzył na jego życie i miał to najgłębsze przekonanie, że prędzej, czy później Czemeryński (jak się wyrażał) beknie.

Naówczas, gdyby majątki iść musiały na wierzycieli, gotował się Hojski stanąć do kupna i zagarnąć je. Myśl ta uśmiechała mu się rajsco, cudownie, nęciła go, karmiła. Nie wydawał się z nią przedwcześnie, lecz miał oko na wierzycieli Czemeryńskiego; nieznacznie obudzał w nich nieufność, czyhajac: czy mu się nie uda nabyć co z summ na Łopatyczach opartych?

Do tego jednak nie przychodziło, bo, mimo na-

der nieopatrznego gospodarstwa sędziego, wszyscy w jego zamożność niezachwianie wierzyli. Procenta wypłacał jaknajregularniej.

Nabywając inny jaki majątek dla syna, Strukczaszye musiałby się był z kapitałem rozstać i wyrzec myśli potajemnej; wreszcie, jak wszyscy, co w pocie czoła grosza się dorabiają, Hojski do swej szkatułki i sepecika nabrał był tego mistycznego jakiegoś przywiązania, które rozstanie się, choćby najkorzystniejsze, z groszem, nader ciężkiem czyni.

Pocieszał się tem, że—a nuż nareszcie beknie?

Znaczniejszą część długów na kluczu Łopatycskim Strukczaszye miał spisaną, wiedział, że gdyby wierzyciele nacisnęli, nie mógłby sędziego wypłacić, a oprócz tego miał i tę pewność, że dużo innych summ jeszcze ciążyło na tych dobrach.

Ale co tu z synem robić było?

Erazm już kilka miesięcy siedział w Sierhinie; ojciec czuł, że nudzić się musiał, żal mu go było. Jesień się zbliżała, gdy po sąsiedztwie rozeszła się wieść, że p. Podkomorzy Buchowiecki, córkę starszą za grafa niemieckiego wydawał.

Pierwsza dostała ją w kościele panna Blandyna; spotkawszy się z panią Sierzputowską. Chodziła fama, że Buchowiecki, który do stolicy uczęszczał, a córki dwie modnie wychował, i panny były na podziw piękne, dostąpił szczęścia tego, iż graf jeden saski rozmiłował się w pannie Elizie, oświad-

czył się i przyrzeczenie otrzymał. Ponieważ ów graf na dworze Króla Jmości pełnił funkcję jakąś wysoką i do gabinetu pańskiego miał przystęp, Podkomorzy z tego wesela spodziewał się ogromnych dla siebie i rodziny korzyści. Była już obietnica starostwa z *jus communicativum* dla żony, były i inne sperandy.

Zazdroszczono i pannie i ojeu tego szczęścia, choć mówili drudzy, iż graf, mimo swojego położenia na dworze pobożnego króla, lutrem był, co dla katoliczki wcale nie przyjemnem się stawało; drudzy szeptali, że choć wyglądał młodo, przeszedł czterdziestówkę, inni, że okrutnie się w karty puszczał. Na to wszystko niezważając wcale Podkomorzy, szczęśliwą swą kolligacyę z niemieckimi grafami, chciał obchodzić z niezmierną okazałością i przy jak największej frekwencyi obywatelstwa. Wesele miało się odbyć wkrótce. Sam Podkomorzy, na listy i na posły się niezdając, objeżdżał od komina do komina najdalsze sąsiedztwo, prosząc i zaklinając serca obywatelskie, aby mu okazały jako jest—kość z kości ich—i tłumnie się na weselisko zjechali.

Podkomorzy był z Łopatyczami w stosunkach ścisłych, i samo z siebie się rozumie, iż, jednego z pierwszych p. sędziego zaprosił z córką.

Nie przyszło naówczas na myśl nawet Czemeryńskiemu zapytać: czy Strukczaszye będzie

też na weselu? Nie suponował, aby się to mogło trafić. Buchowiecki o tem nie wspominał. Sędzia, któremu o to szło, aby córkę światu pokazał, a szczególnie niemieckim grafom, baronom i wszelakiego tytułu matadorom dworskim, ucieszył się weselem, uściskał Podkomorzego i już myślał o tem tylko, jak ma wystąpić.

Zachodziła konieczna potrzeba wydatku znacznego, bo i do cugu parę koni brakło, i barwę odświeżyć wypadało, i trzydniowe, conajmniej, wesele, sukien dla panny sędzianki pięciu do sześciu wymagało. Pani St. Aubin utrzymywała, że trzy razy w dzień przebierać się było koniecznością dla osoby przyzwoitej, a dwa razy jedną suknię okazać na świat — o tem ani można było myśleć, bez srogiej kompromitacyi.

Sędzia posłał po szlachcie na zwiady i spodziewał się kilkaset czerwonych złotych ułowić. W najgorszym razie drzewo padłoby ofiarą, a z tem się nie rachowano.

Z Łopatycz jadąc, Podkomorzemu Sierhin był po drodze. Niemając wielkiej z Hojskim zażyłości, Podkomorzy nigdy z nim przecie dla przyjaźni Czemeryńskich nie zrywał. Spotykali się tu i ówdzie, jak dobrzy znajomi. Zapraszając niemal całe dwa powiaty od kołka do kołka, ominąć Hojskiego było srogą obrazą. Tej się dopuścić nie chciał Buchowiecki.

Być może, iż rachował na to, że się Strukezaszycy wymówi i nie przyjedzie, nalegać jednak nań było i przyzwyczajeniem i obowiązkiem.

Zawrócono do Sierhina.

Wyszedł na spotkanie Strukezaszycy, dziękując za łaskę mu uczynioną, wprowadził do pokoju, i w kwadrans potem stała buteleczyna i lampki, a węgrzyn wielką przyjaźń i afekt rozbudzał.

Podkomorzy, gdy się wina napił, stawał się niezmiernie czułym, porywał w objęcia, cisnął, całował i ślinił; wynurzając sentymenta w sposób tak przesadzony, że albo się trzeba było z nich śmiać albo w nie uwierzyć.

Przy drugim kieliszku, opowiedziawszy o szczęściu swem, Podkomorzy zagał, iż nie dla czego innego przybywał, tylko na to, by zakłąć, błagać, prosić, suplikować ezcigodnego przyjaciela, aby wesele swą drogą przytomnością, wraz z synem zaszczycić raczył.

Spostrzegłszy na twarzy Strukezaszycy zdumienie pewne, Podkomorzy, niewiele myśląc, przykląkł, pokłękali oba, pili tak całując się, zdrowie swe i konsolacyi, aż gdy kolana zabolowały, Strukezaszycy, na krześle gościa posadziwszy, odezwał się w te słowa:

— Za honor-był to sobie poczytał! Dzień-by to był w annalach rodziny złotem wypisany głoskami, ale— kochany Podkomorzy — *corde aperto*, po-

zwól niech spytam i uczynię uwagę:—Prosiłeś Czemeryńskich?

Zmieszał się Buchowiecki.

— Co to ma do tego!—zawołał—proszę wszystkich, kto łaskaw na mnie! Takci jest, prosiłem Czemeryńskiego, a nie zapytał mnie czym was, kochany przyjacielu, zapraszał lub nie, pewnym będąc, zaiste, iż ominąć tak godnego obywatela nie mogłem.

Argument był bez repliki.

— Hm! — odezwał się Hojski — zapewne, lecz spotkanie bodaj u jednego stołu, niemiłem być może.

— Stołów będzie dosyć, miejsca poddostatkiem, a ludzi tyle, że tam ani się stykać ni spotykać nie będziecie mieli potrzeby. Jeśli nie uczynicie mi honoru tego, uczuję ja, uczuje córka moja,—boleć będziemy, jakoś przyjaciel mój.

Zaklinał tak wciąż, a Hojski milczał z głową spuszczoną.

— I odmawiać-bym niechciał, i obiecywać nie śmiem!—rzekł wzdychając.

— Co u katal!—krzyknął rozozochocony Podkomorzy, pomyślą ludzie, ba i powiedzą, żeś się go zląkł, bo nie pomyśli nikt i injuryi mi tej nie uczyni, aby mnie o pominięcie was posądził. Wiedzą wszyscyżem tu miał być.

Posądzenie to, że Hojski mógł się ulęknąć, po-

działało najskuteczniej. Drgnął Strukezaszyc i zapłonił się.

— Ja się go bać!—wybąknął—a, niedoczekanie!

— No, to przyjedziesz i z synem, skonkludował Podkomorzy.

— No, to przyjadę!—stanowczo odezwał się Hojski.

— Słowo i ręka!

— Słowo! Podali sobie ręce. Zapito zaraz sporym kielichem.

Prawdę rzekłszy, czy Podkomorzy rad był bardzo, że mu się to tak udało, trudno zgadnąć. Odjechał, w powozie głową potrząsając i mrużąc:— No—stało się!

Po odjeździe jego, Strukezaszyc, zupełnie trzeźwy, bo kilka kieliszków starego wina nie robiły mu różnicy, chodził po pokoju zafrasowany. Erazm dnia tego był na polowaniu. Panna Blandyna stała przy powidłach: ledwie pod wieczór się jej doczekał.

— Wiesz co się święci — rzekł — lichy nadało, Podkomorzy mnie przydusił, obsedował: dałem słowo, że na weselu córki jego będziemy.

— No, to cóż!—zapytała Blandyna.

— Ba! i te Łopatyńce też będą!—zawołał stary.

Aż w ręce uderzyła panna — lecz po krótkiej chwili dorzuciła:

— Niby to zachorować nie można?



— Powiedzą, że m tchórz, bo mi to już Podkomo-  
rzy dał do zrozumienia; nie mogę się absentować.

— Juści awantury nie zrobi.

— Hm, przy kieliszkach za nie ręczyć nie mo-  
żna—odparł Strukczaszye—ale słowo się stało.

Pojedziemy.

Stańęło na tem. Wieczorem, już nie ojciec, ale  
ciotka oznajmiła o tem wracającemu z polowania  
Erazmowi. Jakoś go to nie poruszyło.

— Dlaczegożbyśmy nie mieli pojechać? — ode-  
zwał się.

Młodemu uśmiechało się pono, że się miał tro-  
chę rozerwać; rad był ludzi zobaczyć, może nawet  
poskakać.

Żywa imaginacya ciotki, przedstawiała jej wszyst-  
kie możliwe następstwa spotkania się z Czemeryń-  
skimi.

— Proszę ja ciebie, mój Erazju!—mówiła—bo to  
wszystko być może—a nuż, czy przy stole, czy prze-  
chodząc, się spotkają?

— To się wyminą!

— Nuż się temu pyszałkowi co wypśnie?

— Ojciec pewno odpowie.

— No, tak i do szabel.....

— Ludzie nie dopuszczą.

Panna Blandyna, sama też będąc zaproszoną,  
choć ochoty nie miała do tego festynu, lecz za nic  
w świecie nie byłaby go się wyrzekła. Zdawało

się jej, że brata pilnować powinna i dopilnować może. Zajęła się więc rogowką, bez której na weselu nie sposób się było ruszyć, robronem, wstążkami i zakłopotana tem trochę, o niebezpieczeństwie zapomniała.

Erazm miał z łaski ojca na występ tak paradnych parę garniturów całkowitych, iż mu na niczem nie zbywało, Strukezaszyc też zaopatrzony był w garderobę choć nie nową, lecz nadwyzczaj pięknie zachowaną i wytworną.

Co się tyczy zaprzęgów i służby, nie myślał się na nie nadwyzczajnego sadzić, nowa barwa była, uprząż dobra, nie frasował się o nie.

Dniem przed weselem wszyscy się goście zjeżdżać mieli. Do majątku Podkomorzego, położonego w Brzeskiem już, mil było z Sierhina opętanych pięć, droga zła, a że pora jesienna nadeszła, starczyło tego na cały dzień, bo o zagrzeźnięcie spokojnym nikt nie był. Na utrapionych zaś grobelkach inaczej jak noga za nogą, ani myśleć jechać. Ponieważ podróży poubieranym odbywać nie było podobna, musiano myśleć i o tem, gdzieby się przebrać; posłano albo karcznię lub chatę na ten cel zamówić.

Z Łopatycz się wybierano także, ani nawet pomyślawszy o Sierhinie i możliwości spotkania się z Hojskimi, gdy ksiądz ex-definitor, pojechawszy do proboszcza po oleje święte do kaplicy, od niego

przywiózł zarazem wiadomość, że Hojsey też na weselu być mieli.

— A o tem p. sędzia dobrodziej musi wiedzieć— rzekł flegmatycznie — że Strukczaszye na wesele proszony.

— Co-bo jegomość gadasz?—porwał się sędzia— to nie może być.

— *Relata refero*, mam to od proboszcza — rzekł ex-definitor, naturalna rzecz, że wszystkich prosząc, jednego opuszczać nie mógł, bo-by sobie śmiertelnego nieprzyjaciela uczynił z niego.

Strasliwym sposobem wzburzył się sędzia.

— A to mi piękne wesele, — począł to uczta ewangeliczna czy co? Czemuż jeszcze Śliwki i Brackiego nie prosił. To fixat ten Podkomorzy; jemu się w głowie wywróciło! Któż Hojskich prosi? Co to za szlachta! Gwałtownicy, pieniacze, nie wiedzieć zkąd to wylazło, z kim to żyje. I posadzą mnie może u jednego z nim stołu. No—to jak-em żyw, obrus przerznię, awanturę zrobię—nie wytrzymam! Śliczne mi wesele — niech go z nim opanuje słota! Nie pojedę!

Łatwo to było powiedzieć „nie pojedę“ ale panna Leonilla na pierwszą wzmiankę o tem, przybiegła do ojca i zmięczyła go. Dowodziła, że mogli tych ludzi nie widzieć, omijać, że oni się nie będą śmieli zbliżyć, że zresztą, choć zaproszeni, mogą mieć rozum i nie przybędą.

Nie pojechać, przyrzekłszy, i tak kosztowne uczyniwszy przygotowania—nie było podobna. Wielce odważna p. Leonilla, nie przypuszczała nawet żadnego niebezpieczeństwa, gotowa się była na tatka dąsać, płakać i rozchorować.

Jejmość była między młotem a kowadłem, pomiędzy najdroższą swą jedynaczką a najukochańszym mężem, którego znała porywczosć, nienawisć ku Hojskim i dumę. — Chociaż i dla niej widzenie grafów niemieckich, odżywienie się towarzystwem, spotkanie ze starymi znajomymi i pokazanie między ludźmi było bardzo pożądanem, — sędzina wszystko to z duszy serca poświęciłaby dla „kochasia“ to jest dla męża, byle jemu się, uchowaj Boże, nic złego nie stało. Pani St. Aubin trzymała silnie stronę panny, dowodząc gorąco, że gdzie kilkaset może osób jest zaproszonych, tam zawsze tych się tylko widzieć będzie, kogo się zechce. Spór o to: czy jechać czy zostać, czy jechać samym kołbietom, toczyły się dnia tego do późna; lecz gdy się już rozstawać przyszło, sędzia znacznie zmiękł. Przyczyniało się do tego, że i on życzył sobie bliższą zabrać znajomość z grafami niemieckimi, mając potajemną myśl, za pośrednictwem zięcia Podkomorzego, starać się o wyrobienie orderu Orła Białego, do którego oddawna wzdychał. W tym celu nawet zamierzał sędzia dać u siebie bal dla państwa młodych, z illuminacją, moździerzami i

fajerwerkiem; ale o tem nie mówił jeszcze nikomu. Zależało to od poznamienia się i przyjęcia, mniej więcej dobrego, przez niemieckiego grafa.

Więc, choć ów festyn podkomorski zatruty był zapowiedzianą bytnością Hojskich, p. Leonilla postawiła na swoim—pojechano.

Stoczona walka o tę wyprawę wzmogła tylko w pięknej sędziance nienawiść ku Hojskim. Nie mogła im tego darować, że według trafnego wyrażenia p. St. Aubin—*c' étaient des trouble-têtes*.

Zamłodu! miły Boże, cóż to jest świetny bal, od któregoby się człowiek na starość najdrożej wykupił? Nowi ludzie, twarze nowe—ten wielki *nieznajomy* świat co się zdala wydaje uroczym, na którym spodziewa się znaleźć tego kogoś, przez los zapowiedzianego, przyrzeczonego! A potem—wejrzenia, uśmiechy, kadzidła, oklaski, zespolenie się duchem z wielkim tłumem, który daje uznanie, który potwierdza to, co się w sobie czuło. Jak się tu tego wyrzec, gdy nadzieja takiego wieczora świąteł, muzyki, szumu, śmiechu, wesela — już raz do serca przyłgnęła! Panna Leonilla ani sobie mówić o tem nie dawała. W życiu pieszczoszki dotychczasowe tryumfy zdobywały się dotąd w tak ciasnym kółku, ciągle wśród jednych i tych samych osób!

Owi grafowie niemieccy przedstawiali dla niej świat nowy, elegancki, europejski, o którym tyle

od pani St. Aubin słyszała—cywilizacyę wyższą, co było najpiękniejszego na świecie.

Cały czas aż do wigilii wesela, upłynął w prawdziwie gorączkowym zajęciu. Próbowano, przymerzano, krajano, posyłano na wsze strony, przywożono coraz coś nowego. Rozlegały się i śmiechy radości i płacze, a dąsy wielkich zawodów. Pani St. Aubin, mistrzyni w tych sprawach, była niezmierną pomocą córce i matce. Według jej wyroków przystroić się miały obie, i najmniejszy szczegół pod sąd jej poddawano.

Naostatek dzień wyjazdu nadszedł, powozy i konie były zlustrowane, ludzie w barwie przyszli się okazać, dworacy stali w pogotowiu. Ksiądz ex-definito prorokował pogodę. Śliwka za nią nie ręczył.

Krakowskim targiem Pan Bóg dał do podróży dzień trochę pochmurny, lecz znośny, chociaż deszczyk zrana przekrapiał, lecz wiadomo powszechnie, że ranny deszcz nigdy nie jest tak niebezpiecznym, a bardzo często zwiastuje pogodę.

Jakoż z góry nie lało, ale ponieważ kilka dni (trzydniówka ulewy i kapuśniaczku na przemiany) poprzedziło to wypogodzenie wątpliwe, drogi były okropne. Wiadomo to wszystkim wsi mieszkańcom, że jesienne wiatry suszą bardzo powoli, słońce nie operuje, w polu jeszcze na piaskach jakotako, ale na litewskich grobelkach, których rowy

zdają się na to stworzone, aby odpływ wody tamowały, gdy raz jesienna słońca grzęzawicę dobrą zrobi, trwa ona do wiosny.

Woznica i p. Czemeryński znali doskonale drogę do p. Podkomorzego, na pamięć umieli wszystkie grobelki i kałuże; nie trwożyli się też zbyt niebezpiecznym, oprócz jednej kałuży o milę od majątku Podkomorzego, którą Czortkiem nazywano.

Na tym Czortku często nawet w Czerwcu po deszczu grzęźli ludzie,—cóż dopiero w jesieni! Spodziewano się jednak, że troskliwy Podkomorzy, na którego gruntach owa grobelka położoną była, dla gości ją każe choćby chróstem i faszyną wyłożyć.

Gdy o tem mówiono, p. Leonilla zniecierpliwiona ramionami ruszała i szeptała cicho:

— Czyż-bo się już wszystkiego bać! Jakoś przejedziemy!

Sędziemu szło zawsze o to, ażeby wystąpić szumnie, szła więc przodem karetą w sześć koni, w której jechali państwo oboje, dworzani dwóch przy niej i lokaje. Za nią następowała piękna kolasa w cztery konie, z p. St. Aubin i Leonillą, naostatek bryka z bronzami, konie cztery dla panien służących, tłumoków reszty i podróżnych przyborów.

Kilku konnych poprzedzało i po bokach asystowało państwu. Przez cały dzień nic się tak dalece nie trafiło, coby za złą wróżbę wziąć było można. Owszem, grobelki mające złą reputację zna-

leżono nieskończenie lepszymi niż się spodziewano. Powozy przechyłały się, jedną stroną kół zapadając w głębokie koleje, pani sędzina krzyczała i trzymała się za pasy, ale żaden się nie wyrzucił i przebrnięto kałuże bez szwanku. Zostawał Czortek, o którego się sędzia zawczasu dopytywał, trochę będąc niespokojnym. Karetą pierwsza wjechała w niebezpieczne owo miejsce; stary woźnica nader uważnie się pokierował, i chociaż w jednej kałuży głęboko zapadły koła, po kłódki prawie, sześć koni cugowych, zagrzanych batem, wychwyliły z niebezpieczeństwa.

Zdawało się tedy, że stosunkowo lżejsza kolaska przejdzie równie szczęśliwie, i stary furman, przebywszy Czortek, nieoglądając się, zaciął konie, ruszając dalej. Młody woźnica, któremu była powierzona kolaska, widząc jak łatwo się dobył z błota jego poprzednik, lekceważył sobie zdradliwy Czortek, palnął z bata i, niedobierając miejsca, puścił się w sam środek grzęzawicy. Nie szczęście chciało, że natrafił na jedną z owych niezgruntowanych przepaści rozkisłych, co zdają się dna nie mieć. Dwa koła schowały się w nich, i wśród krzyku p. St. Aubin, obawiającej się polskich dróg niezmiernie, kolaska ugrzęzła.

Palnięcie z bata raz i drugi, pociągnęło za sobą to, że młode konie pasy pozrywały i splątały się, a jeden z nich szkaradnie się wyrzucił. Dworzanie



pilnujący szczególnie karety, przodem się za nią puścili, ani się ich było dowołać; powóz, na jeden bok leżący, pozostał na Czortku, w stanie rozpaczliwym. Na dobitkę jeszcze bryka, idąca z tyłu, u której lucznia się była odczepiła, została o pół mili.

Pani bona, nieszczęśliwa pieszczoška, woźnica i lokaj, z końmi wierzgającymi i bryzgającymi błotem, zostali na łasce Bożej. Deszczyk, w brew przepowiedniom ks. ex-definitora, mrzyć zaczynał jakby na trzydniówkę. Położenie było rozpaczliwe.

Hukanie nie pomogło: kareta uchodziła i już jej za krzakami widać nie było.

W tej chwili lokajczuk, słabe chłopię, spostrzegł podjeżdżającą brykę, przed którą na koniu ktoś kłusował. Był najpewniejszym, że nadjeżdża w sukurs bryka przypóźniona—z pannami. Niestety! gdy się zbliżyła, przekonał się, że jechał ktoś obcy zupełnie.

Grobla była tak wązka, że wyminąć się na niej nie było sposobu, bryka się też przed nią zatrzymała. Wiozła ona Strukezaszyca, a konno, nie chcąc się trząść na wozie, jechał nie kto inny, tylko p. Erazm.

Strukezaszyc wychylił głowę z budy, popatrzał i zawołał:

— Otóż masz, zawalona droga! a żeb-że ich!

— Proszę jaśnie pana — odezwał się woźnica — ta-to Czortek!

I począł się śmiać, bo cudza bieda najlepsze serca nawet pobudza do śmiechu.

— Państwo kazali jechać tędy, tom jechał—do-  
dał Parfen rażno, a można objechać! Co my tu bę-  
dziemy stali, aż się Pan Bóg nad niemi zmiłuje, ja  
wezmę na Siny Bród.

— Ta! i tłumoki zamokną!— odparł Strukeczaszyca.

— Proszę jaśnie pana, ja w tem: nie zamokną!—  
zawołał Parfen—nie zamokną.

— No, to jedź—krzyknął Strukeczaszyca. A nie  
wiesz kto tam się szpetnie zawałił?

— Kto jego tam wie!—rozśmiał się Parfen.

Stojący przy bryce na koniu, p. Erazm, słysząc  
o co szło, odezwał się do Strukeczaszyca:

— Proszę ojca, ja pojedę przez groblę. — Juści  
nie zagrzęzę! A bliżej....

Ojciec głową tylko skinął, bo Parfen tryumfują-  
co już zawracał; p. Erazm siwka spał i ruszył na  
Czortek.

Wyminać zagrzęzłego powozu nie można było  
inaczej na wąskiej grobelce, tylko tuż około niego  
przejeżdżając. Ciekaw też był p. Erazm: kto się  
w kolasie znajdował. O pomocy ani podobna było  
myśleć.

Zbliżywszy się ku rozbitkom, poznał dopiero ło-  
patyckich ludzi, którzy, ujrawszy nieprzyjaciela

rodu swych panów, pospuszczali głowy i oczy. — Pani St. Aubin, wołając ratunku i myśląc, że ktoś im w pomoc śpieszy, wychyliła się z jednej strony, Leonilla zniecierpliwiona i gniewna — z drugiej. Właśnie twarz ku nim zwrócił był p. Erazm, gdy razem i bonę i pannę zobaczył, które, poznavszy go, natychmiast z krzykiem zapadły w głąb' kolaški. Ani witać, ani się zatrzymać, ni radzić, ni nawet się drugi raz obejrzeć nie mógł syn p. Strukczaszyca. Lecz pomimo nienawiści dla całego Czemeryńskich rodu, nie mógł się oprzeć wrażeniu, jakie na nim uczyniła piękna nad wyraz wszelki, przestraszona, zapłakana twarzyczka panny sędzianki.

Gdyby był posłusznym pierwszemu natchnieniu, niezważając na nic, rzuciłby się był ratować i pomagać. Lecz, przy najlepszej chęci, ofiara jego mogła być impertynencko odepchniętą, a zresztą — coby na to powiedział ojciec?

W duszy mówił sobie p. Erazm, że te spory nieszcześnie, dla kawałka sianożęci, dzielące familie i niedopuszczające ślicznej panny zapłakanej ratować, — były wielką niedorzecznością. Wyobrażał sobie, jakby ją chętnie pochwycił i na siwego posadził i zawiózł tak — choćby nawet bardzo, bardzo daleko.

Ale do Czemeryńskich się zbliżyć nie było spo-

sobu, a choćby które z nich i tonęło—tknąć się nie godziło.

Wybrnąwszy za grobelkę, dopiero się p. Erazm obejrzał. Zdawa widać jeszcze było bladą twarz p. St. Aubin i główkę p. Leonilli, której rysy nikły wprawdzie, ale je pamięć wierna odtwarzała.

— O! ładnyż to buziaczek, ładny! — rzekł w duchu p. Erazm, spoglądając ku powozowi. — Gdyby nie była Czemeryńska!

Panna Leonilla, zobaczywszy nieprzyjaciela, rozgniewała się okrutnie na niego i na los, który go czynił świadkiem katastrofy. Zdawało się jej, że uśmiechniętą złośliwie twarzą uragał jej nieszczęściu, chociaż wcale tak nie było. Rozplakała się biedna. Pani St. Aubin kłęła w sposób nieprzyzwoity, zapomniawszy się zupełnie.

Żaden muszkieter francuzki dosadniej-by się od niej nie wyraził. Strach dobył z głębin jej wspomnień, dawno pogrzebionych, w młodości jeszcze zasłyszane kłatwy. Panna Leonilla słuchała ich zdumiona, nierozumiejąc.

W tem, zanim jeszcze p. Erazm dalej się puścił w drogę, nadciągnęła bryka z pannami i czeladzią. Ludzie, porzuciwszy je, rzucili się ratować kolase, porwane pasy powiązano sznurkami, konia podniesiono, drażki, które tu ktoś był porzucił dawniej, podważono pod koła.

— Wio—wiohot! Raz, drugi — kolasa drgnęła,

i po wielkim wysiłku wydobyła się z przepaści. Pan Erazm spiął konia i pojechał dalej.

W powozie, gdy wszystko się już skończyło, panowało jeszcze rozdrażnienie wielkie.

Pani St. Aubin po klątwach skończyła na płaczu i spazmach; p. sędzianka od łez przeszła do gniewu.

— Trzeba było jeszcze tego, ażeby ten młokos był świadkiem. Będzie potem rozповідаł, śmiał się, szydził! Jestem najnieszcześniejszą istotą na ziemi.

Zarazem p. Leonilla obiecywała sobie być tak piękną, tak zachwycającą, ażeby ten nieczemny wróg, patrząc na nią w rozpacz wpadł, że się do niej zbliżyć nie może.

Dowodziła bonie, że, przejeżdżając, uśmiechał się złośliwie; niewiedzieć dlaczego p. St. Aubin, na ten raz, naprzekór wychowanczy, upierała się dowodzić, iż twarz miał kondolencyjną.

— Każdy inny kawaler — przerwała sędzianka, — byłby się zatrzymał, pomógł, poradził widząc kobiety same w takim nieszczęściu; ten sobie tryumfująco minął!

— Bo mu nie wypadało się zbliżyć — odparła p. St. Aubin. Nie potrzeba przesadzać, na ten raz nie winien nic.

Panna Leonilla nie chciała się sprzeczać — zamilkła.

Myślała teraz o stroju, o przebraniu się, o wra-

zeniu, jakie uczyni, wchodząc na salę. Podkomorzanki były bardzo piękne, lecz pochlebiała sobie, że ani twarzyczką ani strojem im nie ustąpi.

Gniew na p. Erazma połączył się z gniewem na ludzi ojcowskich, woźnice, sługi, którzy nieobejrzawszy się nawet, niedbając co spotka kolasę, popędzili przodem. Lecz całe te gniewy i niecierpliwosć i fochy ustąpiły, gdy naostatek ukazał się dwór p. Podkomorzego. Panie miały zawczasu w oficynie zamówiony pokój do przebrania się. Wiedziano, że fryzyer był sprowadzony z Warszawy. Ludzie zapewniali, że tłumok ani pudło żadne nie zamokło.

Zdała już rezydencya prezentowała się nader świetnie, oświetlona rześściami, pełna powozów, koni i ludzi. Co kwadrans straszono przybywających, waląc z móżdżerzy nad sadzawką. Serce było ślicznej pannie, gdy podjeżdżali pod oficynę.

Tu ledwo można się było docisnąć, bo z kilku powozów wysiadały także panie, z bryczek wyskakiwały służące, każdy dopytywał o pokoje. Marszałek dworu głowę tracił.

- Pokój dla sędziostwa Czemeryńskich!
- Pokój dla p. Woroszyły!
- Pokój dla p. Wiślouchowej!
- Pokój dla p. Stolnikowstwa! — rozlegało się do koła.

A tu konie się płątały, służba potraçała, i już

z dziedzińca wnosić było można, że na wesele dwa razy tyle gości zaproszono, ile ich stary dwór mógł pomieścić.

Wprawdzie salę jadalną z tarcie i opółków, wyklejaną szpalerami, zbudował był p. Podkomorzy, lecz gościnnych izb ani było nastarczyć, a jesień już chłodna przejmowała do kości.

---

Nie żałował sumptu p. Podkomorzy, wiedząc, iż mu się jego magnificencye wynagrodzą; z góry sobie rzekł: Niech wesele kosztuje co chce, a Niemców się nie powstydzę.

Z największym magnatem polskim nie byłoby tyle zachodów i kłopotu; lecz grafa saskiego i jego rodzinę, nawykłą do splendorów drezdeńskich, przyjmować w staroświeckim domu, którego zbytek na czem innem się zasadzał, inaczej wyglądał: trudność była wielka. Szło o to, ażeby Niemcy nie powiedzieli, że Polska jest barbarzyńską.

Z drugiej strony, sprosiwszy kilkaset szlachty, po niemiecku i ze szwabska ją przyjmować — i to nie uchodziło. Podkomorzy długo się zastanawiał nad tem zadaniem skomplikowanem i rozwiązał je tem, że potroszę do obu obyczajów zastosować się musi.

Szlachty, ciekawej niezmiernie, owego niemieckiego zięcia widzieć, zjechało się bardzo wiele.

W tym tłoku głów wygolonych i czupryn łaszczowych, garstka niemiaszków tonęła. Dwa żywioły trudne do połączenia, mimo ścisłego przymierza jakie z sobą zawrzeć miały, wydzielały się i nie mieszały.

Szlachta stała dokoła ściśnięta, a próżnia jakaś odgraniczała ją od kupki towarzyszy pana młodego, grafa Hohenloben. Pan młody, chociaż starannie na ten dzień odmłodzony, choć wspaniale strojny, choć może nawet miał ufarbowane policzki, wyglądał zwiędłym, wyżytym i dosyć poddeptanym, ale minę miał co się zowie pańską, perukę prześlicznie fryzowaną, pierścienie na palcach iskrzące się od brylantów i uśmiech na ustach protekcyjonalny.

On i kilku kawalerów, którzy z nim przybyli, a na krok go nie odstępowali, spoglądali na polskie towarzystwo nieledwie tak, jakby się menażery przyglądali; ku pięknym tylko paniom biegały wzroki łaskawsze.

Nawzajem szlachta brzeska i podlaska, choć z pewnym respektem wpatrywała się w Sasów, drwiła z nich pocichu.

— Ale, patrzaj-że no, asińdziej—mówił pan Sopoiko do Wisłoucha—to bardzo piękny strój; niewiedzieć za co go ogadali. Można się popisać z łytkami kto je ma; na rożnie, co u boku, w podró-



ży da się kurcze upiec wyśmienicie; no, i ta szopa na głowie — ciepła rzecz!

— Tak i przez kij skakać wygodnie!— odparł, spluwając, Wisłouch.

— Bardzo szanuję kochanego Podkomorzego, odezwał się Woroszyłło, a no, tak mi Panie Boże dopomóż, gdybym miał siedmnaście córek na wydaniu, żadnej-bym Niemcowi nie dał powąchać. Co ta nieszczęśliwa pocznie, jak ją będą niemieckim szpekciem karmić?

— A w dodatku luter!—szepnął Sopoiko.

Opozycya pocichu daleko jeszcze straszniejsze zarzuty czyniła.

Dwór Podkomorzego, który zdawna wszyscy znali, teraz wcale nową przybrał fizyognomię, która nie zupełnie się godziła z tem, co dawnego w nim zostało i nie dało się przerobić. Krzeselka i kanapy były białe ze złotem, a mury staremi szpalerami ciemnymi okryte, i na stropie belki się nie utaiły; niektórych odwiecznych sprzętów nie śmiało wyrzucać—były w oczy swą prostotą. Podłoga poprawiona i zawoskowana, miała defektów wiele; a że gości było dużo, obok złożonych krzeselek i ławy kilimkami pookrywane stały.

Wśród towarzystwa też, a szczególnie pań, różne epoki strojami były reprezentowane. Niektóre suknie sięgały pewnie czasów Jana Kazimierza, inne jak z igły, świeżo przybyły z Paryża. Obok

najwykwintniej trefionych i pudrowanych peruczek młodych pań, starsze w ogromnych czepcach, ze wstęgami obfitemi. wydawały się dziwacznie. Młodsze pokolenie całe było w rogówkach, starsze w płaskich sukniach, z których się naśmiewano. Lecz nierzadko obok takiej z grubej materyi jedwabnej, prababczynej roby, klejnoty na szyi i na głowie zazdrość budziły wspaniałością swoją.

W ubiorach mężczyzn też sama rozmaitość panowała, począwszy od kusego stroju, co na kozacki zakrawał, do delii fałdzistej i kontusika z węgierska.

Niemieckim panom, dla których moda była królową, mniejwięcej jednako i jednym krojem postrojonych, ten tłum różnobarwny osobiwie się wydawał. Patrząc na niektórych, ledwie się mogli wstrzymać od śmiechu panicze.

Figury też obu narodów całe do siebie podobne nie były. Sasi, choć słusznego dosyć wzrostu — szczupli, płascy, chudzi, chuderlawo wyglądali przy zawistych, otyłych, zażywnych, szerokotwarznych Podlasiakach.

Między Niemcami język ich własny, szczególnie na dworze i między obcemi, wcale nie był w używaniu. Mówili wszyscy po francuzku, boć jeszcze Fryderyk II, język narodowy uważał za niezdolny do wyrażenia delikatnych myśli odcieni.

Pan młody i ci co z nim zjechali, stojący w po-

środku bawialnej sali, zdawali się jakby na pokaz ustawieni, bo wszyscy z kolei przychodzili się im przyglądać. Bawił ich Podkomorzy i kilku młodszych paniczów, co po francuzku umieli; reszta nieufnie i wrogo jakoś trzymała się od nich zdala.

Wiadomo, że dawne obrzędy dziewiczego wieczora, połączone z oracyami, przemówieniami i t. p. były dosyć uroczyste i nużące. Podkomorzy więc za radą p. Osowieckiej, kuzynki swej, która mu, jako wdowcowi, zastępowała gospodynię, do minimum sprowadził owe ceremonie i, obyczajem wielkiego świata drezdeńskiego, ograniczył je na nie nieznaczących prezentacyach, błogosławieństwie, odbieraniu podarków i t. p.

Mów wcale nie miało być, co niektórym wydało się niemal świętokradzkim lekceważeniem.

Obok panny młodej i jej siostry, postrojonych według najświeższej mody, sędzianka Leonilla mogła najpierwsze zająć miejsce, tak śliczny miała ubiór i tak olśniewającą królowała pięknnością.

Zaledwie weszła i spostrzeżono ją, cudzoziemcy się poruszyli, nie tając admiracyi, i dowiedziawszy się, że panna po francuzku doskonale mówi, otoczyli ją kołem. Młode dziewczę miało tyle śmiałości wrodzonej, iż się tem wcale nie zmieszało. Ci, którzy pragnęli bliższą zrobić znajomość z sędzianką, zostali zmuszeni poznać się też z ojcem i matką.

Jejmość maleńka, choć oddawna się przysłuchiwała szwargotaniu z córką p. St. Aubin, do francuszczyzny przyjść nie mogła. Rozumiała ją trochę, a gdy odpowiadać przyszło, uśmiechała się dziecinnie.

Sędzia Czemeryński zamłodu w łacinie ćwiczony, po francuzku się też nie uczył nigdy, lecz był to człowiek zdolny a nadewszystko śmiały. Zdawało mu się, że z ojcem łaciną, będąc w tak blizkich stosunkach, z synem jego rodzonym, francuszczyzną, łatwo przyjdzie do konfidencji. Z panią St. Aubin więc naprzód puszczać się zaczął w fantastyczną francuszczyznę łataną łaciną, a że mu to szło jakoś, nabył tego przekonania, iż mówi po francuzku *expedite*.

W potrzebie prawil czasem takie rzeczy, że córce i bonie włosy na głowie powstawały, lecz żadna siła ludzka przekonać go nie mogła, że się mylił.

Skłonniejszym był do przypuszczenia, że Francuzka, nieobeznana z łaciną, ducha własnego języka nie znała.

Mając na celu serdeczne poznanie się ze Szwabami, Czemeryński zaraz się im przez Podkomorzego kazał zaprezentować i, z elokwencyą sobie właściwą, począł im prawić androny.

Lecz—był ojcem tak ślicznej córki, że się tylko na boku śmiano; nabierał więc coraz większej śmia-

łości i od ucha rznął co na myśl przyszło. Prawił głośno, a szlachta, zdala stojąca, podziwiała jego zdolności poliglotyczne.

— Ten Czemeryński, powiadam wam, szeptał Sopoiko, chyba już i po turecku umie. Słyszycie jak różnie z Niemcami, ani się zająknie.

— Wielka sztuka — odparł Woroszyło, spytaj ile lat bonę trzymają do córki. Skorzystał z jej lekcji.

Wieczera z pyramidami, cyframi, z kwieciem posypanemi obrusami, nakrytą była w sali przybudowanej i jednym ze starych pokoi. Główny stół zastawiony był w podkowę i miał przy sobie pomieścić niewiasty, Niemców i dostojniejszych gości. Podkomorzy sam i kuzyn jego wice-gospodarz, p. Floryan, którego zwano Krzywoustym, bo miał w istocie wargę z jednej strony nieforemną, rozsadzali łaskawych przyjaciół.

Dla Czemeryńskiego i Strukezaszyca, którzy się dotąd jakoś nie zetknęli, nastąpiła chwila niebezpieczna. Sędzia raz się uczepiwszy grafa i jego kuzynów, mocno się ich trzymał. Kierował też swą nawą tak, aby przy nich być umieszczonym bo go to od Strukezaszyca zabezpieczało, który do Sasów się zbliżać nie miał ochoty.

W istocie, Hojscy, stary i młody, po przywitaniu się z gospodarzem, p. Blandynę umieściwszy pod opieką dawno jej znanej pani Osowieckiej, weszli

w ów tłum gęsty, znaleźli starych druhów i na uboczu się trzymali.

Erazm, wystrojony pięknie i świeżo, choć nie modnie, wszystkich panien ściągnął oczy, tak był urodziwy, zręczny i postawny. Coś szlachetnego, rycerskiego biło z jego oczów i czoła.

Panny, które go nie znały, dopytywały jedne drugich: co to za jegomość, z kąd i jak się zowie?

Jejmoście się też interesowały nim, i mężczyźni nawet chwalili pięknego młodzieńca.

— Żeby-to, mosanie, po husarsku go ubrać, tygrysią skórę mu przez plecy przrzucić, na konia go wsadzić—klękajcie narody, co za wojak—choć malować!—wołał Sopoiko.

Panna Leonilla, chociaż na pierwszym wstępie otoczono ją hołdami, choć Niemcy jej nie odstępowali, choć mogła tym swoim tryumfem być dumną i zaspokojoną—przez dziwną jakąś fantazyę niepojętą, ledwie wszedłszy na salę, poczęła zaraz oczkami szukać tego nieznośnego — wroga. A trafiło się tak, że p. Erazm rozmawiając z młodym Jagmieniem, stał, gdyby na okaz, ręka w bok, głowa do góry, wąsik podkręcony, z uśmiezkim na ustach, jak młody dębczak giętki a krzepki: miło nań było popatrzeć.

Nienawdziła go panna sędzianka; miała jeszcze świeżą urazę, że ją podpatrzył ugrzęzłą na błocie: jednak spojrzawszy nań, w myśli porównawszy go

z Niemcami, nie mogła się wstrzymać od wniosku, że był w istocie—chłopak śliczny.

Traf chciał, że w tejże chwili p. Erazm się jakoś odwrócił, i te dwa wzroki, które się nigdy spotykać nie były powinny ani chciały, zeszły się, starły.

Pannie na twarzyczkę wystąpił rumieniec; Erazmowi dreszcze przeszły po skórze i rzekł w duchu:

— A! jakaż bestya piękna!

Tę „bestyę“ dodał już dla osłabienia wyznania, które uczynił.

Panna Leonilla miała ten zwyczaj niedobry, że się nie dawała spłoszyć i nie ustępowała nikomu.

Więc, choć była powinna cofnąć się z wejrzeniem, na złość śmiałkowi, który się ważył patrzeć na nią, nie odwróciła oczów, poczęła mu się przypatrywać zuchwale.

Erazm też nie miał najmniejszego powodu tchórzyc i uciekać: dostał śmiało tym oczom zabójczym. Zrobiło mu się tylko jakoś osobliwie, jakby w istocie postrzał otrzymał. Dreszcze zastąpiło gorąco, serce uderzyło mocno, piersi się poruszyły oddechem żywszym.

— A! jakaż bestyjka piękna!—powtórzył.

Tym razem była już panna sędzianka nie „bestyą,“ ale „bestyjką,“ co znacznie modyfikowało wyrażenie.

Panna Leonilla patrzyła na upartego, wyzywająco, jakby chciała mu powiedzieć:

— Widzisz aspan, że sobie z tego żartuję, iżes mnie widział siedzącą w błocie. Nic mi nie jest.

Erazm zdawał się mówić oczyma:

— Nie mam do waćpanny żadnej pretensyi za ojca. Nie gniewaj się na mnie.

Gdy naostatek panna, widząc, że nie zmusi kawalera do odwrotu, wejrzenie ku Niemcom skierowała, zostało jej wrażenie to, że p. Erazm chyba był bardzo chytrym człowiekiem, bo udawał niewiniątko.

W dziesięć minut potem wcale niepotrzebnie czyniła p. Leonilla po dziecinnemu próbę. Chciała się przekonać: czy ten zuchwalec na nią patrzy, strzeliła w bok — osobliwsza rzecz, spotkała jego oczy chciwie skierowane ku sobie, i conajprędzej pierzchnęła, spuszczając wzrok na rogówkę, na której poprawiać zaczęła fontazie.

I na tem się przed wieczorem skończyło.

Strukezaszyca posadzono tak misternie, po tej samej stronie stołu co sędziego, zasłoniwszy Czemeryńskiego ogromnym brzuchem p. Wisłoucha, iż ani się widzieć, ani o sobie wiedzieć nie mogli. Pan Erazm z młodemi zasiadł w drugim pokoju. Lecz, co komu przeznaczono na utrapienie, to go nigdy nie miunie. Przeze drzwi na prośt niego siedziała z p. St. Aubin p. Leonilla, i nie mógł głowy pod-



nieść, żeby jej twarzązki i loków upudrowanych nie widzieć.

Zupełnie go to paraliżowało i odejmowało mu swobodę. Panna miała naprzeciwko siebie niemieckiego barona Fischhausena, który ją zabawiał, mimo to kiedyniekiedy główkę odwróciwszy, spotykała oczy p. Erazma, ale już się ich widzieć nie zdawała.

Uposiadła się tylko tak szyjkę wyginać, tak tą ufryzowaną główką potrząsać, tak się uśmiechać, wdzięczyć, dziecinnie zabawnie, puszyć i trzepotać jak ptaszek, — że p. Erazm się nauczył jej fizyognomii ze wszystkimi odcieniami. Laleczka ta go bawiła. Nie spuszczał z niej później oka, przekonawszy się, że ona tego nie widzi. A — czy nie widziała? trudno zapewnić, bo wszyscy z doświadczenia wiedzą, że kobiety widzą niepatrząc, widzą w bok, poza sobą, po nad sobą, i o czterdzieści mil, gdy się uprą.

Panu Erazmowi, mniej mającemu doświadczenia w tych przedmiotach, było to dotąd niewiadomem.

Przy wieczerzy, ponieważ Sasi nie wymawiali się od kieliszków, zaczęto pić mocno. Zrobiło się gwarno, Niemcy między sobą zaczęli paplać po niemiecku, inni mówili po francuzku, drudzy po polsku, po łacinie i z chłopska po rusińsku niektórych: jak na wieży Babel pomieszały się języki.

Jeden Strukczaszye, choć pił, z obyczaju swojego

milczącego nie wychodził, odpowiadał zaczepiany, lecz krótko i zimno. Nie widział on nieprzyjaciela ale go czuł gdzieś, drgał chwilami, burzyło się w nim wszystko, — siedzieli u jednego stołu. Czemeryński zaś zajęty Szwabami i własną francuszczyzną, którą wino czyniło coraz tęższą, zapomniał o wrogu.

Przewrotni Niemcy wyzywali go umyślnie na takie frazesy, że boki po nich zrywali. Lecz śmiech szedł na inny rachunek: Czemeryński ani mógł przypuścić, ażeby kto ważył śmiać się z niego.

Mieszał już teraz do łamanej francuszczyzny, nie tylko łacinę, ale wyrazy domowej fabrykacy dając im zakończenia gallikańskie; rad był z siebie.

W końcu przecież gwar się stał tak ogólnym, po wypitych kilku zdrowiach, że niewiele go słyszano. Wieczera zakończyła się prędzej, niżby obywatele, którzy rozpoczęli toasty, życzyli sobie, — sala bowiem potrzebna była do tańców, i pan Floryan szeptał pocichu, że *pocula* czekają w osobnej izbie, gdzie do białego dnia nie będzie przeszkody żadnej.

Ruszono się od stołu i tu jeszcze złożyło się szczęśliwie tak, że Strukezaszyc pierwszy się wy dobył i wyszedł, a Czemeryński, barona pod rękę ujawszy, przystał.

Nie spotkali się więc i nie wzięli na oko.

Pan Erazm, uwolniony od nużącego przypatry-

wania się sędziance, wyniósł się także z młodzieżą. Salę musiano conajprędzej opróżnić dla tańców. Ostatni goście wychodzili z niej, gdy stoły już runęły, i muzyka sprowadzona od Dominikanów z Brześcia, wzmożona przez kilku amatorów, już się do grania stroiła. Tańce, według prawideł, nawet na dworze saskim już przyjętych, zaczynać się miały od polskiego odbijanego, który po wszystkich salach i izbach domu musiał odbyć pielgrzymkę.

Do pierwszych par szykowali się codostojniejsi z paniami starszemi; dalsze już pary kleiły się jak Bóg dał. Brał każdy kogo mu się podobało. Struczaszyc nie chodził w żaden taniec, gdy nie był zmuszonym; cofnął się więc do izby, w której pito, choć do wina ochoty nie miał.

Pan Erazm byłby może został także prostym spektatorem, gdyby niespodzianie pani Rzarzewska, dawna matki jego przyjaciółka, poważna osoba, nie przystąpiła doń, nie zagadała i nie powiedziała mu otwarcie:

— A no, weź-że mnie do tańca, to choć pogadamy.

Odmówić nie było sposobu, a nawet i racyi. Muzyka już zaczynała, i ojciec panny młodej występował z księżną Gedroiciową, gdy p. Erazm znalazł się z panią Rejentową Rzarzewską w szeregu. Na myśl mu nie przyszło, że w odbijanem może

się trafić niespodzianka. Szli tedy po pokojach spokojnie, a wspomnienia matki usposobiły Erazma smutnie, gdy poczęli się mężczyźni mieniać i p. Erazm, pocałowawszy w rękę p. Rzarzewską, znalazł się przy p. Woroszyłowej. Nic mu to nie szkodziło. Tylkoco rozmowę zaczęli, już ktoś odbił, syn Strukezaszyca znalazł się przy paninie Piotrowskiej, której wcale nie znał. Panna była wesoła i figlarna jak myszka; więc choć niby nieznanoma i bez żadnego powodu poczęła się uśmiechać do narzuconego jej przez los tancerza. Była bowiem tego wieczora w nadzwyczaj wesołym humorze, z powodu, że ojciec jej na festyn pierwszą kupił rogówkę. Pyszniła się w niej ładna panienska, której-by może bez tej rogówki jeszcze piękniej było, i od uśmiechu przyszłoby wreszcie do rozmowy z Erazmem, gdyby na przedzie, po kieliszkach nie napadła ichmościów fantazyja odbijania cochwila. Ledwie się pan Erazm zaczynał oswajać z panną Piotrowską, gdy— paf — już go ktoś przy niej zastąpił, i w miejscu jej dostała mu się pani Horbaczevska, niemłoda jejmość, odrobinę garbata, ale wesoła i dowcipna.

Z tą się natychmiast rozpoczęła rozmowa o wymienionej zabawie i wesołem towarzystwie, o Niemcach, których jejmość zabierała się wysmiewać, a Erazm dopomagać był gotów, aż—znowu odbito.

Cofnął się Hojski, niepatrzac zrazu kogo mu los

nadarzył i podając rękę następnej tancerce, gdy postrzegł, że mu ją nagle wychwycono.

Podniósł głowę zdumiony i zobaczył przed sobą w całym majestacie wdzięków, dumy, młodości p. sędziankę Leonillę. Los się spisał — jak to on czasem umie.

Panna, chcąc okazać nieprzyjacielowi domu, że się mu nawet końca swych paluszków dotknąć nie da, rękę podniosła wysoko, a minę nastroiła królewnej. Brwi się jej śliczne namarszczyły okrutnie, usteczka wydeły, niebieskie oczy chciały być straszliwie groźnemi; ale taka była piękna, że się jej p. Erazm nie a nie nie uląkł. Owszem śmiało patrzył i oddychał przedziwną wonią pudru, która z jej fryzury się rozchodziła. Nie zapłacił jej za groźbę i zmarszczenie równą monetą, lecz spokojnie a z rodzajem zdumienia, korzystając ze zbliżenia się, zuchwale pożerał ją oczyma! We wzroku nie złowrogiego nie było. Panna już nie wiedziała co zrobić z sobą, gdy szczęściem dla niej, znowu odbito i p. Erazm znalazł się przy p. St. Aubin.

Tu musimy dla zrozumienia tego, co zaszło, objaśnić czytelnika, że szczególnym trafem p. Erazm Hojski, prawie się, nieucząc tego języka—bo go w szkołach jezuickich ówczesnych na programacie nie było, a ojciec z niego modnego kawalera robić nie chciał—wybornie mówił po francuzku. Staruszek ojciec Rodryg Renard, Jezuita, który po łaci-

nie wykladał łacinę, polubił chłopaka dla miłej jego powierzchowności i żywego umysłu, ciągle go do siebie wabił, zajmował się nim i prawie go zmusił do mówienia z sobą po francuzku, a potem do czytania. Jemu więc winien był p. Erazm, że ten modny język wcale mu nie był obcym. Nie rzeczylibyśmy, że pisał nim ortograficznie, ale mówił łątwo i wybornie.

Pani St. Aubin, ładnego wroga tego zobaczywszy przy sobie, zrobiła minkę pogardliwą wielkiej pani, wachlarzem na pół osłoniła twarz i odezwała się pół-głosem, nie sądząc, żeby zrozumianą być mogła.

— *O! destin, en voilà des tes coups!*

Śmiały Hojski, pokręcił węża, nie miał żadnej potrzeby zbytniego ceremoniowania się z panią boną, i odparł doskonałą francuszczyzną:

— Prawda, że los sobie czasem dziwne wyprawia igraszki z nami, — *mais à la guerre comme à la guerre!*

Francuzica ledwie uszom wierzyć chciała; wachlarz jej odpadł od podbródka, na którym puszczające się samopas włosy, zasłaniać miał posłannictwo. Obróciła się do p. Erazma i zawołała:

— Al pan mówisz po francuzku! Zdumienie było nieco obrażające—ale Hojski na nie odpowiedział uśmiechem i skinieniem głowy. Francuzce,

której się wydawał zawsze bardzo pięknym mężczyzną, teraz się jeszcze zdał przystojniejszym.

— Byłeś pan w Paryżu?—zapytała naiwnie.

— Dotąd nie — rzekł Erazm, chociaż ciekawy-bym był go zobaczyć.

— Spodziewam się— *Vous n'êtes pas degouté!* a ja chciałabym do niego powrócić.

— Pani już dawno bawi w naszym kraju?

— Nie liczę lat, ale mi się wiekami wydały.

— To niepochlebnie dla nas, a szczególnie dla domu, w którym pani zostaje.

Pochwycona tak Francuzka, zagryzła usta, zerknęła ku przodem idącej pannie, czy jej nie usłyszała, i odpowiedziała z innej beczki.

— *A propos*: pan wszak jesteś synem naszego najbliższego sąsiada? Dlaczego się panowie zabijacie i kłóciecie?

— Ja, nie—odparł Erazm.

— A ojciec pański?

— To do mnie nie należy.

— To-bo okrutnie rzecz nudna, taka zwada sąsiedzka?

— Nie przeczę.

— I pan-byś jej zaniechał?

— Pani—ja zależę od ojca, a to, co on czyni, do mojego sądu nie należy.

Francuzka spojrzała uważnie, i dała znak głową, że go zrozumiała. W tem nareszcie odbito, i pan

Erazm przeszedł pod panowanie pani Wiśniewskiej, młodej, pięknej, zalotnej, strojnej mężateczki, która mu na powitanie perłowe zębki pokazała.

Musimy tu dodać, że całą rozmowę p. Erazma z p. St. Aubin, p. Leonilla doskonale podsłuchiwała, chociaż ani główki nie zwróciła, ani dała poznać po sobie, że jej słucha. Francuszczyzna i ją zdziwiła niezmiernie. Pilno jej było zaraz po skończeniu polskiego tańca zbliżyć się do St. Aubin i pomówić z nią — o tym zuchwalcu.

Taniec wszakże przeciągnął się dosyć długo. Za ledwie ją posadzono, pod pozorem odpiętej falbany p. Leonilla zbliżyła się do p. St. Aubin i pociągnęła ją do kątki.

— Proszę-ż cię—to historia!—zawołała.

— Której ja bardzo jestem rada,—odparła Francuzka, — chłopiec zblizka jeszcze ładniejszy niż zdaleka. Ma w sobie coś tak szlachetnego, rycerskiego, jakby jaki bohater romansu — a jak mówi po francuzku!

— Ale gdzież się to mogło po francuzku nauczyć! z pewnym rodzajem udanej pogardy i lekceważenia zaczęła Leonilla.

— A, tego ja nie wiem jeszcze — odpowiedziała Francuzka; ale, że będę wiedziała, za to ręczę, bo ja przecie nie mam go powodu unikać! Co mi tam! Panna Leonilla zrobiła minkę dwuznaczną.

— Pięknie-by było, gdyby tatko się dowiedział,



żem ja mu rękę podała w tańcu! Szarpnęłam ją i wyrwałam natychmiast,—mówiła sędzianka.

Pani St. Aubin się uśmiechnęła.

Nachyliła się do uszka różowego panny i poczęła w nie żywo sypać coś bardzo tajemniczego.

Sędzianka się zarumieniła, ramionami kilka razy wzruszyła pogardliwie; oburzała się niby, ale wśród tej rozmowy powiodła po sali oczyma, spotkała natrętny wzrok syna p. Strukezaszyca, odwróciła się, dając mu poczuć, że na nią patrzeć nie powinien, i—na tem się skończyło.

Odchodzącej Francuzka szepnęła:

— Myśl sobie jak chcesz, ale codo mnie, słowo daję, niema tu ani jednego, którego by przy nim można postawić — gdyby się tylko przebrał po francuzku!

Tymczasem już „Mazowieckiego“ grano i pary się ustawiały. Baron, któremu wpadła w oko sędzianka, choć w tym tańcu nie był biegłym, ufając temu że barbarzyńskich skoków wnet się nauczy, zaprosił ją. Odmówić nie mogła. W drugim końcu sali, Erazm, nie myśląc tańcować, szedł spokojnie, gdy ładniuchna pani Wiśniewska, znowu mu białe pokazała ząbki i sama mu rączkę podała.

— Jak Boga kocham, chodź pan zemną, tancerza nie mam!

Jak tu takiej ślicznej paniusi odmówić było można, mając lat dwadzieścia?

Gdy w sali sposobiono się do tańca, Czemyński nie opuszczał na chwilę grafów niemieckich, i coraz mu łatwiej szła z nimi rozmowa francuzka, bo się śmiało ratował polskimi wyrazami. Ponieważ uważał, że baron przysiadł się do jego córki, chcąc się o jego procedencję rozpytać, jednego z grafów zagadnął z polska po francuzku: *kto go rodzi?*

Przetłómaczył to wcale zgrabnie — *qui le naît?* powtórzył razy kilka; zaczęto się śmiać. Czemyński po raz pierwszy się jakoś skonfundował; poczuł, że mu w gardle zaschło i postanowił odwilżyć je winem. Poszedł więc do wiadomej izby *ad hoc* przeznaczonej, w której siedział Strukczaszye.

Dyabeł, który nigdy nie śpi, zrządził, że w teje chwili Strukczaszyewi zrobiło się niezmiernie gorąco i zapragnął się ochłodzić. Wychodził właśnie, gdy oko w oko, na ciasnej ścieżce, pozostałej wśród tłumu, nieprzyjaciele się spotkali. Strukczaszye, który był zawsze panem siebie, usta zacisnął, głowę podniósł i nadał się, ale przystanął.

Czemyński zachnął się.

Zmierzyli się hardo oczyma.

Z oczów Hojskiego nie można było nic wyczytać, oprócz:

— Czekaaj, kochanie—dam ci się ja we znaki.

Czemyński zdawał się mówić:

— Precz-że mi z drogi, szerepetko.

Ani jeden ani drugi ustąpić nie myślał.

Sędzia, do rozpaczy przywiedziony, bo zawracać się wcale nie myślał, na głos dziwacznie prychnął. W tem prychnięciu było coś tak groźnego, że wszyscy oczy zwrócili. Strukeczaszye, usłyszawszy to wyzwanie odprychnął, ale jeszcze dobitniej, z poświstem.

— Pfiu! pfi! — sapał Czemeryński.

— Pfiu! pfi! — prześladować się go zdając, przedrzeźniał Strukeczaszye.

Dął się sędzia, nadymał się przeciwnik, tupnął nogą jeden, odtupywał drugi.

— Hm!

— Hm!

Któs zwrócił na ten konflikt grożący uwagę Podkomorzego, który, w sam czas nadbiegłszy, Czemeryńskiego za rękę pochwycił, i pod pozorem pilnej sprawy odciągnął go w bok trochę. Korzystając z tego Strukeczaszye, bardzo wolnym krokiem, z rękami w kieszeniach, począł mijać przeciwnika. Wtem Czemeryński się odwrócił groźno; Strukeczaszye stanął.

Podkomorzy, przestraszony, gwałtem prawie za rękę chwyciwszy sędziego, począł mu coś szeptać do ucha, i Hojski dalej spokojnie, flegmatycznie się posunął. Buchowiecki w ciągu tej groźnej kryzys spotniał jak mysz; ale wszystko zostało szczęśliwie przewyciężone i skończone.

Dodano Strukeczasycowi na całą resztę wieczora, przybocznego stróża, obawiając się nowego starcia.

Czego jednak nikt naówczas ani przewidywał, ni się mógł spodziewać, to, że w tym ogromnych rozmiarów mazurze, gdy się poczęły mieniać pary, mężczyznami i paniami, Erazm, tańczący wesoło z p. Wiśniewską, która ze ślicznego tancerza swego niewymownie była szczęśliwą — nagle w wirze skaczących, płaczących się, podających sobie ręce i rzucających, znalazł się przy p. Leonilli. Panna czy się nie postrzegła, czy zapóźno go poznała, podała mu rączkę; Erazm ją chwycił i poszli razem.

Była to najpiękniejsza para na całym weselu; ale gdy ją ujrzała maleńka pani sędzina, zrobiło się jej słabo, krzyknęła:

— Ach—i omdlała.

Rzucono się ją ratować, gdy już Erazm wrócił do swojej p. Wiśniewskiej, która pół-żartem szepnęła mu:

— O! już waćpana teraz nie dam i nie puszcę— proszę mi nie robić—niewierności! (Było to z francuzka, ale pochlebnie).

Po mazurze, St. Aubin, której oka nie uszło, że Leonilla zmuszoną była przetańcować z synem pana Strukeczaszyca, przybiegła do wychowanki.

Pierwsze słowo Leonilli było (ale na ucho):

— A! żebyś wiedziała jak tańcujel

Zdziwiło to p. St. Aubin.

— No—ale cóż—bo było począć, proszę cię—dodała żywo sędzianka. Na środku sali wpada na mnie jak jastrząb, porywa za rękę i niesie. O małego—m nie omdlała. Ale, powiadam ci! jak tańczy!

— Wiesz, że sędzina dostała mdłości!— odparła St. Aubin — zlekła się, aby p. sędzia nie zobaczył, bo-by był wpadł i awanturę zrobił.

— Tatko nic nie widział, — odparła Leonilla— i po cóż mu to mówić! No—przypadek! Cóż tam— ale jak tańczy!—powtórzyła raz jeszcze Leonilla.

— A baron?—zapytała Francuzka z przekąsem.

Śliczna panna wydeła usta, powiodła oczyma po sali; nie odpowiedziała nic.

---

Wesele u p. Podkomorzego zostawiło po sobie mnogie i rozliczne wspomnienia. Sędziemu nie powiedział nikt o tem, że syn jego wroga dwa razy z sędzianką śmiał tańcować: uczyniono z tego tajemnicę.

Czemeryński tylko opowiadał nadzwyczaj patetycznie owo spotkanie ze Struczaszycem w drzwiach *Bibotheki*, bo tak zwano pokój, w którym beczka wina stała. Powróciwszy do domu, najpierw opisał to ks. ex-definitorowi, potem dwom sąsiadom, naostatek ekonomowi. Do opowieści tej z każdym razem przybywały nowe i piękne szczegó-

ły; wykończył ją artystycznie autor i podniósł do znaczenia *Mimodramatu*.

Pierwsza wersja, którą żonie w ucho włożył, tak była różną od ostatniej, iż historykowi prawdziwy zaszczyt przynosiła.

Gdy w pięć dni potem przyjechał pan Filemon Kaczor, zwany „Komornikiem“ o którym zaraz szerzej powiemy, w progu go zaczepił Czemeryński:

— A słyszałeś-że ty o mojej awanturze z tym samozwańcem Strukczaszycem, na weselu u Podkomorzego? Nie? To ci powiem. Wystaw sobie, rzecz była widać ukartowana: chciano nas, upiwszy zbliżyć i zmusić do podania sobie rąk. Ja to wszystko *anticipative* przewidziałem, przeczulem, zbrojny byłem. Wiedziałem, że mnie nie pożyją.

Cóż się dzieje? Gdy już *potula* mnogie wychylono, gdy w czuprynach szumi, pchają mnie, powiadam ci, umyślnie na ciasne przejście, kędy się minąć nie było można. Miałem się na baczności. Jedną razą, widzę—idzie ów drągał, ręce w kieszeniach, podpiły mocno, głowa do góry zadarta, wprost na mnie.

Zważ, że nam wszystkim wprzód *subversive* szable poodejmowano, bo, tak jak mnie żywym widzisz, natychmiast-bym za szyję moją dobrodziejkę chwycił.

Stałem jak mur. Ten stanął też. On na mnie

patrzy, ją na niego; podniósł ramiona, ja też. Ludzie nas otaczają—co tu będzie?

— Proszę! proszę!—wtrącił Kaczor.

— Ale, nie przeszkadzaj-bo—ofuknął Czemeryński—słuchaj—na czem stanąłem? A—jak mur stoję. Widzę, pobladł antagonistą, chwije się, i widzę jak mu z boku animuszu dodają.

Dłużej to trwać nie mogło, odezwać się nie chciałem. Słowo za słowo, byłaby powstała uwłaczająca godności mej burda. Więc, panie dobrodzieju, co ja robię! Co myślisz?

— A! dalipan, nie wiem—odezwał się Kaczor.

— Widzisz! politykiem nie jesteś — kończył się—prychnąłem, ale gdybyś był słyszał jak prychnąłem, co było w tem prychu! Żadne słowo tego nie wyrazi. Była w nim pogarda, lekceważenie, oburzenie, duma, groźba.

A wiesz—ten szerepetka, niemogąc się zdobyć na odpowiedź inną—odprychnął.

Ale jak odprychnął?—nędnienie! bo to było naśladowanie małpie, słabe, nizezemne. Jak buchną śmiechem wszyscy!

Wtem Podkomorzy widząc, że nieprzelewki, i że ja mogę wpaść na nowy jaki pomysł, pochwycił mnie na bok, uprowadzając.

Dopiero widzieć trzeba było, jak ta nędzna, ordynaryjna figura, krokiem tchórzliwym, oscyllującym, niepewnym poczęła cofać się i z placu ucho-

dzie; trzeba było widzieć, jakim wzrokiem piorunującym ścigałem zuchwalca.

Nie! powiadam ci, admiirowali mnie wszyscy, winszowali mi, nie mogli się nacieszyć. Strukczaszyc poszedł jak zmyty. Jedno prychnięcie! Tak!

Podajemy tę wersję skróconą nieco, aby dać wyobrażenie: jak sobie ową przygodę wykładał pan Czemeryński.

Komornik Filemon Kaczor, był to biedny człeczyna, który w istocie dawniej zajmował się pomiarami, później, mało grosza uciuławszy, nabył lichą wioszczynę w błocie, a miał to nieszczęście, że się we własnej praczce, ładnej dziewczynie, zakochał—i ożenił. Następnie pomnożyła się rodzina; żona z owej ładnej, świeżej dziewoi stała się otyłą babusią; bieda zawitała do domu i p. Filemon Kaczor, niemając tak dalece co mierzyć, bo wszystko już było pomierzone w okolicy, biedę klepał.

Był człowiek mały i z krzywemi nogami, które, gdy stał, nigdy do siebie przystać niemogąc, owal nieforemny wpośrodku zarysowywały. Twarz miał dziobatą, nieładną, na której nawet wąs porządnie rosnąć nie chciał.

Ale zpod powiek wychwytywało się spojrzenie kolące jak szpilka, przenikliwe, rozumne. Pan Filemon też choć z miłości szalone popełnił głupstwo, co nieustannie powtarzał, nie był wcale głupim.



Rozmaitego rodzaju posługami starał się sobie pozyskiwać serca obywatelskie; umiał na nasienie dostać owsa u Strukezaszyca, a we dwa dni potem korezyk pszenicy z Łopatycz. Był dobrze ze wszystkimi, a na nikim poczciwej nitki nie zostawił.

Przed Hojskim wygadywał na Czemeryńskich, w Łopatyczach wydziwiał na pyszałka Strukezaszyca. Potakiwał zawsze gospodarzom, gdziekolwiek był, a plotki nosił i dawał się używać do wszystkiego.

Być bardzo może, iż w domu, dla kupy dzieci zamurzanych i jejmości bardzo krzykliwej, siadywać nie lubił,—bo wrywał się zawsze ze swego Brzozowa, pod różnemi pozorami.

Nie czyniono z nim sobie najmniejszego ambarasu: w pokoju siadał u drzwi, u stołu na szarym końcu; nie obrażał się, gdy mu wino z innej nalewano butelki niż gospodarzowi; znosił, gdy Czemeryński wymawiał mu, że jego buty dziegiem śmierdzą, tłumacząc, że je zawsze odświeża starą słoniną—słowem, człek był gładki i wygodny.

Do posyłek, na zwiady, sam się napraszał. Prawda, że potem za wszystko najłaskawsi dobrodzieje płacić musieli; ale się nie wzdragał brać honoraryów w naturze, co wiele odzyskanie ich ułatwiało. Począwszy od nadgniłej rzepy, brał wszystko: stę-

chły owies, porosłą pszenicę, hreczkę popsutą i gorzałkę śmierdzącą.

Mówił pokornie:—Zda się i to!

Lublił go za tę usłużność wszysej, oprócz księdza Dagiela. Proboszcz nie miał zwyczaju na nikogo nie mówić, ale gdy Kaczora chwalono, milczał.

Tu, mimo pobożności swej, bo w kościele był budującym modlitwą swoją, nie miał miru.

Szczególniej na rękę było komornikowi, że się Czemeryński zajadał z Hojskim. Błogosławieństwem dlań była ta wojna dwu sąsiadów, i starał się ją o ile możności utrzymać w całej sile, podsycając bardzo zręcznie z obu stron; chociaż napozór zachęcał do zgody i opiewał nieocenione, błogie jej skutki.

— A co p. Filemonie?—zagadnął go, ukończywszy opowiadanie swe Czemeryński, — nie słychać tam co nowego od tych hultajów?

Kaczor ramionami ruszył.

— Zawsze się jednakowo odgrażają — rzekł komornik. Dla jaśnie wielmożnego sędziego ten ciągły niepokój, to prawdziwy kołtun.

— Kula u nogi!—zawołał Czemeryński, ale czy myślisz, że ja na włos ustąpię? Nigdy! Tu nie idzie już o dyferencję, o ziemię święcie mi należącą, wydartą, utrzymaną, za którą, gdyby przyszło rewindykować, rekuperować, likwidować, nie star-

czyłoby majętności tych Hojskich, a raczej Hojskich—bo to gołe!

Rozśmiał się.—Nie idzie o to, ale o honor, o punkt honoru, o świętą sprawiedliwość. Tu żadne układy i ustępstwa nie są możliwe, rozumiesz, bo-by zadały kłam mnie i ś. p. ojcu mojemu.

— Że jaśnie wielmożny sędzia ma po sobie słuszność—dodał komornik, tego mapy dowodzą, dukty, kopce, na drzewach znaki.

— A wiolencyą i perfidyą powoli dogarniali, przywłaszczali i dziś tych awulsów rekuperować prawie niepodobna. Dwór ich stoi na moim gruncie!

— Któż to, proszę jaśnie pana, lepiej wie nade mnie?—rzekł Kaczor. Jednak to się już tyle czasu ciągnie, że należałoby się dopilnować.

— Tak! mądryś—zawołał Czemeryński.—Ja jestem człowiek, ty mnie znasz, otwarty — prawy, niekryjący w sobie zdrady — a Hojski co? Kto? Mruk, zamknięty, faryzeusz, zpodełba patrzący, wcielony fałsz, inkarnacya obłudy.

Uśmiechnął się Kaczor, aprobując.

— Więc—mówił z zapalem Czemeryński—w sądach ja idę z podniesioną przyłbicą. gościńcem szerokim, on na przełaj, przekupstwem, podstępem. Kondemnuje się, gdy mu potrzeba, niedopusci rejestru, gdy mu wygodniej; potem *de noviter repertis*,

prosi o kommissyą i dukt nowy. I tak z roku na rok za gardło mnie dusi.

Myśli, że mnie zmoże i że ja wkońcu pójdę do kompromisu, a sąd polubowny, jak to jego obyczaj, krakowskim targiem na pół, przyzna mu choć połowę jego rabunku. Otóż nie! nie—i nie!

Na rękę było przybycie Kaczora sędziemu, gdyż, co mu się często przytrafiało, potrzebował pieniędzy. Była to delikatna materya. W podobnych razach Kaczor *sub rosa* mając sobie powierzonym, iż chwilowo Czemeryńskiemu gotówki brakło,jechał, sznurkował i szlacheica wynajdywał, który sam o lokatę prosił. Operacya odbywała się tak, że honor domu salwowano. Z początku sędzia wzdrygał się brać pieniądze.

— A po co mnie to? ciężar? prowizya duża! Dajcie mi pokój.

Kłaniał się szlacheic, rozmawiano i sędzia, niby zmuszony, przez miłosierdzie zgarniał dukaty i talary.

— Słuchaj-no, Kaczor, komorniku kochany— rzekł mu po obiedzie sędzia.—Hm!

I nie mówiąc więcej, pokazał na dłoni jak się odbywało liczenie pieniędzy.—Hm?

— A wiele?—zapytał komornik.

Sędzia, uśmiechając się, rozszerzył palców pięć: miało to oznaczać pięćset czerwonych złotych.

Komornik potarł czuprynę; Czemeryński go poklepał po ramieniu.

— Ja ciebie znam! tyś sprawny!—rzekł śmiejąc się. I szepnął mu coś do ucha.—Kaczor się do kolan pokłonił.

Była to właśnie owa pora kontraktowa, gdy mnóstwo ludzi na pieniądze poluje, więc nie łatwo ich gdzie dostać; wszelako spodziewał się komornik—przy pomocy Bożej!—bo był bardzo pobożny.

Przed wieczorem wyruszył z Łopatycz.

Po drodze mu wypadał Sierhin; zmierzchało się już. Zdała dwór, w którym się tego z kominów kuryło, oświecony, był tak jakoś zaciszny, wygodny, aż się zajechać chciało. Czemuż nie?

— Nawracaj do Sierhina! — odezwał się komornik do chłopca i począł:—Pod twoją obronę.....

Modlitewka była na intencję, ażeby mu się w tym domu powiodło.

Właśnie, p. Erazma wysławszy do Lublina, nie tak dla interesów jak dla rozrywki, Strukezaszyc z siostrą Blandyną nudził się trochę. Zimą spory z Łopatyczami przycichały zwyczajnie, chyba w lesie się co przytrafiło. Zobaczywszy przyjeżdżającego Kaczora, którego poznał przez okno Strukezaszyc, uradował mu się — otworzył drzwi i huknął:

— Konie do stajni!

W zachowaniu się komornika u dwu sąsiadów,

była pewna różnica: pokornym był u obu, ale z Hojskim nieco poufalszy, i że tu smutnawo zawsze wyglądało, nabierał wesołości, a gospodarz mówił mało, on czuł się w obowiązku mówić za dwóch.

— Niech-że będzie pochwalony! — odezwał się wchodząc.

Na kominku się paliło w izbie, Hojski właśnie był chodząc, część pacierza dokończył.

— Jak się masz komorniku? a zkąd?

Pytanie było niedyskretne. Zamilczając o Łopatyczach, przyznał się komornik, że z Kobrynia powraca do domu.

— A w Łopatyczach nie byłeś?—zagadnął Strukeczaszye.

Po chwili milczenia komornik bąknął:

— Byłbym minął, ale Czemeryński z gościńca mnie kazał zawrócić.

— O! o! cóż-to?

Zbliżył się do gospodarza Kaczor i, naśladując mimikę sędziego, pokazał na dłoni jakby pieniądze lieżył.

Strukeczaszye się rozśmiał.

— A to dobrze!

— Pan mu ich nie da przecie?—odezwał się szydersko komornik.

Hojski włożył ręce w kieszenie, zapatrzył się w komin, podszedł i polanko przyłożył: nie odpowiedział nic.

Po długim przestanku odwrócił się:

— Cóż tam? kuso?

— A kuso! bo państwo, widzę, kosztuje.

— *Czomu ne szalyty, koły prystupaje!* — krzyknął. Strukezaszyc, przykładając drugie polano na ognisko.

W tem, o gościu się dowiedziawszy, nadeszła, w białym czepecu z szafranowemi wstęgami, panna Blandyna. Kaczor ją w rękę pocałował.

— Acan dobrodziej na postną wieczerezę trafiłeś—co ja mu dam? hę? u nas dziś mleko i kaszka z grzybami.

— Karaj Boże do wieku! — odezwał się komornik. Chciałbym to w domu codziennie mieć.

Zaczęto zaraz po chwili rozpytywać o Łopatycze. Komornik tak się tu umiał maskować i przybierać postawę przyjacielską, że Strukezaszyc go za swego miał.

Panna Blandyna, pomimo groźby, że wieczera mlekiem i kaszą się obejdzie, wyszła, aby naprędce dokomponować naleśniki. Mężczyźni zostali znowu sami.

— Gdzież ty im tych pieniędzy będziesz szukał?— spytał Strukezaszyc.

— Albo ja wiem!

— Dziś o to niełatwo.

— I jak!

Hojski żywo chodzić zaczął po pokoju. Widać

było, że walczył z sobą, że się wahał i że myśl jakaś go żywo zajmowała. Nagle stanął.

— Słuchaj ty mnie uważnie.

— A i owszem.

— Widzisz, to tak jest — jam weredyk — mówił Strukezaszyc urywanemi frazesami. Ty jesteś biedny, dosyć mi sprzyjasz.

— O!

— Nie przerywaj! Dosyć mi sprzyjasz, ale ze strachu na dwóch stołkach siedzisz. Nie przerywaj. Ja cię mogę dźwignąć — ale —

Palec położył na ustach, a komornik w zapale obie ręce długie i kościste do piersi przycisnął.

— Rób mnie interesa, nie im, nie tym łajdakom, nie temu czarnawczyckiemu mieszcuchowi, co się dmie darmo.

Komornik wciąż jeszcze ręce cisnął do piersi, na znak szczerości afektu.

— Nikt na świecie wiedzieć o tem nie będzie — dodał Strukezaszyc. Poszli razem do okna.

Hojski pocichu, ale szybko począł coś szeptać, wygadał co miał, trzymając za guzik komornika, i, skończywszy, oddalił się ku kominowi.

Kaczor jak wmurowany stał długo przy oknie. Nie mówili nic.

— Chcesz — dobrze — dorzucił Strukezaszyc — nie — to nie.

— Ale chcę! chcę! — wybuchnął zbliżając się ko-



mornik i za ręce chwytając gospodarza. — Chcę — tak mi Boże dopomóż. Ale — chudy pacholek jestem, na przesładowanie się wystawić nie mogę. Jak mnie pan zdradzi, żonę i dzieci mieć będziesz na sumieniu.

Strukezaszyc, mileząc, poszedł do stolika, na którym stał krucyfix, wziął go w ręce i przed Kaczorem, schyliwszy się, w nogi Chrystusa pocałował. Co uczyniwszy, postawił krucyfix na swem miejscu.

Była to przysięga, a kto starego Hojskiego znał, ten wątpić nie mógł, że on jej, gdyby życie dać przyszło, nie zdradzi.

Komornikowi twarz się wyjaśniła.

— Wszystko będzie jak pan nakażesz — powiadam, wszystko.

Dano wieczrę; jadł Kaczor tak, jakby w Łopatykach na obiedzie nie był. Zamknęli się potem w kancelaryi Strukezaszyca nad jakiemiś papierami, z których gospodarz dyktował a komornik pisał. Trwała ta konferencya do północy blisko, poczem Hojski, resztę pacierzy domówiwszy, spać się położył. Nazajutrz dodnia Kaczora już nie było; ale p. Blandyna oddawna w tak dobrym humorze brata nie widziała. Nadzwyczaj rzadko mu się zdarzało nucić, a nazajutrz wieczorem z drugiego pokoju usłyszała jak podśpiewywał.

— Ale to coś osobliwego! — rzekła w duchu, — chyba Czemeryńskim się co zrobiło.

Nie słyhać jednak było o żadnej biedzie w Łopatyczach; chociaż trochę się tam szyki pokrzyżowały.

Ów baron Niemiec, który się zdawał tak do Leonilli przysiądać, nie dał się zaprosić na projektowany bal dla państwa młodych u Czemeryńskiego. Wszyscy wogóle Niemcy natychmiast po weselu wybrali się do Warszawy i Drezna, pod tym pozorem, że Najjaśniejszy Pan bez nich żyć nie mógł.

Tak więc upadła nadzieja uzyskania za pośrednictwem grafów niebieskiej wstęgi. Podkomorzy Buchowiecki nie odmawiał w tem pomocy swej i zięcia protekeyi, lecz zarazem przyznawał się, że Brühlowi trzeba było za to dać *duser*, conajmniej z tysiąca czerwonych złotych się składający, dlatego, że sędzia senatorem nie był; a król mocno się opierał mnożeniu kawalerów bez odpowiedniej kwalifikacyi. Oprócz tego kontrakt tegoroczne wypadały jakoś niedobrze, pieniądze się nie poławiały.

Dochody z Łopatycz rozlażyły się, jak mówił sędzia. Niemal cała nadzieja była na Kaczorze, który miał przyobiecane porękawicze wcale ponętne.

Przez dni prawie dziesięć komornika widać nie było, ani o nim słyhać. Gdy już zcicha go łajac poczynał Czemeryński, on razem ze szlachcicem się jakimś przystawił. Szlachcie wysiadł naprzód u Śliwki, a Kaczor przybiegł do dworu.

— Są pieniądze?

— Będą—jaśnie panie — odparł komornik, ale jest klauzula.

— Pfu! klauzula! jaka! żadnej znać nie chcę! Prosty skrypt przy świadkach — i żeby mi go do roku nie intabulował.

— Inna rzecz.

— Cóż innego?

— Szlacheic nie chce kapitału rozrywać, ma całe tysiąc dukatów — rzekł Kaczor.

Czemeryński aż się uśmiechnął i ręką zamachnął.

— To, na waścin młyn woda! — odezwał się — zechcesz porękawicznego podwójnego.

— Jaśnie wielmożny sędzio, po sprawiedliwości — zawołał Kaczor, — o małym karku nie skręcił, a com się nagadał, nakonwinkował! — Chciał jechać do Sapiarów.

Czemeryński wyprawił go po szlacheica. Był nim pan Honory Świerzbński, zamożny i pracowity Brześcianin, człek stateczny, dawny wojskowy; odegrała się z nim komedia zwykła.

Sędzia przyjął przybywającego po pańsku, zaczął *de publicis*, o konjunkturach politycznych *ex re* Brandeburczyka i cesarza rzymskiego. Świerzbński był za aliansem wszelakim przeciw niebezpiecznemu sąsiadowi, czyhającemu na Gdańsk, Toruń i Elbląg. Przybyłego tytułowano porucznikiem.

Zagałł wkrótce komornik, iż nie inny był cel odwiedzin, prócz powinnego respektu panu sędziemu, jak umieszczenie kapitaliku.

— A! proszę cię, komorniku—wybuchnął Czemeryński—znasz przecież interesa moje, iż pieniędzy nie potrzebuję. Proszę mi się państwo Sawicy z pod Drohiczyna, z dwoma tysiącami czerwonych złotych,—odmówiłem. Nie mogę. Co z temi pieniędzmi robić! Dóbr nabywać nie chcę....

— E! już to tam jaśnie wielmożny sędzia znajdziesz sposób na to, aby fruktyfikowały—rzekł komornik, a dla mnie, sługi swego, uczynisz tę łaskę, aby p. porucznik się z pieniędzmi nie woził.

Krzywił się sędzia; prowizya sześć od sta zdała mu się exorbitancyą: koniec końcem jednak po łobiedzie dukaty odliczono i skrypt *manu propria* podpisał sędzia i świadkowie.

Czemeryński dawno tak wesołym nie był; córce na szpilki dał nazajutrz pięćdziesiąt czątych, tyleż żonie i, opędziwszy co pilniejszego, myślał o podróży do Warszawy, dla odnowienia stosunków z grafami, gdy się dowiedział, że król do Drezna wyruszył.

W tym samym czasie ktoby był zajrzał do Sierhina, znalazłby i tam ukontentowanie, które humorowi łopatycykiem nie ustępowało.

Częstszym niż dawniej gościem bywał tu teraz komornik, który do sędziego nie zajeżdżał i nawet

gościniec około dworu przechodzący wymijał. Panna Blandyna zauważyła to, że ilekroć Kaczor się zjawił, szedł z nim Strukezaszyc do kancelaryi i godzinami tam przesiadywali nad jakimiś rachunkami.

Niekiedy komornik przywoził z sobą gości, jakich tu dawniej nie widywano, — szlachtę jakąś z okolic bliższych i dalszych.

Gdy ichmoście ci przybywali, traktowano ich obficie, i wprowadzano także do kancelaryi, gdzie p. Blandyna podsłuchiwała razy parę liczenie pieniędzy.

Nadto dobrze знаła brata, ażeby go o lekkomyślne lokowanie kapitałów posądzać mogła; wszelako trwoga ją jakąś ogarniała. Strukezaszyc zaś, ani przed siostrą, ani przed synem z interesów swych nie zwykł się być nigdy spowiadać.

Było w tem wszystkim coś tajemniczego.

Pan Erazm, wyprawiony do Lublina, dopiero w wielkim tygodniu na święta Wielkanocne miał powrócić. Było i to utrapieniem wielkiem p. Blandyny, że go nie widziała tak długo.

O to też największy żal do brata miała, iż chłopca za światem gdzieś trzymał.

— Niech się przeciera! — lakonicznie odpowiadał Strukezaszyc.

— W domu też znalazłby i co robić i czem się zabawić, a nam starym tak tęskno-by nie było.

— W domu? co w domu? żeby go znowu Łopatyńcy pokaleczyli?—mrucał Hojski. Kiedy ja nie mam spokoju, niech choć on go zażyje, póki nań ta bieda nie spadnie.

— Chłopca-by ożenić i na gospodarstwie posadzić—poddawała siostra.

— Nie czas!—sprzeczał się stary.

— A kiedyż będzie czas?—mówiła ciotka,—gdyż żeby zacznie tracić? Nie czas! Jegomość-bo nie nie-widziałeś u Podkomorzego, jak za nim panny strzelały oczyma, a i on też! Oto!

— Bałamuctwo!

— A ja mówię, bałamuctwo z tego może być chyba, gdy go wezas nie ożenisz. W tym Lublinie lekkich osób, wdówek, pań duszek zawsze dużo. One na takiego kawalera łase, a z tego obraza Boża.

— Ot-byś nie plotła!—zawołał stanowezo Strukeczaszye,—Tylko, aby mnie straszyc! Ja mu żonę wybiorę, napatrzę i sam dam—gdy przyjdzie pora. Inaczej jak z mojej ręki mieć jej nie będzie.

— A to już! prawdziwie powiadam!—odezwała się p. Blandyna; ale spójrzawszy na brata, musiała umilknąć: sporu z nim nie było sposobu prowadzić.

Tymczasem komornik i szlachta ciągle Sierhin nawiedzała, a czoło p. Strukezaszyca jak nigdy było pogodne i jasne, choć zpod śniegów na po-

lach oziminy wcale się nieosobliwie pokazywały. Żyta były mizerne, pszenicy ani znaku. Wiosna choć wczesna, zwiastowała się zimną i słotną.

W wielkim tygodniu,—właśnie gdy p. Blandyna rozpoczynała przygotowania do pieczenia ciast wielkanocnych, gdy mąkę, siano, migdały i rodzenki przebierano i płukano; korzenne przyprawy ucierano w moździerzach; liczone zebrane jaja, oglądając je naprzeciw światła, czy nie były popsute, rachowano się ze świeżem masłem, i klejono formy do bab — dawno oczekiwany p. Erazm nadjechał. Strukczaszyce, milczący, uściskał go ze łzami w oczach, ale wzruszenia nie dał poznać po sobie; ciotka mało go nie udusiła, i natychmiast rozpoczęła odkarmianie zgłodzonego. Miała bowiem to najmocniejsze przekonanie, że nigdzie się do syta najeść nie było można, tylko w Sierhinie, i że wszędzie indziej ludzie z głodu marli.

Erazm, czy to, że w istocie miło mu było wracać do rodzicielskiego domu, czy też, że młodość w nim grała, przyjechał wesół, śmiejący się, szczęśliwy, wszystkiemu rad, roztrzpiotany jakiś, aż ojciec, który rzadko go takim widywał, dziwnie mu się przypatrywał. Instynktem czuł, że chłopcu coś być musiało, co go tak ożywionym czyniło, bo nie ma skutku bez przyczyny, a dawniej jakoś bywał eichszym i skromniejszym.

Ani przed ciotką, ani przed ojcem, którego sza-

nował a razem się obawiał, z niczem się nie wydał p. Erazm. Na prawdę powiedziawszy, wesołości tej i szczęśliwości wewnętrznej była przyczyna tajemna, której się nikt nie mógł domyślić.

Rzecz się tak miała:

Przed wielkim tygodniem w Łopatyczach okazały się mnogie i rozmaite potrzeby domowe, których sprawunkami w Brześciu ani w Kobryniu zaspokoić nie było podobna. Wypadało chyba posłać do Warszawy, ale—kogo? Potrzebowano wiele do spiżarni: na to-by każdy łatwo z rejestrzyku zaradził, lecz i kobiecych fatalaszek do stroju wiele nie dostawało. Do tych potrzeba było i gustu i znajomości wymagań mody. Pani St. Aubin ofiarowała się jechać sama. Miło jej było przewietrzyć się trochę i w drodze grać rolę pani. Zdecydowano jednak, że dosyć było, zamiast Warszawy, Lublina. Z powodu trybunałów, przybywali tam kupcy, były sklepy; dostać można było, co zapragnęła dusza. Godziła się p. St. Aubin i na Lublin, choć przekładała Warszawę.

Lublin zaś z tego powodu był dogodniejszym p. sędzinie, że u Brygitek przełożoną miała rodzoną siostrę. Przy tej sposobności mogła jej posłać dla klasztoru pewnych łakoci i zapasów spiżarnianych, które zwykle około Wielkiej Nocey, osobna fura, pod nadzorem pisarza, dostawiała do zakonnic. Już p. St. Aubin miała się wybierać w tę podróż,



gdy—ni z tego ni z owego — p. Leonilli się zachciało nadzwyczaj gorąco jechać także i ciocię Teresę odwiedzić. Oprzeć się panie Leonilli, gdy czego zapragnęła, nie było sposobu. Umiała tak podpieszczać ojca i matkę, podmawiać sługi, a w ostatecznym razie nadąsać się i zapłakać, że dziecku pieszczoneму odmówić nikt nie mógł.

Z początku ojciec ofuknął, nie chciał pozwolić, matka wzięła stronę córki, którą oddawna pragnęła matka Teresa zobaczyć. Pani St. Aubin, poparła wychowanekę, — i jednego poranku kolasa we cztery konie, z bryką, ciągnęła do Lublina.

Nie mamy obowiązku opisywać, jak się tam dostały nasze panie.

Panna Leonilla, dla różnaitości, jeden dzień cały spędzała w klasztorze u ciotki, a pani St. Aubin właśnie od rana do wieczora chodziła i jeździła za sprawunkami. Trzeba takiego wypadku, że zaraz zrana, idąc na Krakowskim-Przedmieściu, spotkały się z p. Erazmem. Chłopak szedł wyelegantowany, ze mszy od Jezuitów. Zobaczywszy Francuzkę, którą poznał, ukłonił się i chwilkę zatrzymał. Ta, rada, że złapała kogoś do rozmowy i do posługi, zagadnęła go wesoło.

W kwadrans p. Erazm ze starą boną w jaknajlepszej komitywie, śmiejąc się, żartując, posługując jej, wyreczając ją, chodził po sklepach. Pani St. Au-

bin tak była z niego szczęśliwa, że ani go puszczać chciała.

Napomknął coś o zajadłej kłótni z Czemeryńskimi, a Francuzka żywo odpowiedziała:

— A mnie tam co do tego, że się starzy dają na siebie? Waćpan dlatego, choć życie w takiej rozterce, na moją Leonilkę, u Podkomorzego na weselu, patrzyłeś jak w tęczę i aż się oblizywał! Ho! ho! nieprawdaż? Ale-bo co śliczna, to śliczna!

Pan Erazm potwierdził gorąco bardzo.

— A widzisz waćpan — dodała Francuzka, ja mam dobre oko. Ho! ho! Podobała ci się?

— Zapewne, ale cóż z tego? ani do niej przystąpić! — odparł smutnie Erazm.

— Co acan pleciesz! — żwawo poczęła Francuzka — ani przystąpić? Tak to u was; a u nas gdy kogo miłość gorąca opanuje, cale inaczej. Nie zważa się na żadne przeszkody, gruchoce się skały, zabija olbrzymów, podkrada pod okna, przebiega, naraża, wojuje, dopóki miłość nie zostanie uwieńczoną!

Gdybyś waćpan na prawdę się zakochał w Leonille!...

Erazm się mocno zarumienił, bo mu w istocie niewiele już do tego brakło, lecz przerwał zaraz:

— Czy pani nie widzi tego, że panna Leonilla na mnie nawet i spojrzeć nie chce.

Pani St. Aubin się rozśmiała.

— Ale-bo wy o miłości wcale nie macie wyobrażenia i zawołała: U was poprostu, powiedzą: „żeń się,“ zawiozą, zaswatają, zwiążą i na tem koniec. U nas miłość to sztuka; u nas zdobyć serce buntownicze, to cel życia męskiego. A choćby panna i patrzeć nie chciała! To właśnie tryumf gdy się ją zwycięży, rozkocha, pozyska nareszcie. Taka panna jak moja Leonilka, warta, żeby się trochę pokłopotać o nią i pocierpieć dla niej.

Z kolei rozśmiał się smutnie p. Erazm.

— Czyż pani tego nie widzi—rzekł—że nawet, gdybym (o czem nie śmiem marzyć) zdobył serce, nasi rodzice.....

Francuzka mocno się oburzyła.

— Ale jakież waćpan jesteś prostoduszny i naiwny! krzyknęła, rękami klaszcząc. Tobys chciał chyba, żeby ci pannę przyniesiono na półmisku. A to mi się podoba! Taka miłość z przeszkodami, z awanturami, sekretna, otoczona mnóstwem niebezpieczeństw, oblana łzami, tragiczna—czy może być na świecie co piękniejszego i ponętniejszego! Cóż to uczucie bez tej przyprawy warto! O! wy Polacy! wy Polacy! wy nigdy tych delikatnych sentymentów, jakiemi my żyjemy, nabyć nie potraficie.

Na tem się skończyła prawie rozmowa, ale poszła do głowy p. Erazmowi, tak, że się nią upił zupełnie. Nazajutrz Francuzka kazała sobie zrana towarzyszyć znowu; zaprzęła posłusznego chło-

peca do posług swoich, nadawała mu najrozmaitszych poleceń, i — gdy popołudniu po raz wtóry przyszedł do oberży, w której stały panie z Łopatycz—znalazł tam p. sędziankę Leonillę.

Panna, oburzona niezmiernie zuchwalstwem Hojskiego, o którym jej umyślnie może bona nie nie powiedziała, wyszła, drzwiami trzasnąwszy, do drugiego pokoju. Pani St. Aubin pobiegła za nią, siedziała z pół godziny i, powróciwszy, gdy Erazm żegnać się miał i odchodzić, dała mu znak, ażeby został.

W kwadrans potem, pod pozorem chustki zostawionej w pokoju, wróciła doń p. Leonilla. Nie patrzyła wprawdzie na Hojskiego, ignorowała go zupełnie, robiła pogardliwe minki, wyglądała oknem na ulicę; lecz Francuzka, której intryżka i roman-sik czyniły prawdziwą satysfakcyę, tak jakoś umiała zręcznie pokierować rozmową, że w godzinę potem, chociaż zawsze surowa, groźna, niby kwaśna i nadąsana, p. Leonilla, odpowiadała panu Erazmowi i—pytała go nawet o różne lubelskie informacye.

Nazajutrz się tak jakoś złożyło, że p. Erazm był cały dzień na usługach tych pań. Pani St. Aubin i Leonilla zawczasu zapowiedziały sługom, ażeby o tym gościu nie śmiały w domu ust otworzyć, pod utratą miejsca i łaski.

Znano przewagę jedynaczki nad rodzicami: mo-

zna więc było być pewnym dotrzymania tajemnicy. Erazm służył jak — Murzyn. Latał, jeździł, płacił, szalał i wciągu tego jednego dnia, choć panna się z nim obchodziła jak z Murzynem, zakochał się w niej w najstraszliwszy sposób.

Romantyczne lektury francuzkie, usposobiły tak śliczną sędziankę, że dla niej nic w świecie nie mogło być przyjemiejszem nad zdobycie serca, nad takiego niewolnika-kochanka, co gotów był dać życie za nią! — Cały dramat śnionej miłości poruszał sercem sędzianki.

Pani St. Aubin nie widziała w tem nic a nie zdrożnego.

Jeden dzień dłużej, niż było postanowiono, bawiono w Lublinie, a u cioci Teresy mniej jakoś gościła piękna Leonilla, niż zamierzała. Tyle-bo miała sprawunków, kłopotów w mieście! Ostatniego dnia, doszło do tego, iż p. Erazm konno przeprowadzał do popasu. Francuzka po obiedzie wyszła jakoś na chwilę, zostawiając samnasam młodych dwoje, i garderobiana Anusia, przysięgała się potem, że widziała przez szparę we drzwiach z alkierza, jak Hojski kląkł przed sędzianką, pochwycił ją za rękę; ona mu ją wrywała, ten ją gwałtem pocałował w paluszki, zerwał się zaczerwieniony jak piwonia, kolana z pyłu otarł i — rozstali się bez gniewu. I owszem.....

Tylko w drodze, w kolonie żywa była nader roz-

mowa i popłakiwanie. W Łopatyczach nikt ani się domyślał, co zaszło w Lublinie.

A p. Erazm wrócił do Sierhina, tak wesół i szczęśliwy, jak nigdy nie był jeszcze; ale język za zębami trzymał.

---

Musimy teraz na chwilę przerwać swoje opowiadanie i bliżej zapoznać czytelnika z topografią Łopatycz i Sierhina, niezbędnie do zrozumienia tego opowiadania potrzebną.

Oba dwory leżały, jakśmy już mówili, w niewielkiem od siebie oddaleniu; długim pasem grunta ich stykały się z sobą.

Wyszedszy przez mostek z Jasuły Łopatyczej (tak ją ks. ex-definitior nazywał), o kilkanaście kroków zaraz spotykało się lasek z sosen, brzóz i olech złożony. Ciągnął się on przez znaczną przestrzeń, prawie nieprzerwanie aż do tak zwanego traktu, który szedł z Sierhina. Tam, gdzie się stykały dwie drogi, niegdyś stała karczma należąca do Łopatycz, prawie tużna granicy od sierhińskiej używalności. Uroczysko zwało się Dziewule. Karczma, już od lat pięciu była zgorzała, sterczał tylko po niej komin okopcony, rozwalony piec, pusty loszek, w którym kuny gospodarowały, a na gruzach bujno porastały pokrzywy, dziewanny, łopuchy,

rdesty i wszelakie ziele, które tylko czeka, żeby się na pustkowiu tłustem rozpostrzeć.

Silne było posądzenie na Strukczaszyca ludzi, jeśli nie na niego samego, że karcznię na Dziewulach podpalili. Czemeryński ciągle się zbierał ją odbudować. W pierwszym roku nawet zwieziono trochę drzewa; ale miało ono czas nadgnąć, a do budowy nie przyszło.

Tu dosyć szeroko wyjeżdżony gościniec, trochę piaszczysty, dzielił grunta Łopatyckie od lasu Sierhińskiego, do którego miał pretensją Czemeryński i dlatego inaczej go jak „dyferencyą“ albo „używalnością“ nie nazywał.

Wprost naprzeciwko spalonej karczmy, staraniem sędziego, wzniesiony był ogromny krzyż, malowany czerwono, sumptem wielkim i z okazałością, na jaką się w Kobryńskiem zdobyć tylko było można. Umieszczona u góry na nim figura Zbawiciela, z drzewa rzeźbiona, kolorami naturalnemi, nieco już teraz zblakłemi, była pokryta. Nad nią stał daszek i kogucik połączony na daszku. U dołu znajdowała się symboliczna trupia głowa, dwie kości na krzyż i rok, w którym zbudowano figurę. Dla ochronienia jej od kół wozów wracających z jarmarku—otoczono ją sztachetami, na których też ślady czerwonego malowania widać było. Czemeryński chlubił się tem, że takiej figury na mil dzie-

się w koło nie było. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć.

W piękne dni wiosny i lata nie było przyjemniejszej przechadzki z Łopatycz, jak wonnym lasem na Dziewule. Zbliżając się ku nim mieszany ów las zmieniał się w brzeźniak, podszyty trochę leszczyną. Nic nie było piękniejszego nad te smukłe, powyginane jak panienki w tańcu, z długimi warkoczami zielonemi, w białych sukienkach brzozy. Choć gdzieniegdzie którą swawolna ręka odebrała ze zwierzchniej kory, pozostała rana pomarańczowa, czerwona, brunatna, wyglądała jak na białej szacie krasna przepaska.

Było we zwyczajaju z Łopatycz chodzić na spaceru na Dziewule. Sędzia często odmawiał pacierze wieczorne pod krzyżem; sędzina, z powodu małego wzrostu, trzewiczków na korkach, usposobienia do sedenteryi, nie lubiła przechadzek, — dzierżgała, dryzlowała, robiła pończoszkę i drzemała w swoim krzeselku z wygodnym podnóżkiem: wychodziła więc bona z sędzianką, czasem sędzia w towarzystwie ex-definitora, niekiedy sam jeden.

Wielka Noc tego roku była spóźniona, i po tych słotach i chłodach, o których wspominaliśmy, nastąpiły dni prześliczne. Brzozy się były zupełnie rozwinęły, i choć je uszkodzono wielce, obrywając mnóstwo pączków nierozwiniętych, dla namoczenia w spirytusie, choć i soku z nich natoczono dosyć



ukradkiem—bujały w tym roku cudnie i woń liści świeżych rozlewała się dokoła, balsamiczna, orzeźwiająca—tak, że według słów ks. ex-definitora, gdy człowiek godzinę tam oddychał tą ambrozyą, rok życia mu przybywał.

Wszyscy też jakoś na Dziewule pielgrzymowali, a p. Leonilla z Francuzką przynosiły ztamtąd bukiety dzikich kwiatów tak osobliwych, że się im p. sędzina nie mogła wydziwić.

Święta Wielkanocne szczęśliwie jakoś już były przeszły, ostatnie święcone, złożone z okruszyn i pozostałości, zjedzono na przewody, i do Zielonych Świątek wrócił spokój domowy. (Na świętki sędzina miała zwyczaj piec dragie święcone). We Wtorek po przewodach, wieczorem, gdy nikogo w Łopatyczach nie było, a dzień ciepły i śliczny z domu wypraszał, p. sędzia Czemeryński, który od niejakiego czasu był frasobliwy i smutny, wzięwszy kij i czapkę, wyszedł, pacierze odmawiając, lasem na Dziewule.

Ciężko mu było czegoś na sercu,—Wiele rzeczy, o których milczał, nie powiodło mu się. Baron ów niemiecki nie wrócił wcale, a po bliższem badaniu doszedł sędzia, że to był hołysz, przybłęda, Meklemburezyk, który z tego tylko żył, co na dworze króla jako podkoniuszy zarobił.

Starania o wstęgę utrudnione były tym tysiącem dukatów, którego cheiwy Brühl wymagał. W do-

mu z pieniędzmi i interesami nie szło lepiej; szczęściem jeszcze, że Czemeryński nie wglądał w ściśle rachunki. Mówił sobie: — „A po co się to zdało? gryźć się będę tylko. Co się wyexpensowało, nie powróci.“ Wszystkie te zawody, strapienia, kłopoty, do Pięciu ran Pańskich zaofiarowawszy, tem się pocieszał— że ludziom gorzej bywa.

Szedł z myślami temi i pacierzem na ustach, aż do lasku brzozowego. Tu, balsamiczna woń go orzeźwiła; począł ją w siebie wciągać pełnemi piersiami.

— Delicje! — powtarzał, skończywszy ostatnią modlitewkę.

Zdała już się czerwony krzyż pokazywał. Cichuteńko było w lesie; tylko dzięcioły kuły pracowicie w drzewach i głupia kukułka, przedzwiewać się ich zdając, odzywała się gdzieś w brzeźniaku! Wolnym krokiem sędzia ze spuszczoną głową począł się przybliżać ku krzyżowi i miał już czapkę zdjąć przed nim, gdy usłyszał kroki, podniósł oczy— i stanął jak wryty.

Z drugiej strony od Sierhina, w białym kitlu, w wysokiej letniej czapce na bok przewieszonej, podpasany rzemieniem, opierając się na grubym kiju, szedł krokiem mierzonym pan Strukezaszyc Hojski.

Spojrzeli na siebie— stanęli oba. Kroków może pięć ich dzieliło od siebie.

Czemeryński ramiona podniósł, głowę zadarł, w bok się jedną ręką wziął, sparł na kiju i nie ruszał z miejsca.

Strukczaszye, jakby się go uwziął przedrzeźniać, prawie podobną, ale butniejszą jeszcze, przybrał postawę; obu im usta drgały, a oczy ciskały pioruny. Na laskach oparte ręce konwulsyjnie dygotały.

Parę minut upłynęło w tem przykrem położeniu.

— Gdy się zawrócę — myślał Czemeryński, będzie sądził, że się go boję i uciekam.

— Nie ustąpię kroku! — mówił w duchu Strukczaszye. — Stójmy kto kogo przestoi!

Czemeryński sapał, Hojski poświstywał.

— A długoż-to tego będzie! — he! — krzyknął narazcie unosząc się sędzia. — Ja tu jestem na moim gruncie.

— Ta! ta! ta! a ja na publicznym gościńcu — rozśmiał się Hojski.

— Myślisz, że ja się ciebie zleknię? — zawołał sędzia.

— Sądzisz, że ja się ciebie boję? he? — rzekł flegmatycznie Strukczaszye.

— Coś-to ty mi za jeden?

— A ty?

Rzucili na się oczyma, jakby się pozjadać chcieli.

— Patrzcie go! tyka! tyka! — zawołał Czeme-

ryński w passyi.—Szerepetka jakiś! mnie.—Wiesz ty coś za jeden, a co ja!

I w piersi się stuknął kułakiem.

Strukezaszyc śmiał się drwiąco.

— Coś ty za jeden, to ja wiem! he. Hojscy kniaziami tu byli, gdy twój pradziadek jeszcze w Czarnawczycach obwarzanki przedawał!

Posłyszawszy to horrendum, sędzia zrobił się czerwony, siny, o mało go nie zabiła apoplexya; rzucił się cały. W tem jakoś na krzyż spojrział i to go pohamowało. Zabełkotał tylko:

— Grabieżcy! rozbójniki, napastniki!

— A wy co?—odparł, niechęcąc pozostać dłużnym, Strukezaszyc. — Dmiecie się jak pęcherze, państwo w głowie a dziury w kieszeni! Fanaberye! wielki mi pan! fu! fu!

Czemeryński do takiej był doprowadzony passyi, iż kontenans zupełnie straciwszy, kij, który trzymał w ręce, do góry podniósł.

W tej-że chwili Strukezaszyc, pilnie go mający na oku, sękatą pałką, machnął w powietrzu.

Lecz nie ruszyli kroku, stali jak wryci.

— Ty! ty! jakiś!—bełkotał sędzia.

— Cóż ty mi kijem będziesz wywijał?—odezwał się Strukezaszyc — chłopska natura się odzywa; radby się bić na kije. A no! ja-bo na ciebie mam dawno apetyt. Jeżeli nie jesteś tchórz, to i owszem,

owszem, przyjdź tu jutro wieczorkiem, albo o brza-  
sku z szerpetyną sprobujemy się po szlachecku.

Aleś tehórz!

— Słyszysz ty! — wyrwał się Czemeryński—  
milez! Choć nie jesteś mi równym—tak mi pomóż  
Boże, stanę z szablą i uszy ci poobcinam.—Stanę.

— Kiedy? — podchwycił Strukezaszyc — służę!  
z miłą chęcią? Kiedy?

— Jutro wieczorem o tej porze!—zawołał Czeme-  
ryński.

— Zgoda! śliczności! — rzekł, kij spuszczać  
Strukezaszyc, ale słuchaj-no, ty żółto brzuchu—ja  
ci nie wierzę. Ty mi tu ciżbę naprowadzisz, w to-  
bie chłopska czy mieszczańska natura... sam z sza-  
blą nie zechcesz się stawić.—Zaraz ci będzie dwo-  
ru potrzeba.

— Milez, nie bluzgaj! mówię milez! — zakrzyczał  
Czemeryński.—Rozprawiemy się.

— Na cztery oczy?

— Na cztery.

— Patrzaj-że—dodał wskazując na figurę Struk-  
czaszyc—Oto wizerunek Zbawiciela, który nas są-  
dzić będzie: biorę go na świadka tego, coś rzekł.  
Kto zdradzi, tego niech prawica Boża ukarze!

Czemeryński podniósł tylko oczy zaczerwienio-  
ne ku krzyżowi i nie rzekł słowa.

— No — a teraz dobranoc waszeci — dodał szy-

dersko Strukezaszyc. — Jutro—tu, o tej samej porze. Słowo się dało.

Czemeryński odwrócił się plecami.

Strukezaszyc, oddając mu wzajemnością, trochę nawet poły kitla zatoczył, pałąk zamachnął i rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Sędzia był tak zirytowany, że ledwie kroków kilkanaście uszedłszy, musiał stanąć, otrzeć pot z czoła, odetchnąć. Oparł się o drzewo; byłby może przysiadł na ziemi, ale przy jego korpulencji wstawanie stawało się przytrudnem. Musiał poprzestać na wytchnieniu.

Noga za nogą włókł się z powrotem ku Łopatyczom. Wśród rozmowy z sąsiadem, nie ważyło się słów, nie było czasu rozmyślać co się rzekło i co usłyszało. Teraz dopiero wszystko na pamięć przychodziło, a szyderstwa Strukezaszyca piekły jak żelazem gorącym. Szczególniej owo zadanie bezczelne, że dziadek jego w Czarnawczycach obwarzanki przedawał, a razem twierdzenie, że Hojscy kniaziami byli!

W głowie to tak się mąciło sędziemu, iż potrzebując ładu jakiś uczynić w myślach, nimby do domu powrócił, stawał kilka razy.

Dawszy słowo, że się nikogo nie weźmie, nie można też było mówić nikomu o tem, co się stało. Sędzia do jutra wieczora musiał się ukrywać, milczeć, nie dać poznać po sobie, że w nim wnetrżno-

ści kipiały z gniewu. Zwierzyć się nawet *sub rosa*, komukolwiekbądź, było zdradzeniem przysięgi!

Z drugiej strony Hojskiemu cale nie wierzył, sądził go do wszelkiej zdrady zdolnym, na wszelką niepoczciwość gotowym.

Naostatek — Czemeryński jak każdy szlachcic owych czasów, z szablą sobie umiał dać rady, ale, nigdy nią tak jak inni rębacze nie władał, Strukczaszye był silniejszy, i — kto mógł wiedzieć, jak się bił?

Gniew mógł dodać siły i impetu, ale losy takich walk niepewne: Hojski na śmierć gotów był zarybać.

Wszystko to rozważywszy, przyszedł do tego postanowienia sędzia, żeby *sub sigillo confessionis* wypowiadać się ks. ex-definitorowi. Był-ci i on szlachcic i nie niegodnego stanowi rycerskiemu doradzić nie mógł.

Zbliżając się już do dworu, sędzia, dla zupełnego uspokojenia, odmówił modlitwę, dodał koronkę do Przemienienia Pańskiego, naostatek Anioł Pański; u studni kazał sobie czerpakiem wody świeżej podać, i jakotako po alteracyi tej uspokojony, wszedł do domu, gdy już tylko na niego z wieczszą oczekiwano.

Mitygował się jak mógł, zagadał o balsamicznem powietrzu, o przyjemnej przechadzce, o pogo-

dzie, o wiosnie; a jednak sędzina spojrzawszy na niego—szepnęła:

— Czegóż jegomość czy zmęczony — czy fraso-  
bliwy—bo coś blady i oczy czerwone!

— Gdzie tam! co ma być! — rzekł Czemeryński.  
Nie mi nie jest, tylko aura wieczorna, to wiadomo,  
działa na człowieka.

Mimo wymówki tej domowi przy wieczerzy, ze  
sposobu jedzenia, mówienia, zapominania się, za-  
myślenia wnosząc, uważali wszyscy, iż sędzia  
był—nieszczęśliwy.

Po wieczerzy z pośpiechem ujął gospodarz pod  
rękę ks. ex-definitora i zaprowadził go do kancel-  
laryi. I to było niezwykłym.

— Mój ojciec—rzekł cicho a pośpiesznie — mam  
coś do powiedzenia, do poradzenia się, jako dyre-  
ktora sumienia—ale—*sub sigillo confessionis*.

Zdumiał się mocno Dominikanin. Po przestanku  
małym sędzia go odprowadził do okna i bardzo ci-  
chym głosem opowiedział całą scenę, której byli-  
śmy świadkami. Naturalnie tak ją powtórzył, jak  
mu wypadło, jak ją chciał mieć, a nie tak może  
jak była! Ksiądz ręce łamał.

Gdy się opowiadanie skończyło, Dominikanin mil-  
czał chwilę. Jako ksiądz, wyzwania na rękę nie  
mógł ani pochwalić, ani dopuścić; lecz jako szla-  
chcic wiedział, że próżnoby było, nawet klątwą



kościelną chcieć odwozić od stawienia się na placu.

— Ale to fatalna jest rzecz! fatalna!—odezwał się: — Asindziej rękę straciłeś, dawno szabli nie używając, to zajadła sztuka. To się nie godzi. Zresztą spotkanie bez świadków — rzecz niesłychana.

— Słowo! słowo!—zamruczał Czemeryński.

Po długim targu i rozprawach, stanęło wreszcie na tem, że sędzia miał wyniść na plac; ale ks. ex-definitor z brewiarzem mógł nadejść i albo przeszkodzić walce, albo ją powstrzymać.

— Kto mnie może zabronić pójść do krzyża!—rzekł Dominikanin. Inaczej nie dopuszczę; a jutro na intencją, aby się to bez krwi rozlewu obeszło, mszyczkę świętą odprawię.

Sędzia przypomniał jeszcze, że tajemnica była powierzona jak na spowiedzi. Nie wątpił zresztą że jej ex-definitor dotrzyma.

Cały dzień następujący wszyscy domownicy znowu uważali, że Czemeryński chodził jak przybity, zamysłony, smutny i powzdychujący.

W Sierhinie nikomu na myśl nie przyszło Strukczaszyca posądzać o krwiożercze zamiary. Powrócił bowiem do domu wesół, ożywiony, pałką machając—i z p. Blandyny podżartowywał, co było zawsze dowodem nadzwyczaj szczęśliwego usposobienia.

Nikt go nie podpatrzył, gdy po obiedzie, w swoim pokoju szablę z kołka zdjął, pocałował ją, przeżegnał, z pochew dobył, otarł, wyostrzył i poprobowował jakim-by sposobem mógł ją tak schować pod kitel, aby jej widać nie było.

Jeszcze do zmierzchu było daleko, gdy już Strukczaszye, jakby w miejscu mu usiedzieć było trudno, z pałą na przechadzkę ku lasowi wyruszył.

Łopatycki pan, także nad wieczór zagadał o tem, że świeżego powietrza potrzebuje, i zaprosiwszy z sobą ex-definitora, ruszył ku figurze.

Dominikanin miał pozostać w zaroślach i nie ukazywać się, aż gdy się ichmość raz i drugi złożą.

Pierwszy na placu znalazł się Strukczaszye; aż tchnął całą piersią, gdy tu stanął.

Spojrzał na figurę.

— Jezusie Nazareński—rzekł w duchu — ty widzisz serce moje, że życia ludzkiego nie pragnę; dajże mi to tylko, abym kropelkę krwi jego utoczył za krew syna mojego, za wszystkie męki i strapienia moje.

Zmówił modlitewkę, nastawił ucha — nikt nie przychodził.

— Kto go tam wie. To plemię zdrazieckie: gotów bestya nie przyjść. No —to go opublikuję i do akt podam jako infamisa! Coraz bardziej się już niecierpliwie zaczynał Strukczaszye, i krew już w nim się burzyła, gdy nagle usłyszał kroki.

Ktoś szedł—stanął.

Na ścieżce ukazał się sędzia, szablę dobywający z pod kapoty.

— A no! przecie! ja tu już od godziny czekam.

— Przecież-em się nie spóźnił.

— No, to jam się widać pośpieszył—rzekł Strukezaszyc, już dobywając szabli, a pochwę rzucając na ziemię.— „Gadu, gadu—a psy w krupach,“ my tu gawędzimy, a gotów kto nadjechać.

Służę.

I stanął wyzywająco stary.

Czemeryńskiemu też zrobiło się z gniewu gorąco: szablę wychylił z pochwy, położył i zbliżył się.

Spojrzeli sobie w oczy, — drwiąco Hojski, zjadle sędzia.

Pomimo krwi zimnej, którą chciał Strukezaszyc okazać, po twarzy jego przechodziły jakby strumienie tłumionej zażartości.

Złożyli się raz; brzękły żeleźce, a tu już w obu szlachecka krew poczęła grać swoje. Skoczył Hojski i płaął, ale po szabli, rzucił się Czemeryński i chybił. Strukezaszyc miał obrachowany raz, i natychmiast powtórzył uderzenie, prosto mierząc w głowę. Nim się miał czas zasłonić sędzia, szabla Hojskiego rozcięła mu skórę na czole i krew trysnęła. Rana nie była ani niebezpieczna, ani głęboka, ale oczy krwią zaczynały zapływać. Byłby może Hojski poprawił i gorzej obciął przeciwni-

ka, gdyby naprzeciw niego nie zjawił się w tym momencie ks. ex-definitor z otwartym brewiarzem w ręku i nie krzyknął:

— Na rany Pańskie! a to co jest? Hamujcie się! Cóż to? napaść na gładkiej drodze! Bez świadków bitwa! Słychana rzecz! W imię Pańskie—hola!

Strukczaszye stanął i krok się cofnął; Czeme-ryński też, i rękę przyłożywszy do czoła, krew ocierał, niemówiąc nic.

Książd Ambroży tymczasem pośpieszył stanąć pomiędzy walczącymi i powagą swą hamował.

— A że też waćpanu nie wstyd, panie Hojski—zawołał—a godziź się to?

Strukczaszye stał głową kiwając, jeszcze rozżarty poczętą i tak skoro przerwana bitwą.

— Co? co? — odparł.— Cóż ty wiesz, księżuniu! Kto począł i kto winien, że na mnie napadasz! Gospodaruj w zakrystyi a nie tu! Także—proszę! To nie twoja rzecz.

— A moja! krzyknął gwałtownie oburzony duchowny. Co asindziej mi będziesz nauki dawał! Obraza Boża! śmiech ludzi. Starzy ludzie. Niedosyć, że się zajadacie lat tyle po polach i łąkach, na papierze, po trybunałach—jeszcze—

— Obróć-że się do swojego! — przerwał Strukczaszye. — Jam kozioł, a ten to baranek niewinny! Ten!

I wskazał ręką na sędziego, który wciąż jeszcze ciekącą krew ocierał.

— Żebyście mieli mnie tu posiekać na drobne kawałki—zawołał Dominikanin — bić się nie dopuszczę—dosyć już i tak krwi.

Słyszając to Hojski, z wielką flegmą szablę, którą jeszcze trzymał w ręku, począł o kitel ocierać, schylił się do pochwy leżącej na ziemi, i w milczeniu żelaziec chował.

Czemeryński stał, niewiedząc co począć.

— Przerwana, nie skończona, nie rozegrana! — mruknął. Spotkamy się może gdzieindziej!

— Kiedy, jak i gdzie się podoba, choć o północy — służę! zaśmiał się Strukeczasyc. Tylko asindziej Dominikanina nie sprowadzaj jak dziś, bo na spowiedź i ostatnie pomazanie ja zawsze dość waści tchu zostawię.

Oburzył się na to Czemeryński.

— Ja nikogo nie sprowadzałem! —zawołał.

Hojski ramionami ruszył, chciał iść.

— Spotkamy się inną razą! spotkamy—powtórzył Sędzia—a no, suplikuję, co dziś między nami było, aby milczeniem pokryć.

— To Dominikanin wyśpiewa!—rzekł Hojski.

— Ja, nie — odezwał się ksiądz,—kapłańskim słowem ręczę.

— Ja nie rozgłoszę, począł sędzia, a spodziewam się, że jegomość, pan z kniaziów Hojskich,

dziedzie na Sierhinie, nie będzie się chwalił, bo nie ma czem.

— Patrzaj-no — ty z obwarzanków czarnawczyckich hrabio na Łopatyczach, abym ja się kiedyś na twoich wioskach nie pisał! — huknął Strukeczasyc.

— Daj słowo! — dorzucił Dominikanin — po co ludzi śmieszyć.

— Ja i daję słowo i dotrzymuję słowa! odparł Hojski — kłaniam uniżenie — *ad videndum et continuendum*.

Zaśmiał się i pałką machając, poszedł drogą ku Sierhinowi.

— Płatnął mnie, jucha! — odezwał się Czemeryński — daj-no księżu chustkę, trzeba krew wycisnąć i czemś zalepić.

— A co we dworze powiemy?

— Idąc, czapkę nacisnę na uszy w kancelaryi mam plaster, zalepię — odezwał się pośpiesznie Czemeryński.

— Ale znak?

— Tom się pociemku o uszak wyciął i po wszystkim! — dodał sędzia. Ani jejmość, ani Leonilka, ani nikt wiedzieć o tem nie powinien. Nie chcę tego.

Honoru mi nie czyni, żem się z lada takim, z pozwoleniem, hołyszem z pod ciemnej gwiazdy, na szable próbował — i jeszcze.... oberwał.

Rana, po otarciu i opatrzeniu, okazała się nic nie

znacząca; jednak skóra była jak brzytwą przecięta: krew utamować było trudno. Wypadkiem, chleba kawałek miał ksiądz w kieszeni i, mięksiz zgniółszy, nim dopiero ranę zalepił. Trzeba jednak było poczekać dobrego zmięzchu do powrotu. Szablę, której o mało nie zapomniano pod krzyżem, już sam ksiądz ex-definitor podjął, i z uśmiechem pod swój habit ją skrył, obiecując odnieść do dworu.

Czemeryńskiemu dopiero teraz duch i fantazyja powracała.

— Nie wiem czy asindziej uważałeś—rzekł—to szczególna rzecz, jakim sposobem on mnie mógł obciąć. Istnym przypadkiem, przeciwko wszelkim prawidłom. Ja go już, już miałem pod ręką i byłbym mu na wieki wieczne na karku znamię krwawe zostawił. Sądzę, że mi noga w piasku się zsunęła, no, nie wiem—ale extraordinaryjne cięcie, którego on sam się nie spodziewał.

— Dajmy już temu pokój—rzekł ex-definitor—co się stało, to się nie odstanie. Być może, iż ja winienem, że się trochę wprzódy nie stawił, alem chciał według dyspozycyi pańskiej dać się złożyć.

Westchnął sędzia. Powoli się tak wlekli do dworu, aby do mroku dociągnąć.

Udało się to im daleko szczęśliwiej niż sądzili, i nikt nie postrzegł wchodzącego Czemeryńskiego z czapką na czoło nasuniętą. W swoim pokoju

obmył się zaraz ze krwi, zapalił świecę, plaster przykroił i nalepił.

Zręcznie potem bardzo, ogromnym głosem klnąc i łając wołać począł lokaja, aż się po całym domu rozległo. Zbiegli się wszyscy. Czemeryński stał trzymając się za głowę i hałasując, że światła nigdy w porę nie zapalą, że pociemku wszedłszy, głową się szpetnie o uszak wyciął i zakrwawił.

Pani sędzina, przerażona, przybiegła natychmiast, ręce łamiąc i płacząc; o mało nie omdlała.

— Znowu tak okropnego niéma nie — pocieszał sędzia.

— Uchowaj Boże w skroń, śmierć! śmierć być mogła—wołała sędzina.

Postanowiono *pro memoria*, lokajowi Stefanowi dać bizunów pięć, lecz wspaniałomyślnie karę tę raczył sędzia zmienić na mlócenie pół dnia w stodole—co, dla lokaja, noszącego barwę i półmiski, było też srogiem i upokarzającym.

Przy wieczerzy Czemeryński z plastrem na głowie siedział, chmurny, nieswój, i zaraz potem udał się na spoczynek, napiwszy się ziółek od alteracyi z odrobiną szafranu, co było wypróbowanem i nader skutecznem.

Pan Strukezaszyc do domu wrócił, przez całą drogę się sam do siebie uśmiechając. Na swoim postawił. Pan Bóg mu dopomógł i poprzysiężona krew za krew została przelaną.



— A że kapelana sam nasadził, aby wpaść, niby insperate, za to-bym szyję dał—mówił sobie, idąc Hojski. Bał się nieboraczysko, aby gorzej nie było—odgraża się spotkaniem! Ale! ale! Na Józefatowej dolinie! Na sądzie ostatecznym gdy przyjdzie do porachowania się między nami. Drugi już raz mi się tak nie uda.—Dobra psu i mucha!—zakończył Strukezaszyc.

Szablę na kołku udało się tak powiesić Hojskiemu, iż nikt tego nie postrzegł.

Z apetytem napił się potem wódki przed wieczorą, i dalej ciągnął prześladowanie p. Blandyny.

— A już mi asińdzka nie mów, bo że Kaczor się rozwiezie z żoną i będzie o jej rękę konkurował, rękę—takie do asińdzki oczy robi!

— Mój bracie—odstrzeliła p. Blandyna—mnie się zdaje, że on do twojego sepecika, co w głowach stoi, większe niż do mnie ma nabożeństwo.

Śmieli się przez całą wieczerę.

---

Spotkanie u figury na Dziewulach nie polepszyło stosunków dwu sąsiadów. Strukezaszyc spędził trochę swej zajadłości, naznaczywszy sędziogo po łbie; Czemeryński czuł się upokorzonym i tem większą zemstą dyszał. Częściej niż kiedykolwiek na pokojach, u obiadu i wieczerzy, wspominał Strukezaszyc, dając mu zawsze epitety jaknajwyszuz-

kańsze; nawet w rozmowie ze Sliwką napominał, ażeby Sierhinowi nie folgowano i dokuczano na każdym kroku.

Włościanie i oficjaliści w takich razach, gdy wiedzą, że dwór ich poprze i obroni, zawsze są skłonni do płatania figlów. Nie było też prawie tygodnia, ażeby bójki, spotkania, zajmowania bydła, chwywania w lesie ludzi się nie trafiało. Jeżeli Łopatycyccy zajęli co, poturbowali chłopów Sierhińskich, zrobili burdę, na pewno w kilka dni tamci się zasadzili i oddali we dwójnasób za swoje.

Wojna zawsze na wiosnę i w lecie ożywiała się, zajadlejszą stawała. Czyhano na siebie wzajemnie. Czasu na to marnowało się wiele, a wyrzec się tego nikt nie chciał.

Sam p. sędzia Czemeryński przemyślał mocno: jakby za rozplataną na czole skórę zapłacił. Nie trafiała się sposobność żadna. W trybunale sprawa graniczna, trwająca od niepamiętnych czasów, tyle miała kategorii, w tyłu była pozapisywana regestrach, tak z obu stron jej pilnowano, że na niej prawnicy tylko zyskiwali. Obie strony musiały czekać końca, którego przewidzieć nie było można.

Strukczaszcycowi między innemi przydomkami, dawano i przezwisko „pieniacza;“ Hojski Czemeryńskiego zwał „wykrętnym jurem.“

Od niejakiego czasu, dawny w Łopatyczach

gość częsty, Kaczor, jakoś się nie pokazywał. Sędzia do niego był nawykły, i prawie zanim tęsknił.

Kazał raz nawet Śliwce się dowiedzieć: czy nie chory. Posłaniec przywiózł wiadomość, że wyjechał gdzieś i dawno go w domu nie było. Tymczasem zaszła okoliczność, która bytność komornika czyniła koniecznie potrzebną. Po Wielkiej Nocy, ni ztąd ni z owąd, poczęły się sypać listy do sędziego, żądające wypłaty kapitałów.

Pierwszych dwa nie zmartwiły go wcale, lecz gdy jak z rogu obfitości, jedno po drugich lecieć poczęły owe wypowiedzenia stanowcze, — Czemeryński, który długów liczyć nie lubił, a o wielu nie pamiętał, przestraszył się mnóstwem tych obligów i skryptów. Raz potajemnie siadł sobie, począł konotować i doszedł do summy tak znacznej, że się aż przeraził.

Jawną rzeczą było, że kredyt jego zachwiany musiał być mocno, skoro naraz wszyscy dotąd cierpliwi wierzyciele go oblegli.

Wstydział się nawet przyznać do tego przed kim obcym. Ze zwykłą większej części ówczesnej szlachty nieogłędnością, robił długi, pewien będąc, że się to jakoś połata. I łątało się to tym sposobem, że pożyczając u jednego, oddawało się drugiemu. Teraz, gdy zastukali wszyscy, urwało się nagle.

Czemeryński chodził niespokojny, oczekując na Kaczora, chcąc mu powierzyć traktowanie z wie-

rzycielami, aby nie nalegali. Zdawało się to możliwem. Regenta tymczasem nigdzie pochwycić nie było można. Goniono zanim do Kobrynia, Brześcia, wywiadywano się wszędzie: jak w wodę wpadł. Sędzia, rozgniewany, kazał w końcu Brackiemu jechać, dobyć go, choćby z pod ziemi i — „za uszy“ przyprowadzić.

Z wielkim trudem dało się wysledzić nareszcie, że regent często przesiadywał w Sierhinie, a tam ani Bracki, ani Śliwka, ani żaden postaniec Łopatki nie mógł się ważyć, bo życia nie byłby pewien.

Najęto żydka i posłano z listem. Przebiegły chłopak wytropił komornika, list mu wręczył i otrzymał ustną odpowiedź, że nazajutrz obżałowany się stawi.

Ubodło niezmiernie sędziego, że Kaczor tak wysiadywał u przeciwnika jego; postanowił mu wytrzeć kapitułę co się zowie.

Gdy rano nazajutrz wysiadł z kałamażki Kaczor, zaraz go do kancelaryi poprowadzono. Czemeryński, chodząc, czekał na niego. Blizna na czole już się była zaciągnęła, ale znak czerwony po niej pozostał.

— Cóż to się u licha ma znaczyć?—począł Czemeryński,—acan mnie zdradzasz? knujesz coś przeciw mnie! Nigdy go znaleźć teraz nie można, ni-

gdzie dopytać, gdy ja potrzebuję; a w tym przekłętym Sierhinie siedzisz jak w domu!

— Ja?—zawołał Kaczor,—jako żywo, a któż to powiedział? Jeździłem w powiat Piński do familii, a dopiero zawczoraj ledwie żem z bryczki wysiadł, przysłał do mnie Strukczaszc, iż potrzebuje. Jużcić nie mogłem odpowiedzieć: nie pojedę! Ja z tego żyję, a teraz ciężkie czasy.

— Cóż ten hołysz, skąpiec, matacz, ten jakiś piniacz, — zawołał sędzia — co on wacanu może dać? Co od niego skorzystasz? Hm! Czy go nie znasz? Każe sobie służyć, a potem czem zgnoj-nem i stęchłem wykwituje!

— Ja też tam na niego nie rachuję wiele,—rzekł Kaczor z pokorą—ale chudy pacholina, jaśnie panie, opuszczać nie mogę nic, nikogo zrażać ani się nikomu narażać.

— Ja acana kilka miesięcy w żywe oczy nie widziałem!—wymawiał sędzia—hę? godzi się to?

— Miałem własne interesa—tłómaczył się Kaczor żałośliwie—pięcioro dziątek, szóstego tykoco pa-trzeć.

Tu Czeremyński poszedł do kantorka i, przerywając rekryminacye,—rzekł—papierów wiązkę do-bywając.

— Wiesz co się święci!

Komornik osłupiałą twarz zrobił i głowę po-trząsał.

— Nic nie wiem, jaśnie panie.

— Pięknych mi naraiłeś kapitalistów — patrzajże, Dziechciński upomina się, Sroczyński żąda zwrotu, Terajewicz, Wakulski, Wróbel, Pacyna.....

Komornik się pochwycił za głowę.

— Nie może być!—krzyknął.

— Co nie może być! Oto ich listy! Czarno na białem! Spisek jakiś, czy co? Razem się spiknęli na mnie. Niéma na świecie człowieka, któryby temu podolał. Nawet skarb królewski żąda w takich razach prolongaty.

Kaczor stał pogrążony w myślach i przybity, niewiniątko udając wcale dobrze.

— Ja wiem, proszę jaśnie wielmożnego sędziego—rzekł—ja wiem co to jest.

— Cóż to jest?

— Sapiehowie potrzebują pieniędzy,—kodeńscy; rozesłali między szlachtę, obiecując ośm prowizyi—wszyscy ściągają!

Czemeryński się przeszedł po pokoju.

— To lichwa!— rzekł — ale *necessitas frangit legem*—jedź waćpan po tych ludziach cheiwych a bez sumienia, powiedz, że ośm dam. Kaczor ręką jakoś i palcami kręcił dziwnie.

— Kiedy oni pewnie poprzyrzekali już—bąknął.

— Niech się wytlómaczą!—odparł Czemeryński. Ja pieniędzy teraz tak nagle nie dostanę, a kiedy Sapiehom o nie trudno, cóż mnie? Mennicy u sie-

bie nie mam! To są czasy extraordinaryjne. Wówczas, kiedy ja prawie nie potrzebowałem, to mi się kłaniali i prosili, nalegali, żebym brał. Klęli się że chyba ich dzieci podniosą, a tu nagle — fiut! i, dawaj pieniędzy.—I to nie jednemu, nie dwóm, ale wszystkim.

To mówiąc, wiązką listów trzymaną w ręku, Czemyński uderzył po biurku i rzucił ją z gniewem.

Komornik, w progu ciągle stojący, patrzył, słuchał, lecz nie okazywał tego na usługi pośpiechu, tej żywości i gotowości jak dawniej.

— A to, w istocie, proszę jaśnie pana — zaczął mruzczyć, głowę trąc—co tu robić!

— Co robić! jechać, gadać i żądać nieodzownie prolongaty—powtórzył Czemyński.

— A jak nie otrzymam?—rzekł komornik.

— Niech pozywają! — krzyknął sędzia — niech pozywają! Nie wskórają na tem nic, oprócz kosztów.

Komornik w milczeniu parę razy oczyma zmierzył sędziego, jakby grunt chciał rozpoznać, gotując się coś zagaić, co mu nie łatwym było do wypowiedzenia.

— Ja, wracając z Pińska, proszę jaśnie wielmożnego sędziego, po drodze spotkałem Wakulskiego i Wróbla, i coś zasłyszałem, ale mi się wierzyć nie chciało—rzekł zcicha: Myślałem, że żarty stroją.

— Cóż oni ci mówili?—spytał sędzia zbliżając się.

— To może strachy na Lachy — szepnął komornik, mierząc wciąż oczyma Czemeryńskiego.

— Ale cóż?

— Wakulski mnie zaczepił. — Pisałem do p. sędziego, aby mi zapłacił. — Nie da pieniędzy, to pojedę do Sierhina, Strukezaszycy mi zaraz obrączkowemi wyliczy, bo on na to łasy.

Czemeryński podskoczył.

— Łotry! rozbójniki!—krzyknął—oni już to myśla.

— Licho ich wie—rzekł komornik—a jak jeden to zrobi, pójdą i inni, jak w dym, do Sierhina.

Blady i przełękły, sędzia przez chwilę mówić nie mógł.

— Cóż-to on ma mieć tyle pieniędzy! —mruknął głosem, w którym się przestraszał malował.

Komornik milczał długo.

— Albo ja mogę wiedzieć co on ma!—rzekł obojętnie.

Tu na myśl przyszło nagle Czemeryńskiemu, co od Dominikanina słyszał o depozycie, i—mocno się zadumał.

— Któż to im tę głupią myśl takiego sęgowania mnie mógł poddać?—odezwał się. Czy to po obywatelsku? po bratersku? po ludzku? he?

— Że to jest szelmowstwo, to słowa niemasz—



przebąknął komornik—ale, proszę jaśnie pana, świat na tem stoi.

— Niechże taki świat, wszyscy razem porwą!— krzyknął sędzia—to abominacya!

W czasie tej rozmowy niewiele miało wagi to, co mówił komornik; lecz wpatrzywszy się w jego umyślnie na niewinno-głupowatą przerobioną twarz, można było poznać, że pilno badał sędziego, i do głębi go usiłował przeniknąć. Nie uszedł mu żaden ruch, drgnięcie, skinienie; zdawał się sobie notować wszystkie oznaki niecierpliwości, niepokoju, trwogi.

— Mam go już tu!—na gardło wskazując, odezwał się Czemeryński, który padł na krzesło.—Mam go tu! Dnia ani nocy spokojnej od niego. Żmija zajadła, pełza, sunie się niewidocznie, ryje podemną, ten łotr niegodziwy. Nie zaręczylbym, że i to wypowiedzenie jego sztuka! Grosza-był nie dał za to! To do niego podobne. To mi nim pachnie. Popatrzał na komornika, który ani potwierdzał ni przeczył.

— Hm? a ty co sądzisz?—spytał.

— A cóż ja wiedzieć mogę?—odezwał się z naiwnością Kaczor.

— Mógłbyś to spenetrować, kiedy tam bywasz—dodał sędzia.

— Do czegoż się to zda, choćbym i spenetrował westchnął komornik.

— Tak! prawda! tu trzeba myśleć i radzić — wtrącił, ożywiając się, Czemeryński. Mówiłem aca-nu, to niesłychana rzecz — skarb koronny żąda delaty, gdy ze wszystkich stron go opadną. Nieraz wojsko czeka lenungu. Zkąd-że ja im wezmę. Zkąd?

Komornik, patrząc w ziemię, rękami tylko okazywał, że w istocie nie było zkąd wziąć.

Znowu z pół kwadransa trwała zaduma.

— Słuchaj—rzekł, zbliżając się do Kaczora nagle sędzia. Masz pozór powrócenia do Sierhina?

— Pewnie, bo jeszcze mi nie mówił Hojski, po co mnie wzywał.

— No, to jedź-że, jedź zaraz, i penetruj go, czy rozumiesz! (nie poddając mu tej myśli!) czy gotów moje skrypta nabywać. Jeżeli się okaże do tego skłonny, miejże rozum, objaśnij go, że na tem nie wskóra nic. Pozwie mnie?— w przyszłym trybunale mój siostrzeniec, spodziewam się, będzie miał vice-marszałkowstwo. Marszałek nie przybędzie,— ja w tem—obronię się, i—figa! Niechajże następnych roczków czeka.

Rozumiesz?

Komornik głową okazywał, że pojął rzecz doskonale.

— Jedź zaraz — dodał Czemeryński — wyrozumiej, i z raportem powracaj. Nie pożałujesz tego.

Sklonił się Kaczor i w kilka minut był już w stajni przy kałamażce, gdzie chłopca się doszukać nie

mógł, aby zaprzął. Konie z pospuszczanemi łbami przy pustych żłobach Pana Boga chwaliły. Ledwiele dwie dobyto woźnicę z piekarni.

Ruszył tedy napowrót do Sierhina Kaczor, gdzie się go tak dalece spodziewano, iż na grobli do dworu wiodącej, spotkał Strukczaszyca. Kałamażka poszła do stajni.

— A cóż? a cóż? uśmiechając się zwycięzko, począł Hojski. — Jakże tam koło mojego kochanego przyjaciela? gadaj?

Komornik, który teraz duszą już i ciałem służył Strukczaszycowi, począł pocichu opowiadać, ostrożnie jednak oglądając się, jakby się lękał, żeby go wierzby stojące na gościńcu nie podsłuchały.

Cheiwie nastawiał ucha Strukczaszyce, a że mówić nie lubił, radość swoją wyrażał mimiką, bardzo zabawną. Bił się po biodrach, przysiadał w kuczki, okręcał się do koła, ręce składał i rozkładał, Kaczora chwycił i odpychał, i zdala patrząc na tak poważnego człowieka, wyprawiającego takie krygi i hece, sądziłby było można, że mu się w głowie pomieszało.

— A ha! otóż niech wie co to jest z Hojskim sprawa—czarnawczycki mieszczuch, co się jak pęcherz wydał!

Straszy mnie siostrzeńcem na trybunale: powiedzże mu, że ja sobie z niego....

Nie dokończył już,—szli do dworu.

Niedochodząc do ganku, milczącemu Strukezaszycowi wezbrało w piersi: stanął i począł, chwytwszy Kaczora za ramię.

— Czemeryńscy mi swą prepotencyą dojedli do żywego. — Cierpiałem! do ran Pańskich to ofiarowałem! Zbierałem grosz nie z chciwości, ale abym się nim pomścił na nich. Czekałem długo na sposobną godzinę: otóż nadeszła. Smakuję teraz! Używam!

Wpaść na niego i odebrać mu folwarki najlepsze, sprocosowawszy, juścić-bym mógł. Ale co to potem? Siekierą w łeb i rzecz skończona.

Nie! teraz naprzód strachu mu napędziłem, im się on przeciągnie dłużej, tem lepiej. Potem mu odbiorę — wyrwę zęby trzonowe, no, a naostatku, jak go to nie zabije, zobaczymy!

Komornik, nawykły do obcowania z różnymi ludźmi, w sumieniu nie nazbyt delikatny, na różne sprawy wyrozumiały do zbytku, słuchając mściwej tej mowy Hojskiego, gdy wyrzekł ostatnie: „zobaczymy!“ pobladł ze strachu.

— No! temu człowiekowi się na zęby dostać, nie życzyłbym sobie! — rzekł w duchu.

Postanowionem zostało na naradzie potajemnej, ażeby komornik nazajutrz dopiero wrócił do Łopatycz i tam oświadczył, że, o ile się dało wyrozumieć, znalazł Strukezaszyca bardzo skłonnym do

nabywania wiary opartych na dobrach sędziego.

— Niech tymczasem zębami dzwoni ze strachu— rzekł Strukezaszyc — dopóki nie zaczniesz śpiewać Tadeusza, pan graf na Łopatyczach!

Po śniadaniu drugiego dnia pojechał komornik.

Weźmie sobie zasępioną minę urobił. Przybył tak rano, że wszyscy jeszcze na mszy świętej byli w kaplicy; poszedł i on, bo miło mu zawsze było popisać się z wielką dewocją swoją. Sędzia, obejrawszy się ku niemu, zaraz poznał z twarzy, iż nie z dobrymi nowinami przybywał.

Ledwie ks. ex-definitor od ołtarza odszedł, wziął gościa z sobą na przechadzkę Czemeryński.

— Gadaj, co tam?

— A cóż? zachodziłem go z różnych stron, żeby z niego coś dobyć—odezwał się komornik—ale to frant na wielki kamień. Ho! ho! dopytać u niego czego nie chce powiedzieć, trudno! Przecież naprowadziłem rozmowę na wlewki, na nabywanie summ, uchowaj Boże, imienia pańskiego w to nie mieszając—a ten mi na to:— „Ja kiepskich papierków za moje dobre pieniądze kupować nie myślę. Jedne tylko skrypta, gdyby się trafiły, chętniebym zapłacił—to na Czemeryńskim!

— Powiedział to?—zawołał sędzia gwałtownie.

— Jak mnie pan żywego widzi!—powiedział,

— Łotr! bestya, z piekła rodem! — zamruczał Czemeryński.

Komornik ze spuszczoną głową stał i wzdychał.

— Żadnych jednak dotąd nie nabył. Spodziewam się! — rzekł sędzia.

— Nie, o tem nie mówił, a ja nie chciałem, przez respekt dla imienia pańskiego, nie o tem więcej rozprawiać. Zobaczywszy to, dodał tylko: — Ja ciebie znam, komorniku, ty tam jesteś dobrze położony i im zaprzędany. Tyś — ich! Ja to wiem!

W ogródku zaczęła się narada. Kaczor miał ze spichrza wziąć dwa korce owsa, strawnego pod tytułem dyety, dostał trzy talary bite, i po śniadaniu i popasie, obowiązał się ruszyć zaraz do wierzycieli z ofiarą prowizyi — ośm od sta.

Zdawało się, że to burzę zażegna.

Przed żoną, córką, gośćmi Czemeryński wcale się nie wydawał z ciężkim niepokojem, jaki go dręczył. Udawał wesołego, baraszkował, snuł projekta dalekie; a jednak, ani biedna, lękliwa sędzina, ani Leonilla, ani nawet pani St. Aubin nie dały się złudzić tej komedyi niezręcznie odegrwanej: czuli i widzieli wszyscy, iż sędzia był nieswój, że coś mu dolegało.

Ponieważ jawnej przyczyny nie umiano odkryć, sędzina poika męża ziółkami z szafranem, okadzała go i leczyła swoją metodą domową. Ale to nie pomogło.

Panna Leonilla czasem pieszczotami, wesołością swą, szczebiotaniem, ojca zasepionego starała się rozruszać i rozweselić; lecz nie widziała w tem groźnego nic, i mówiła p. St. Aubin, iż nieraz tak bywało, iż to przejdzie. A że wiosna była bardzo piękna, bona i jej wychowanica częstych używały przechadzek.

Ze wszystkich drożyn najprzyjemniejszą była ta, która wiodła na Dziewule, do krzyża. Tu się jednak nigdy nie zatrzymywały, bo Francuzka nie mogła znieść widoku spalonej karczmy, utrzymując, że w takich gruzach i ruinach, niebezpieczne się zawsze gady gnieźdzą. Żab zaś i węzów obawiała się niezmiernie, i widziała je nawet pod stopami często, choć to były suche gałęzie tylko, z czego się p. Leonilla śmiała.

Zaraz za krzyżem, jak mówiliśmy, poczynął się las, używalność do Sierhina należąca. Tu rosły pokrzywione dęby, lipy, sosny, brzozy, osieczyny i leszczyna—a razem wszystko piękną gąszcz składało, w której i ptactwa było mnóstwo, i dużo kwiatów. Drożyna chłopskimi wozami, po susz do lasu jeżdżącemi, wyżłobiona, wiła się wśród tej zieleni, a że nieco była piaszczysta, więc sucha i do przechadzki bardzo przyjemna.

O kilkaset dobrych kroków od krzyża, nad drożyną samą leżał jeden z tych głazów błędnych, niegdyś z półnoocy tu przyniesionych, którymi Li-

two jest cała zasiana. — Trafiają się między niemi wielkie bardzo kamienie, lecz rzadko tak olbrzymi, jak ten na wpół już w ziemię zapadły, różowo-szary granitowy przybłęda, który spoczął w Sierhińskim lesie.

Był on osobistością znaną w okolicy, i przed laty zapewne otrzymał nawet nazwisko, które i na mappach oznaczono, i w ustach ludu się je spotykało. Zwano go „Dziwem“ i uroczysko Dziewule poszło niegdyś od niego.

Olbrzymie dwie sosny przyparte do niego z dwóch stron, zdawały się stać na straży, podkopywały się pod niego korzeniami, osłaniały go gałęzmi, a poniżej leszczyna, łozy i różna gawiedź leśna, jak wiankiem go otaczała. Tylko od strony drogi, od której leżał blisko, nie rosło nic oprócz czernic wydeptanych.

Dziw z jednej strony podnosił się trochę wyżej, z drugiej, przyplaszczony, opuszczał się w ziemię, tak że wygodnie na nim sięść było można. Drożyną rzadko bardzo kto jeździł; czasem tylko, uszy nastawiwszy do góry, przemknął zajęc, lub grzybów szukająca przesunęła się baba. Cicho tu było, spokojnie i miło jakoś a samotnie. Głosy lasu niezrozumiałe, zagadkowe, szum gałęzi, nawoływania ptasząt — czyniły ten kątek po przechadzce odpoczynkiem bardzo przyjemnym.

Pierwsza odkryła go pono p. St. Aubin, upatrzy-



ła w nim podobieństwo jakies do lasu w Fontainebleau, pokochała go nadzwyczajnie, zaprowadziła Leonillę—i odtąd obie najczęściej chodziły z książką i robótką do ulubionego kamienia, przesiadując tu godzinami całemi.

Jednego razu, gdy przyszły, niezmiernie zdziwiona, ale zarazem uradowana St. Aubin, znalazła dwa bukiety, i tam, gdzie siadywały, ponieważ kamień był trochę wysoki, rodzaj podnóżka mięciuchnym mchem wyłożonego.

Ten tajemniczy dar, to staranie o ich wygodę, nadewszystko ta okoliczność, że pochodzenie bukietów było mgłą tajemnicy okryte,—uszcześliwiły St. Aubin. Leonilla się śmiała, ale rada też była tej niespodziance.

Dowodziła jednak, że chłopka jakaś musiała się zdobyć na nią, aby potem upomnieć się o zapłatę.

Na wszystkie świętości zaklęła Francuzka wychowanicę, ażeby o tem nie mówić we dworze. Miała przecucie jakiejś awantury romantycznej, której była godną. Sędzia mógł zabronić przechadzki i t. p. Leonilla przyrzekła, że dochowa tajemnicy.

Drugim razem, gdy wiśnie już i poziomki dojrzywały, znalazła się zgrabna z kory brzozonej kosałeczka, pełna dojrzałych i pięknych owoców.

St. Aubin cieszyła się jak dziecko, dodając tyl-

ko, że piękny nieznajomy, który składał te ofiary, powinien się ukazać nareszcie.

Zdaje się, iż p. Leonilla, choć nie dawała tego poznać po sobie, domyśliła się odrazu, kto był niespodzianek sprawcą.

Jednego dnia, gdy się tam znajdowały, posłyzały szczekanie psa i nawoływanie na niego. Wybiegł naprzód bardzo piękny wyżeł pstrokaty, a w chwilę po nim, w myśliwskim ubraniu, z torbą przez plecy, strzelbą na ramieniu, zgrabny młodzieniec. Leonilla się zarumieniła mocno, p. St. Aubin krzyknęła; pan Erazm się uklonił, a że znajomość zrobiona w Lublinie wcale nie została zapomnianą, żywa się rozpoczęła rozmowa.

Z początku była ona powszechną, ale wkrótce złożyło się dziwnie, bo pani St. Aubin zaczęła rozmawiać z psem p. Erazma (niejakim Tyrasem), który jej odpowiadał szczekaniem, a p. Erazm mówił z p. Leonillą, odpowiadającą mu uśmiechami.

Pierwsze owo przypadkowe spotkanie, nie musiało być przykrem dla stron obu, gdyż w dniu pogodnym, p. St. Aubin przychodziła z Leonillą regularnie do kamienia, i p. Erazm nigdy nie chybiał.

Zważywszy, jak nudne i jednostajne życie prowadzono w Łopatyczach, jak tam zbywało na gościach, na rozrywce wszelkiej, dziwić się nawet nie można, iż p. St. Aubin wychowanicę w ten sposób zabawić się starała.

Nie mogła zaś o tem mówić sędzinie, gdyż wiadomo było, jak się dwie rodziny nienawidziły. Francuzka miała na uniewinnienie swe wzniosłą tę ideę, iż pracowała nad pojednaniem zwaśnionych wrogów. Nie było w tem zresztą nic złego, i Francuzka stała na straży, pilnując bacznie, ażeby konwersacya była przyzwoitą i delikatną.

Toczyła się ona po większej części w języku francuzkim, w którym, jak wiadomo, sentymenta się daleko łatwiej, gotowemi już frazesami tłómaczą, tak że nad wyrażeniem ich wcale sobie głowy łamać nie trzeba.

Od spotkania się pierwszego w Lublinie, gdy panna sędzianka miała sposobność lepiej się przypatrzeć i ocenić Erazma Hojskiego, wstąpił jej początkowy do niego, ustępował powoli i zmieniał się, jeżeli nie wafekt, z którym dumna pieszczoszka wydać-by się była nie chciała, to we wcale znośną i przyjemną poufałość.

Pan Erazm, rozkochany jak dwudziestoletni chłopiec, który nigdy do ziemskiego anioła zbliżyć się nie miał sposobności, był prawdziwie politowania godnym. Miłość jego, pełna trwogi, bo się co chwila lękał, aby go z raju nie wygnano, na twarz padająca, rozmodlona, rozklęczona, niewolnicza, posłuszna,—była właśnie taką, jaka serce sędzianki pozyskać mogła.

Pieszczoszka potrzebowała być wielbioną: Erazm ją uwielbiał.

Żartując, robiła z nim co chciała, zadawała mu najdziwaczniejsze pensa na próbę, zakazywała, rozkazywała, kaprysiła, a chłopak, nie mówiąc słowa, jak niewolnik słuchał.

Raz zażądała pary rękawiczek, których miała tuzinami, chcąc aby je Hojski sam przywiózł na daną godzinę z Lublina! Koń padł, ale rękawiczki przyszły, i Leonilla je w oczach kawalera na kawałki podarła.

Posłuszeństwo tym kaprysom pięknej panny, było tem trudniejsze, że p. Erazm się przed Strukezacyem ukrywać i wyklamywać musiał.

Sędzianka, gdy go bardzo wymęczyła, nagradzała potem jednym słodkim wejrzeniem. Niekiedy, litościwsza, Francuzka wymogła na niej, że mu rączkę dała pocałować.

Romans to był zupełnie w duchu tego wieku, w którym wykwitał: kobieta stała na ołtarzu, kochanek klęczał na jego stopniach i obwiewał ją obłokiem kadzideł. W tej czei trwożnej, cierpliwej potęgowało się uczucie, najdrobniejszy dowód łaski zmieniał się i wyrastał na rozkosz niebiańską. Dotknięcie ręki stawało się extazą, wejrzenie doprowadzało do szału, zwiędły kwiatek był relikwią.

Pani St. Aubin według wszelkich prawideł kierowała stopniowem rozwijaniem się i nadewszystko

objawami sentymentu. Pannie czasem żal nawet było umęczonego młodzieńca; doświadczona Francuzka dowodziła i przekonywała, że miłość powinna być wystawioną na długie, liczne, męczeńskie próby, aby dowiodła, że była w istocie tem, czem się zwała.

Była to więc sielanka dramatyczna, a główni aktorowie, ilekroć pomyśleli, że nielitościwa jesień i zima przerwie i skaże ich na rozłąkę, czuli się nieszczęśliwymi.

Pan Erazm poprzysiągł był sobie, a sędzę, że i pannie, iż gotów jest walczyć ze wszystkim, co mu na drodze stanie — dopóki ręki p. Leonilli nie pozyska; sędzianka, choć się nie przyznawała do tego nikomu (oprócz Francuzki), kochała tego ślicznego, a tak dziwnie dobrego chłopaka z całej duszy. Znając swą przewagę nad rodzicami, mniemała, że potrafi, choćby łzami — ich zezwolenie i błogosławieństwo uzyskać.

Oboje może wśród tego upojenia, nie chcieli widzieć wszystkich trudności, jakie ich spotkać miały. Erazmowi zdawało się, że padłszy do nóg ojcu, zmięczy go. Przychodziło mu nawet na myśl, pod sekretem przyznać się do wszystkiego ciocie Blandynie; lecz, gdy już, już do tego przychodziło — strach go porywał i — na później to odkładał.

Pocóż się śpieszyć mieli? tak im było dobrze w tym cichym lesie, u tego omszonego kamienia,

taki raj czuli do koła, iż najmniejsza zmiana—była groźbą.

Panna Leonilla, zawsze równie po królewsku sobie postępując z kawalerem, trzymając go w pewnej odległości, za największą łaskę dając mu czasem rączkę, lub raczej końce paluszków do ucałowania, stawała się jednak czulszą coraz. Zostały tylko te formy dawne, nakazane przez p. St. Aubin; lecz serce uderzyło, zmiękło, łza zwilżyła oczy—i p. Erazm czuł, że był kochanym.

Zamiast wystawiać go na próby niebezpieczne, Leonilla trwożyła się, gdy się opóźniał, i zadawała mu za to pokutę. Na pamiątkę dostał nareszcie pierścioneczek ze czterema turkusikami, składającymi niezabudkę, i wymógł, że i od niego przyjęto węża z brylantową głową. Oprócz tego miał zwiędły bukiecik i rękawiczkę.

Francuzka w zasadzie nie była przeciwną korespondencyi, gdyż młodzi powinni byli wprawiać się w styl i nabierali szczęśliwych mowy obrotów. Na zimę nawet stawała się ona nieuchronną, ażeby tę, pięknie rozkwitającą, miłość utrzymać do wiosny i nie dać jej zastygnąć.

Widywać się nie mogli już, chyba w kościele, i to z tak daleka, tak ostrożnie, aby nikt ich nie mógł posądzić o bliższe stosunki, bo-by je natychmiast nielitościwie zerwały ręce.

Ale do zimy, bardzo jeszcze było daleko!

W czasie niebytności p. Erazma, który teraz namiętnie bardzo polował i codzień do lasu chodził, p. Strukczaszye zapotrzebował laku, rzeczy, której podówczas mało używano i nie zaopatrywano się w nią zbyt. Kawałeczek ostatni, osadzony na piórze, został do szczytu wypieczętowanym, Hojski był pewien, że znajdzie laskę u syna.

Poszedł więc do jego pokoju, przeszukał na stole, przewrócił wszystko i zajrzał do szufladki.

Nie było i w niej laku, ale stary zdumiał się mocno, znajdując jak relikwią zawiniętą, śliczną damską rękawiczkę.

Wziął ją do rąk, poniósł do okna, opatrzył ze wszech stron, powąchał: pachniała bardzo pięknie — zadumał się mocno, brew mu się namarszczyła. Ponieważ obok był pokój p. Blandyny, zastukał w ścianę, i Strukczaszanka, trochę nastraszona, nadbiegła.

— Patrzaj-no — co-to to jest? — zapytał — rękawiczkę podnosząc do góry stary.

Panna Blandyna zbladła, zaczerwieniła się: odgadła wszystko, ale powiedziała sobie zaraz, że będzie się starała obronić ukochanego siostrzeńca.

— No, cóż ma być? — rękawiczka?

— Tak, widzę, ale czyja?

— Ja nie wiem, może moja?

— Twoja! ale-ba! kiedyżeś ty takie rękawiczkę

nosiła? To także! Co ona tu robi zawinięta w atlasy jak *sacrosanctum*, w stoliku Erazma? he?

— A! dałbyś pokój! on sam pewno nie wie po co ją tam włożył! No — pewno znalazł na weselu u Podkomorzego.

— A! ba! — rzekł Strukczaszye — patrz asińdźka, atlas uwinięty we dwa papiery! — tyle popsutego papieru! Na wierzchu stoi data. Czytaj: „dnia 9 Lipca“ i rok.

— Ale cóż ma data do rękawiczki! śmieszny-bo jesteś! — odparła p. Blandyna.

— Asińdźka jesteś sama śmieszna, jeśli sobie wyobrażasz, że ja dam sobie wmówić co zechcesz.

— Ale cóż ci się śni z tą rękawiczką?

Strukczaszye rzucił *corpus delicti* napowrót do szufladki.

— Oto, że Erazm czuje wolę Bożą, hm! — rzekł Strukczaszye. Pachną mu rękawiczki i ręce kobiece. Chłopak się bałamuci. Gdzie? co? jak?

— Po cóż ci to dochodzić, kiedy milczy? — odezwała się Blandyna łagodniej. Proszę cię, daj mu z tem pokój. Nie pytaj, nie gadaj. Zrób, jak na ojca rozumnego przystało: widzisz, że pora potemu, staraj go się ożenić.

Hojski nie odpowiedział już nic.

— Proszę cię — odezwał się zimno, posuwając się ku drzwiom — niema u ciebie kawałka laku?



— U mnie laku? — i ruszyła ramionami Blandyna.—Strukczasyc wyszedł.

Troskliwa ciocia, posłyszawszy zamykające się za nim drzwi, pośpieszyła do szufladki, przypatrzyła się rękawiczce, obwinęła ją starannie, włożyła napowrót i, okrutnie zafrasowana następstwami tego odkrycia, namyśliła się: czyby nie wypadło wyjść naprzeciw siostrzeńca, ażeby go o wypadku uprzedzić?

Trwożyła się, znając gwałtowność i despotyczny charakter brata. Niechcąc być postrzeżoną, tylną furtką wysunęła się z ogródka, i, ponieważ Erazm zawsze wracał od lasu, skierowała się ku niemu. Złożyło się bardzo szczęśliwie, gdyż, nim doszła do zarośli, postrzegła Erazma ze strzelbą i Tyrasa, który do niej skomląc, przybiegł, a na twarzy siostrzeńca takie rozpromienienie wyczytała, taką jakąś szczęśliwość, że się jej straszno zrobiło.

— O! kocha się! — rzekła w duchu. — Erazm zbliżał się — śmiejąc.

— Cóż to się cioci stało? Na spacerze? sama jedna!

Panna Blandyna nie mogła wytrzymać — ani pół minuty.

— Eraziu! — umyślnie wyszłam naprzeciw ciębie, aby cię ostrzedz. Spojrzała mu w oczy bystro.

— Ojciec w stoliku znalazł rękawiczkę!

Siostrzeniec pobladł i drgnął: więc czuł się winnym—nie umiał nawet naprędce odpowiedzieć.

— Mów—co to za rękawiczka?

Chociaż Erazm miał dawno ochotę przyznać się do wszystkiego przed najlepszą z ciotek, ale zaskoczony tak, zląkł się i zaniemiał.

— Ale, powiedz-że mi! ja cię nie wydam! Ty się kochasz?

— Moja ciociu? a gdyby tak było? czy to tak wielki grzech?

— Spodziewam się, że nie w żadnej mężatce.

— A, niech Bóg uchowa!—podchwycił Erazm.

— Któż to jest?

— Nie mogę jeszcze cioci powiedzieć— odezwał się siostrzeniec — zaręczam tylko, że panna, że to anioł! że....

Panna Blandyna niecierpliwie rękami strzepnęła.

— Jak się kochacie, to wam wszystkie anioły!— wyrwało się jej mimowolnie.

— Cóż będzie z ojcem?— spytała żywo.

— Z ojcem—a ja nie wiem.

— Jeżeli spyta?

— Ja ojcu nie mogę nic powiedzieć.

— A to pięknie! Kochasz się! Anioł! chcesz się żenić i nie śmiesz powiedzieć ojcu! Panna *na niezabudź* daje rękawiczki.

No—to cóż z tego będzie?

Westchnął młodzieniec; p. Blandynie żal się go zrobiło.

— Tego nam jeszcze w domu brakło! — szepnęła zeicha. Przygotuj-że się przynajmniej zgrabnie wytłómaczyć.

Właśnie nad tem się Erazm musiał namyśleć, gdyż stał z głową spuszczoną, patrząc na Tyrasa, a że temu się zdawało, iż pan od niego coś żądał, szczekał więc i rzucał się ku niemu. Panna Blandyna, widząc, że jej przysługa nie na wiele się przydała, łzy miała w oczach.

— Jeżeli mi się przyznać nie chcesz, odezwała się, ja cię zmuszać nie będę. Rozważ tylko zawczasu co ojcu powiesz, gdy cię zapyta.

Erazm nie odpowiedział nic, bo w istocie sam jeszcze nie rozstrzygnął w sobie co pocznie. Przyznać się ojcu nie mógł na żaden sposób, kłamać nie chciał — postanowił zmilczeć.

Zawracali ku dworowi.

— No? namyśliłeś-że się? — spytała p. Blandyna.

— Jeżeli ojciec spyta — rzekł Erazm — przeproszę go, ale się mu z cudzego sekretu spowiadać nie będę — nie mogę.

— Ale cóż to za romans taki osobliwy, że się z nim taić koniecznie potrzebujesz? — poczęła ciotka. Ojciec twojemu szczęściu i postanowieniu nie będzie przeciwnym, jeżeli partya stosowna.

Erazm nie odpowiedział na pytanie; szedł jak winowajca na stracenie.

— Coś mi to tak wygląda—zakończyła ciotka— jakby nieczysta sprawa. Ty wiesz, że ja ciebie kocham jakby własne dziecko—no, to ci powiedzieć muszę z góry, jeżeli, uchowaj Panie Boże, mężatka, znać ani wiedzieć o tem nie chcę.

Uśmiech Erazma uspokoił ciotkę.

— No—jeżeli niezamężna, dodała, to choćby i uboga była — ojciec się da nakłonić. Spojrzała na siostrzeńca, który znowu dziwnie się jakoś uśmiechnął.

— Rób-że sobie co chcesz, kiedy z ciebie nie wyciągnąć nie można. Chyba chłopka! a no one rękawiczek nie noszą, bo juści nie żydówka.

To uparte odgadywanie pobudziło do pustego śmiechu p. Erazma, aż ciotka się w końcu pogniewała trochę.

— Nie masz we mnie zaufania!—rzekła ostro—wola twoja; ale pamiętaj, że gdy mnie potem potrzebować będziesz, ja od wszystkiego ręce umyję.

Już stali pod furtką ogrodową—Erazm pochwycił rękę ciotki i pocałował ją.

— No, to powiem cioci wszystko,—odezwał się, ale proszę mi dać najświętsze słowo, że w żadnym razie, ciotka mnie przed ojcem nie wyda.

Panna Blandyna oburzyła się na samo posądzenie o zdradę. Erazm zbliżył się, i jakby przed spo-

wiednikiem począł *per extensum* opowiadać całą historję miłości swej, od spotkania na grobli do mazura, Lublina, i—aż do kamienia.

Co się działo z ciocią w czasie tych wyznań, tego żaden język nie wypowie, żadne nie opisze pióro. Łamała ręce, zakrywała sobie oczy, wydawała jęki bolesne, bladła, płakała, po kilkakroć uściśnęła nieszczęśliwego, a raczej szczęśliwego chłopca—lecz w ciągu opowiadania, obawiając się jedno słówko stracić, nie odzywała się prawie, nie objawiła nic oprócz litości nad nim.

Ciągle żyjąc ze Strukczaszcym, w ogniu tej walki utrapionej Łopatycz z Sierhinem, p. Blandyna musiała naturalnie przejąć uczucia brata, poślubić nienawiść jego i wstręt do Czemeryńskich. Nie pojmowała nawet jak mógł się Hojski zakochać w sędziance; było to dla niej zagadnienie takie, jakby, uczciwszy uszy, Tyras rozmiłował się w Milusi, kotce faworycie p. Blandyny, która mu za każdym spotkaniem pluła w oczy.

Lecz, jako osoba pobożna, ciocia wpadła zaraz na myśl, że mogła w tem być ręka Opatrzności, która gotowała w ten sposób święty spokój i zgodę.

Erazm skończył już opowiadanie, a p. Blandyna jeszcze i do siebie i do słowa przyjść nie mogła.

— Głowę tracę — szepnęła nareszcie, — na to ja poradzić nie potrafię! A! nie! Znasz ojca zajadłość na nich! To nie może być! Struk cza szyc 1

nigdy w świecie nie pozwoli! Nigdy! a może też i ty sobie z głowy wybijesz.

— Nigdy w świecie! Do śmierci ją kochać będę! Krzyknął Erazm — nie wyrzeknę się za nie!

Panna Blandyna usta mu zamknęła i była przybita tak niespodzianą wiadomością, że potrzebowała z nią uciec gdzieś na osobność i pomyśleć co czynić.

Erazm przez ogród dostał się do swojego pokoju. Pobiegł naprzód do szufladki zobaczyć czy skarb był na miejscu: rękawiczkę znalazł, pocałował i ukrył dla bezpieczeństwa gdzieindziej. — Jak zbrodniarz teraz czekał straszego ojca sądu i godziny indagacyi.

Daliśmy już nieco poznać czytelnikom Strukezaszyca: był to człowiek milezący, rozważny, zamknięty w sobie, niełubiący próżnych utareczek na słowa.

Wyszedłszy z pokoju syna, po rozmowie z siostrą, najpierw list, który miał wyprawić, odrobina laku, jaka mu pozostała, zalepił, wyprawił, a dopiero począł myśleć o rękawicze.

Rozwahał: czy mu się z synem należało rozmówić otwarcie, czy nie? Gdyby rzecz była seryo, syn go sam powinien był zacząć.

Nadawać płochemu bałamuctwu może, nazbyt wielkie znaczenie ani wypadło, ani godziło się.

Zachowanie rękawiczki wielkiem grzechem nie było.

Ciekaw jednak był: zkąd się mogła wziąć taka wspaniała rękawiczka? Z balu u Podkomorzego? Z Lublina? bo już ciż nie z sąsiedztwa, gdzie panny chodziły pospolicie z rękami, jakie im Pan Bóg dał, conajwięcej czasem w czarne ustrojonemi mitenki.

Podejrzenie na Lublin padło.

W czasie trybunałów zjeżdżały się tam osoby niekoniecznie przykładnego życia, dla bałamučenja deputatów i pomagania w interesach. A nuż pan Erazm, śliczny chłopak, wpadł w sidła której z tych bogiń, dla Strukezaszyca będących przedmiotem zgrozy i wstrętu?

Być to mogło, ale Erazm się do Lublina nie wyrywał, nie tęsknił za nim, w domu siedział chętnie, i codzień się absentował! Czasem go po kilkanaście godzin nie było. Hm! Strukezaszyc sam młodym był; wiedział, że wiek ten podległy jest ułomnościom, serce ma miękkie, myśli bujne, i krew nie wodę.

W sąsiedztwie zaś nie było panny na wydaniu ani jednej, dla syna Strukezaszyca przypadającej urodzeniem, majątkiem i wiekiem. Wypadkiem baczne oko ojca w czasie balu u Podkomorzego zniecka padło na Erazma, gdy tańcował z ową bardzo piękną panią Wiśniewską, która mu się śmiała białemi ząbkami. Ojciec się już wówczas

namarszczył na to. Owa piękna pani, której mąż był gamoniem niezgrabnym, mieszkała o półtorej mili od Sierhina. Strukezaszyc posadził syna o romans z męzatką, a jako człek bogobojny, aż się wstrząsnął na samo przypuszczenie takiej okropności. Nie mogło mu z głowy wyjść, że syn się niezawodnie kocha w tej jejmości.

Żle! źle! kara Boża, niebłogosławieństwo, srom, ohyda! Tego cierpieć nie można!—rzekł w duchu. Wziąć go na konfessatę? — zełże i duszę zgubi, bo juścić kobiety nie wyda. Trzeba szukać innej rady na to.

Tak wszystko rozważywszy, p. Strukezaszyc, przeżegnał się, zamruczał coś, rękami twarz otarł, jakby z niej ślady myśli i frasunku chciał zmasać, i gdy dano znać do wieczerzy, wyszedł tak na pozór spokojny, że nic po nim poznać nie było można.

Spojrzał na niego syn; przywitali się jak zwykle.

— Ubiłeś-że co na polowaniu?—zapytał ojciec.

— Parę kuropatw i cyrankę—rzekł Erazm.

Przy wieczerzy mowy nie było o niezem, tylko o Kaczorze i o powszednich sprawach.

Erazm się obawiał, aby, gdy sami zostaną potem, nie zaczepił go ojciec. Panna Blandyna, także mając to na myśli, dosiadywała i nie oddalała się; lecz stary, według zwyczaju, wkrótce chodząc pacierze zaczął odmawiać—i rozeszli się.

Nazajutrz też same były obawy. Erazm chciał



w domu pozostać cały dzień, aby uniknąć podejrzeń i śledzenia; rozmyślił się jednak, że na wszelki wypadek lepiejby było zawczasu uprzedzić panią St. Aubin. Miał przecucie, że ojciec coś przedsięwzięmie. Do kamienia jednak wprost nie poszedł p. Erazm; udał się w zupełnie przeciwną stronę i to tak, aby ojciec go widział. Była to, na nieszczęście, strona właśnie w której leżała wioska pięknej pani Wiśniewskiej.

Odbiwszy się od domu i dopadłszy zarośli, zwrócił się zaraz Hojski ku kamieniowi.

Tak mu było pilno, że stanął bardzo zawczasu, i długo siedząc, czekać musiał, nim panie obie przybyły. Leonilli, nie chcąc przestraszać, wziął na stronę Francuzkę i opowiedział czego i z jakiego powodu się lęka.

Pani St. Aubin, ktorej już jednostajny bieg tego romansu, żadnemi przeciwnościami niezaostrzanego, zaczął się nieco nudnym wydawać, jeśli nie z radością, to z ożywieniem nadzwyczajnem przyjęła wiadomość o grożącym im interdykcie. Zajęła się gorąco nim.

Leonilla, z postawy, wzroku, ze smutku wrytego na twarzy kawalera domyśliła się, że coś zaszło. Niepokój ją ogarnął. Chciała wiedzieć co się stało; domagała się koniecznie, groziła strasznym gniewem swoim. Naostatek stała się na-

pastliwą i natrętną, czułą, nalegającą — łzy miała w oczach.

Erazm milczał jeszcze, napawając się tylko podbudzoną jej czułością dla siebie, bo mu obie ręce dawała całować, i niemal raz — piękną główkę na ramię jego pochyliła. Francuzka za niego podjęła się opowiedzenia na swój sposób tego, co się stało.

— Nie należy kryć przed tobą — odezwała się patetycznie, iż miłości waszej grozi niebezpieczeństwo, rozłączenie—srogie próby! Prawdziwa miłość zrazać się niemi nie daje; rośnie wśród cierni jak róża, jak Salamandra w płomieniach żyje! Tyran ojciec, mający już podejrzenia, odkrył jedną z pamiątek, którą p. Erazm zachowuje! Może go uwięzić, kazać mu się oddalić, szpiegować. Nasze najmiłsze wieczory przerwać się mogą na długo. Serca wasze nie wytrwają bez pokarmu, bez związku; potrzeba już dziś obmyśleć jak z sobą macie korrespondować.

Francuzka mówiła prędko, gorączkowo, chwytając to p. Erazma za rękaw, to p. Leonillę za suknię, spoglądając to na nią, to na niego—zapalając się, jakby chodziło o nią samą.

Oni spokojnie sobie w oczy patrzali, a że dziewczęciu w nich łzy stanęły. Erazm ukląkł i chciał jej nóżki całować; ale ona pierzchnęła, uciekła, schowała się za drzewo i zawstydzona, zagniewana się sama na siebie.

Tymczasem p. St. Aubin, trzymając Erazma, szeptała mu do ucha:

— Nie powinienes jej czynić nieszczęśliwą—wołała—ona nie wyżyje bez wiadomości! Ona się może rozchorować! Mówmy i radźmy, dopóki pora.

Narady zaczęły się tak nieporządne jakoś, przerywane, coraz-to nowemi, nowo-poddawanemi myślami macone, że z pół godziny upłynęło — a nie nie uradzono.

Nikomu się zwierzyć nie było podobna. Erazm więc spytał nareszcie: czy może się zwierzyć przywiązanej do siebie cioci Blandynie i jej użyć w razie, gdyby mu się oddalić kazano? Panna Struczaszanka, nieobudzając podejrzeń żadnych, mogła się spotkać w potrzebie z p. St. Aubin na probostwie u ks. Dagiela.

Z początku zaprotestowano przeciwko cioci, obawiano się jej; ale na ostatku, p. St. Aubin, dla której intryżka każda była nader miłym zajęciem, pierwsza się zgodziła na nią—a Leonilla już nie protestowała.

Ponieważ czas jakoś nieznacznie upłynął wśród tych uzaleń, zapewnień i narad, oddalić i rozejść się było potrzeba, w ostatniej chwili ponowiono przysięgi, a Erazm dodał, że dopóki coś nadzwyczajnego na przeszkodzie nie stanie, do kamienia będzie przychodził. Umówiono się o znaki na ko-

rze sosen, w razie gdyby Hojski albo panie miały nie przybyć lub nie zastać Erazma.

Po raz pierwszy Hojski odważył się powracające odprowadzić aż prawie do krzyża, do którego często Czemeryński odbywał przechadzki, wskutek czego ostrożnym być należało.

Na samej granicy stanawszy, długo jeszcze oczyma gonił Erazm zwolna oddalającą się Leonillę, która po kilkakroć główkę zwróciła ku niemu; a gdy znikły mu z oczów, smutny ale szczęśliwy, pobiegł do domu, bo już lękał się opóźnić na wieczerzę, co podejrzenia ojca nanowo mogło rozbudzić.

Spóźnił się też w istocie, mimo pośpiechu i zadychania; ale ojciec nie powiedział mu nic, zapytał tylko znowu: co ubił na polowaniu? Nie było się czem pochwalić.

W ciągłej obawie i niespokojnych wejrzeniach na Strukczaszyca upływały dnie następne. Stary Hojski tak się nie zmienił, tak po sobie nie poznać nie dawał, że i ciocia Blandyna i Erazm się uspokoiли zupełnie. Podawnemu chodził do kamienia bez najmniejszej przeszkody, zawsze się jednak oglądając ostrożnie. Trwoga Leonilli i p. St. Aubin powoli też ustępować zaczęła. Francuzka nawet utrzymywała, że niepotrzebnie im napędził strachu, i—że do zimy zapewne żadna zmiana nie zajdzie.—Z chwili tej jednak, która obawę wznieciła, skorzystał Erazm, bo ona go bardziej, poufale

zbliżyła do Leonilli, a łzy jej oczów były pośredniczkami. Codziennie oczekiwała nań niecierpliwiej, witała go otwartą radością.

W Sierhinie wszystko szło postaremu; w Strukczaszy najmniejszej zmiany oko p. Blandyny nie dostrzegało. O rękawiczce ani wspominał, ani o nią syna zapytał, a czulszym był dlań może niż dawniej.

Mimo to, niepostrzeżenie, Hojski na chwilę z oka nie spuszczał Erazma. W czasie niebytności jego, gdy siostra była zajęta gospodarstwem, stary kilka razy przetrząsnął cały pokój syna i wszystkie kryjówki w jego sprzętach. Nie znalazł tam nic oprócz bukietu zwiędłego, i na papierze jakichś cyfr, porysowanych serc i pozaczynanych wierszy polskich i francuzkich. Mimowolnie zapewne ręka zdradziecka powtórzyła razy kilka rozmaicie związane litery L. C. E. H. Strukeczaszy głęboko się nad nimi namyślał, dumał, ale tego L. C. odgadnąć nie umiał. Potwierdzały się tylko podejrzenia, i mimo że cyfra do pięknej mężatki nie przystawała, na nią padały głównie.

Strukeczaszy postanowił już był syna wyprawić z domu; ale dokąd i po co? pod jakim pozorem?— nad tem namyślał się jeszcze.

Jednego wieczora, gdy już Erazm, uspokojony, ani myślał o zmianie położenia, w porze niezwykłej, Strukeczaszy zawezwał go do kancelaryi.

Stał przed oknem stary, gdy syn nadszedł—spokojny jak zwykle i obojętny.

— Bardzo mi to nie na rękę — odezwał się powoli, zwracając głowę, ale będę musiał ciebie wysłać, i to na czas dłuższy.

— Do Lublina?—podchwycił Erazm.

— Gdzie tam! W Lublinie nie masz co robić, tam interesów dopilnuje Szawarski; ale o to pani z Hojskich Widulińska, Kasztelanowa Smoleńska, moja stryjeczna, bezdzietna jak wiesz, pisze mi.....

To mówiąc list dobył zza kapoty i podał go synowi.

— Przeczytaj sam.

Posłuszny Erazm podszedł do okna. List był niełatwy do odczytania, bo prababki nasze nie siły się naówczas ani na kaligrafję, ani na wymysły ortograficzne; krew pisały przez *f*, a ból przez *u*. Kasztelanowej oprócz tego ręka się trzęsła, pióro miała rozszczępione, i wiersze biegły ku dołowi, ciężąc niektóre, inne nagle zrywając się do góry, następując sobie na pięty, tak, że połapać je było trudno. Doszedł jednak z listu, do miłościwego brata pisanego, p. Erazm, z wielkiem strapieniem swoim, iż stryjenka domagała się przyjazdu jego i posługi, mając sprawy, w których na nikogo się spuścić nie mogła, bo ją wszyscy niegodziwie darli i oszukiwali.

— Widzisz—dodał Strukczaszye—Kasztelanowa

jest bezdzietna, a choć majątek nadszastany, zawsze po niej coś nam kapnąć może. Nie trzeba tem gardzić. Nie masz tak dalece tu co robić, bo ja tu wszystkiemu radę dam. Trzeba swoim usłużyć. Osoba dobra, zacna, choć zamłodu trochę płochą była, ale to dawno się zatarło. Stosunki ma pono i na dworze, ludzi dużo zna,—tobie się to przydać może.

Mówiąc powoli i chłodno, spoglądał na syna Strukeczasyc, a choć Erazm starał się pokryć wzruszenie, nie uszło ono ojcowskiego oka.

Sprzeciwiać się woli ojca,—nie było sposobu. Erazm milczał.

— Bardzo mi cię żal, bo mi tu za tobą tęskno będzie—a no, co robić! co robić!—dodał Hojski.

— Ale to może nie tak pilno — odezwał się wreszcie Erazm nieśmiało.

— Owszem, pilno bardzo, Kasztelanowa czeka i prosi (przeczytaj w przypisku), ażebyś jaknajrychlej się stawił.

— Trzeba się wybrać w drogę—mruknął Erazm.

— Cóż to tam za straszny wybór!—przerwał ojciec. — Tłómczek ułożyć, konie kazać zaprządz, i po wszystkim.

— Kiedyż ojciec każe?—spytał cicho p. Erazm.

— Ja? choćby jutro! — rzekł Strukeczasyc, spoglądając jakie to uczyni wrażenie.

— Jutro?—z podziwieniem podchwycił syn,

— No— to pojutrze— zakończył stary. — Po co odkładać?

Powiedziawszy to — odszedł. Erazm postawszy chwilę, wprost się udał do ciotki, która, jak się okazało, o niczem nie wiedziała. Posłyszawszy z czem przybył siostrzan, chwyciła się za głowę, potem poczęła płakać i ścisnąć go.

— To są ukartowane rzeczy — szepnęła cicho — kasztelanowa intrygantka jakich mało. Jegomość do niej pisać musiał. Gdzież? co? zawsze się miała kim posługiwać, o nas tak dobrze jak zapomniała zupełnie, tylko tyle, że na Nowy Rok i na imieniny jegomości i jej miały się komplementa, a tu nagle zapotrzebowała tak pilno.

Ciotka obiecywała — mimo wstępu, jaki miała do całego rodu Czemeryńskich, — być pośredniczką w korespondencyi. Przystępowała do tego z trwogą niezmierną, lecz siostrzeńcowi odmówić nie mogła. Nazajutrz, chociaż, jak na złość, chmury chodziły nad wieczór, a burza i deszcz groziły, puścił się p. Erazm do kamienia, słabą bardzo mając nadzieję zastać tam sędziankę. Francuzka, nierozważna, utrzymywała, że się obłoki rozejdą, że nie będzie i przechadzkę doradziła. Tej nieopatrzności jej winien był p. Erazm, że raz jeszcze mógł widzieć Leonillę. Burza się już zrywała, gdy nadbiegł, oznajmiając co go spotkało.

Zaledwie kilka słów mogli do siebie przemówić.



gdy wichur szalony zatrząsł drzewami — i pioruny bić zaczęły jedne po drugich. St. Aubin obawiała się grzmotów i, dawszy ledwie przemówić Erazmowi, napowrót ku Łopatyczom biegła już, co chwila ze strachem przypadając ku ziemi. Niezważając na niebezpieczeństwo spotkania się z kim na drodze, Hojski towarzyszył uchodzącym, niemal do skraju lasu, pod sam dwór Łopatycki, z kąd się cofnąć musiał, zobaczywszy dworskich, których wysłano na spotkanie panienki.

Wciągu tej ucieczki przed burzą, Leonilla miała czas pocieszającemi słowy uspokoić Erazma. — Nie liczyli się już z wyrazami; nie skąpiono mu spojrzeń, nie wrywano ręki, a Francuzka ani patrzyła na wychowanicę, bo ją pioruny oślepiły.

Już ludzie dworsey nadchodzili, gdy, ścisnąwszy sobie raz jeszcze ręce, spojrzawszy ku sobie łzawemi oczyma — rozstali się szepeząc: — Do zgonu! — Na wieki!

Zmokły do nitki, wrócił wśród ulewy do Sierhina p. Erazm, na którego ojciec, w ganku siedząc, oczekiwał. Stary się domyślał, że ta wycieczka była nie bez kozery, lecz ani spytał syna o nią.

— Toś się pięknie wybrał na polowanie — rzekł: — Od południa chmury stały, burza była pewna. Mówiłem Morawcowi nawet, żeby się z sianem niebardzo rozkładali i w kopce je zgrabili! Musia-

łeś zmoknąć z kretešem, idź-że zaraz, obuwie zmien,  
bo jutro droga przed tobą i zdrowym być trzeba.

Jeszcze deszcz lał, gdy kałamażka komornika  
zatoczyła się przed ganek i Kaczor z niej wysko-  
czył, jak z wody wyjęty.

— Toś mi gracz, żeś na słotę nie zważał—przy-  
witał go Strukezaszyc. Właśnie czekałem na wa-  
cana. Idź się do Morawca przebierz, abyś mi tu  
kałuży nie zrobił w domu, i powracaj na wódkę.

Choć wyjazd syna powinienby był zasmuć  
Hojskiego, do wieczery przyszedł w najlepszym  
humorze, uśmiechnięty. Od tego zaczął, że Erazma  
uściskał serdecznie. Był nawet gadatliwszym dnia  
tego.

Siedli do stołu—po wódcę.

— Acan wiesz — odezwał się do Kaczora—pan  
Erazm jedzie do Wilna, na usługi p. Kasztelanowej,  
mojej stryjecznej. Mnie się zdaje, że stara kwoka,  
nie tyle pomocy w interesach, ile rozrywki potrze-  
buje. Niech się chłopiec przewietrzy.

Kaczor zwykł był wszystko potwierdzać.

— Wilno, bardzo piękne miasto!—rzekł discursive.

— On tam tymczasem sobie będzie baki zbijał—  
dodał Strukezaszyc, a my tu dla niego zapracuje-  
my coś!—hę?

Ojciec figlarnie spojrział ku synowi.

— Nim wróci, spodziewam się mieć tę satysfa-

keyę: łotra tego, grafa czarnawczyckiego, uwolnić przynajmniej od połowy jego majątku.

Erazmowi krew na twarz wystąpiła; spojrział ciekawie na ojca.

— Tak! tak—dodał Hojski, gdy powrócisz, znajdziesz Łopatyckiego pana, daj Boże już tylko na samych Łopatyczach, a resztę przy Sierhinie. A jeśli z tego stary nie gęgnie—będzie chwata.

Erazm nie mógł wytrzymać, by nie spytać:

— A, jakimże sposobem, my to, co nie nasze zagarnąć możemy?

Strukezaszyc był w figlarnym humorze.

— Jakim sposobem?—powtórzył. Otóż to sztuka! I my (tu poklepał po ramieniu Kaczora), my z Kaczorem dokażemy tej sztuki. Niech jaśnie wielmożny z Czarnawczyckich mieszczan graf na Łopatyczach, długów nie robi, pieniędzy nie puszcza lekko, niechaj się nie dmie, niech się rozumu nauczy!

Córunia, co na baronów niemieckich patrzała—dodał nielitościwy Strukezaszyc,—może pójdzie za posessora, jeżeli ją który wzięć zechce, ale że wielka dama, i *parle franse* — za bonę ją kto weźmie lub garderobianą.

Strukezaszyc, mówiąc to, spojrział na syna i spostrzegł bladość trupią na jego twarzy. Erazm nie śmiał się odzywać; lecz szyderstwo z tej, co mu była najdroższą, wychodzące z ust ojca, było dlań

ciosem bolesnym. Panna Blandyna, uczuwszy to, przerwała bratu.

— Dałbyś asindziej pokój! Cóż to znowu! Z kobiet nieszczęśliwych szydzić! To się nie godzi! Słowo daję, to-bo się nie godzi. Możesz sobie z sędzią robić co się podoba, a co ci kobiety winne?

— He? — odwrócił się Strukezaszyc — acanna bierzesz ich stronę? To mi się podoba!—Co winne kobiety? A, winne, winne. Gdyby nie ich fafry, elegancye, stroje, francuszczyzna, duma, pycha, sędzia-by nie popadł w długi. Sędzina sama stara gęś—a sędzianka—tę nie wiem jak nazwać!

Kaczor się śmiał; Erazm, przestawszy jeść, siedział z rękami założonemi na piersiach, jak na mękach. Odezwać mu się słowa nie było wolno. Wtem komornik, który lubił pryncypałowi bębienka podbijać, a nie domyślał się jaką innym przykrość uczyni, — odezwał się swym piskliwym, chropawym i fałszywym głósikiem:

— Co-to p. Strukezaszyc dobrodziej mówi o panie sędziance, tylko z tego, że ją w kościele może widywał wypompowaną i wyfiokowaną; a no mnie o nią spytać trzeba, co w tym domu bywam.

Strukezaszyc, uradowany, powołał go oczyma do mówienia. Nie widział komornik jak Erazm cisnął nań wejrzenie zabójcze.

— W Łopatyeczach przed p. Leonillą na palcach wszystko chodzić musi — mówił komornik — ona

tam panią i królową. Zachce się jej choćby z pieca kafelka: jak zacznie prosić, płakać, dąsać się, chorować—musi być!

Matka pierwszą sługą, ojciec lokajem — ona jedna pani. A przyjedzie gość pokorny—jak ja—czy pan myśli, że choć mu głowę skinie, albo da dobre słowo! ani spojrzeć nie raczy. Z Francuzką szwargoczą i z ludzi się naśmiewają w żywe oczy.

— Będzie ktoś z niej miał żonkę, mosanie — do-  
dał Strukezaszyc—co się zowie modną! Winszuję  
mu, ale nie zazdroszczę. Gdyby nie Łopatycze, ale  
klucz Czarnawczycki, gniazdo przodków swych,  
miała w posagu, nie starczy takiej jejmości na  
wstażki. Królewicza jej trzeba, jak...

Ciągnąłby dalej Strukezaszyc, gdyby, serwetę  
przyłożywszy do twarzy, nie zerwał się ze stoła  
p. Erazm. Twarz miał siną.

— Ojciec pozwoli—ból zębów.

Panna Blandyna wstała natychmiast pod pozorem  
lekarstwa i pobiegła za siostrzanem.

Nastąpiło milczenie. Strukezaszyc zamyslił się  
ponuro, bębnił palcami po stole.

Kaczor tymczasem z półmiska resztę kaczki  
z buraczkami zmiatał.

Po dość przedłużonem milczeniu, gospodarz się  
odezwał do żarłocznie jedzącego komornika:

— Jak mówiłeś jej imię?

— Czyje?—zapytał Kaczor.

— A tej córni naszego grafa?

— Leonilla.

— Leonilla! — powtórzył Strukeczasyc mocno zadumany — Leonilla Czemeryńska... L. C.

Nagle, stołek z pod siebie wyrwawszy i ciskając go ku ścianie, wstał Strukeczasyc z takim impetem, że komornik o mało nie padł ze strachu. Upuścił widelec, wyrócił szklanke.

— Co panu takiego? — zawołał.

— Mnie? — rzekł Strukeczasyc chmurno.

— Panu?

— Cóż mi ma być! co? Zjadłem i wstałem!

To mówiąc Hojski, poszedł do okna, tyłem stanął do komornika, i zdawał się jakby nieprzytomnym. Trwało to dobry kwadrans.

Kaczor nie wiedział co z sobą robić, obawiał się czy go czem nie obraził, a pytać nie śmiał. Postanowił więc dać dobranoc, i udać się na folwark.

— Dobrej noey życzę — rzekł pokornie.

Jakiś mruzeniem tylko mu odpowiedział Hojski, i jak stał w oknie — nieruchomym pozostał.

Koniec tomu pierwszego.



